

**EDUKACJA
SEKSUALNA**

SIECI

**UJAWNIAMY!
WŁADZA PO CICHU
SZYKUJE
SEKSUALIZACJĘ
DZIECI
NA POTĘŻNĄ
SKALĘ**

**BRONISŁAW WILDSTEIN OBURZONY
PRZYWRACANIEM PRZEZ TUSKA
WIELKICH EMERYTUR ESBEKOM**

**CO NAPRAWDĘ
POWIEDZIAŁ
WOŁODYMYR ZEŁENSKI
O POLSCE**

**KOŚCIOŁ
NA CELOWNIKU
- NIE TYLKO KSIĘŻA,
LECZ TAKŻE FUNDACJE**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

46 (624) 2024
12-17 listopada 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

JEGO DONALD TRUMP TRIUMF, ICH WSTYD

**HISTORYCZNY MOMENT!
ODBIERALI MU DOBRE IMIĘ,
SKAZALI, PRÓBOWALI ZABIĆ.
A JEDNAK WYGRAŁ! TO DUŻO
ZMIENI TAKŻE W POLSCE**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 18 XI 2024 r.

plus 

polsat box 

Światłowod + Telewizja

od **19** zł
/mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.

Światłowod S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.

Umowa na min. 24 mies.

Opłata abonamentowa może być wyższa o kwotę 26 zł/mies. w zależności od dostępnej infrastruktury oraz typu zabudowy budynku.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowod Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w cenniku z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona” na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje innych pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłat jednorazowych za dekoder. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w cennikach i regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu smartDOM**, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” na polsatbox.pl i plus.pl

Waszyngton w Warszawie?

Amerykane decydowali o przyszłości swojego państwa, wybierali swojego prezydenta. Ale decydowali także o naszym, polskim losie. Gdyby wygrała Kamala Harris, pętla na szyi polskiej niepodległości zacisnęłaby się jeszcze bardziej. A naszej demokracji nie dałoby się już może uratować, marsz ku autorytaryzmowi znacznie by przyspieszył. Do zewnętrznej interwencji prowadzonej z Brukseli i Berlina dochodziło bowiem ostentacyjne przyzwolenie ze strony Waszyngtonu na działania represyjne, wymierzone w siły opozycyjne. Symbolicznie ambasador USA Mark Brzezinski nawet nie ukrywał, że nie chce widzieć ani deptanej konstytucji, ani więźniów politycznych, ani bandyckich metod przejmowania niezależnych bądź niewygodnych instytucji, w tym mediów publicznych. Mam nadzieję, że szybko odejdzie, a jego następcą zostanie człowiek rozumiejący, że i u nas „tolerancyjni demokraci” to bardzo często po prostu brutalni zamordyscy. Dokładnie tak jak za oceanem.

Za maską oficjalnych, gładkich, „państwowych” oświadczeń obecnej władzy kryje się wyraźny strach przed wejściem do gry „Trumpa 2.0” – polityka, który może się okazać znacznie skuteczniejszym i mocniejszym graczem niż w czasie swojej pierwszej kadencji. Tego strachu nie przykryją zakłęcia o konieczności budowania „jeszcze silniejszej” Europy. Ten kurs oznacza po prostu wzięcie na jeszcze krótszą smycz słabszych państw, faktycznie kolonizowanych bądź skolonizowanych, w tym niestety obecnej Polski. Unia Europejska nie zbuduje żadnej „strategicznej suwerenności”, nie mówiąc już o dającej bezpieczeństwo armii, bo sama jest zbudowana na fałszywych fundamentach, na przemocy i nierówności. Jedyнным efektem „pogłębienia integracji” będzie nowe niemieckie imperium. Kto pcha nasz kontynent w tę stronę, służy interesom Berlina. Niemcy zdają się zresztą czerpać szczególną, perwersyjną przyjemność z obsadzania „elit” innych państw w roli klakierów swojego „przywództwa”.

Los uśmiechnął się do polskiego obozu niepodległościowo-demokratycznego, ale nie byłoby tego prezentu, tej szansy, gdyby nie osobista wielkość Donalda Trumpa, człowieka, który dokonał rzeczy bez precedensu w najnowszej historii Ameryki i świata. Wrócił, choć wielu uznało go już za politycznego trupa. Cudem przeżył zamach na swoje życie, zarówno w tym konkretnym przypadku, jak i w czasie całej kampanii wykazał się

wspaniałą odpornością, wytrwałością, dzielnością. Zaprezentował cechy, które w polskich warunkach wyróżniają w takiej skali tylko jednego polityka: Jarosława Kaczyńskiego. To rodzaj nieprawdopodobnej determinacji, woli walki, skupienia na celu, politycznego talentu i także miłości do ojczyzny. Polityczne sukcesy prezesa PiS są zresztą w perspektywie dekad znacznie większe niż sukcesy 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych, choć oczywiście Polska waży wielokrotnie mniej na globalnej scenie niż supermocarstwo.

W obozie Zjednoczonej Prawicy trwa dyskusja o wnioskach z triumfu Trumpa. Czy i u nas jasny przekaz, charyzma i niespożyta energia mogą przewrócić antyspołeczny, antynarodowy, oligarchiczny system władzy? Czy należy zaryzykować i raczej szukać wielkiej tożsamościowej fali, niż pragmatycznie ciulać punkty wśród wrażliwych estetycznie wyborców chwiejnych, stanowiących w Polsce realnie istniejące „centrum”? Odpowiedzi na te pytania będą miały konsekwencje przy wyborze kandydata PiS na prezydenta. Odpowiedzi nie są proste, bo choć sądzę, że polityka rządu Tuska wcześniej czy później wykreuje sytuację rewolucyjną, to raczej nie nastąpi to jeszcze w chwili wyborów prezydenckich, ale później, w czasie elekcji parlamentarnej. Procesy gnilne muszą potrwać trochę dłużej. Poza tym nigdy nie można rezygnować z tej warstwy polityki, która nakazuje odnoszenie się do tych problemów, które ludzie, a nie elity obozu politycznego, uznają za naprawdę ważne.

Trump najwięcej mówił o gospodarce i imigracji, walczył z zakłamanym establishmentem, okraszał wszystko elementami wojny kulturowej, ale jednocześnie patrzył uważnie na słupki. Wygrał, bo się zmienił, ustabilizował, słuchał doradców i sztabowców. Wygrała dobra, przemyślana polityka mocnego polityka, a nie szaleńcza szarża.

6 listopada w świat poszła potężna iskra nadziei. Nadziei, że z naszej cywilizacji da się jeszcze sporo ocalić, że jeszcze nie wszystko stracone. I choć wygrał niezwykle, niebanalny, czasem irytujący człowiek, to jednocześnie wygrali najzwyczajniejsi, normalni ludzie, dbający o swoje rodziny i swoje ojczyzny. Przegrały pycha, arogancja, pogarda, ideologiczne szaleństwo zmutowanego marksizmu. Przegrały w USA, przegrają i w Polsce. Jeszcze będzie w Warszawie Waszyngton. Może szybciej, niż myślimy. **✓**

Jacek Karnowski





30

Putinada nad Wisłą
Konrad Kołodziejcki



46

**Nie kocha, nie lubi,
nie szanuje**
Aleksandra Rybińska



55

Gładiator powraca
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 5 TRUMP, CZYLI NADZIEJA**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ROZMOWA, KTÓREJ NIE BYŁO**
Krzysztof Feusette
- 9 PREZYDENCKIE PUZZLE**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 GOSPODARKA I ZDROWY ROZSĄDEK**
Daniel Obajtek
- 13 GWARANT ŚWIATOWEGO PORZĄDKU**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA KESJI TABACZUK**
Michał Korsun
- 16 GÓD BLESS POLAND!**
Jan Pietrzak
- 16 PCHNĄŁ PIERWSZĄ KOSTKĘ DOMINA?**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 PCHANIE POLSKI W RĘCE WIELKIEJ EUROPY**
Samuel Pereira
- 18 POTRZEBNY SZERYF**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20 TRIUMFATOR**
Dariusz Matuszak
- 24 BRAWUROWY POWRÓT TRUMPA**
Jan Rokita
- 27 DYPLOMACJA, GŁUPCZE!**
Marek Pyza

KRAJ

- 30 PUTINADA NAD WISŁĄ**
Konrad Kołodziejcki
- 33 KOŚCIÓŁ NA CELOWNIKU**
Piotr Gursztyn
- 36 HOŁOWNIA NIEPOTRZEBNY OD ZARAZ**
Stanisław Janecki
- 38 METROPOLITA BLISKI LUDZIOM**
Goran Andrijanić
- 40 PROGRAMOWA DEMORALIZACJA**
Dorota Łosiewicz

OPINIE

- 43 LIBERALNY NEOKOMUNIZM**
Bronisław Wildstein

ŚWIAT

- 46 NIE KOCHA, NIE LUBI, NIE SZANUJE**
Aleksandra Rybińska

- 49 ZEŁENSKI ZNÓW ATAKUJE POLSKĘ. ALE CZY NA PEWNO?**
Marek Budzisz

HISTORIA

- 52 JAK POLACY WYBIERALI PREZYDENTÓW USA**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

- 55 GLADIATOR POWRACA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 SIENKIEWICZ ANIMOWANY W INDIACH**
Maciej Walaszczyk
- 60 POCZĄTEK KOŃCA POSTĘPÓW POSTĘPU**
Robert Tekieli
- 61 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 62 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

- 64 NIESAMOWICIE PRZYPADKOWA PODRÓŻ**
Piotr Ostrowski

KOŚCIÓŁ

- 67 NOWA ENCYKLIKA FRANCISZKA**
Piotr Ślabeł

KUCHNIA

- 68 MOJE SMAKI: MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 70 GDZIE SĄ PIENIĄDZE?**
Wojciech Reszczyński
- 71 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 72 RYCERZE WIELKIEJ SPRAWY**
Aleksander Nalaskowski
- 73 JAK SPORTOWCY POMOGLI TRUMPOWI**
Ryszard Czarniecki
- 74 CYFROWE DIABEŁKI**
Katarzyna Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Trump, czyli nadzieja

Zwycięstwo Trumpa to sukces demokracji i szansa na obronę cywilizacji Zachodu. Próba wyeliminowania z życia publicznego przyszłego prezydenta USA była uderzeniem w fundament parlamentaryzmu i przypominała działania, które w Polsce podejmuje rząd Tuska. To niszcząca demokrację strategia kryminalizacji politycznych przeciwników ze strony dominującej oligarchii przy wykorzystaniu wpływów w wymiarze sprawiedliwości i gigantycznej przewagi medialnej. Polega na odebraniu dobrego imienia poprzez zmasowaną kampanię oszczerstw, aby ostatecznie pod sfabrykowanymi zarzutami oskarżyć oponenta o przestępstwa pospolite. Kampania ta przeprowadzona na wielką skalę przeciwko Trumpowi nie udała się ze względu na przywiązanie do zasad prawa amerykańskich sędziów pomimo coraz mocniejszego ich udziału w rządzącym układzie, a więc i liberalno-lewicowej orientacji. Ważna była odporność i siła charakteru ofiary nagonki. Przy okazji okazało się, że Amerykanie są coraz bardziej odporni na dominację lewicowo-liberalnych ośrodków opinio-twórczych. Jak będzie w Polsce, jeszcze nie wiemy.

Kamala Harris to reprezentant doskonały dominującej dziś na Zachodzie orientacji. Jej prezydentura byłaby pogłębianiem obecnych trendów. Postępowałyby rozmontowywanie fundamentów cywilizacji zachodniej, czyli destrukcja rodziny i wszelkich naturalnych wspólnot, krzepnięcie ideologicznego monopolu zabezpieczonego przez normy prawne, które zwalczałyby jakąkolwiek krytykę pod szyldem walki z mową nienawiści. Byłoby to wzmocnienie dominującej na Zachodzie oligarchii, która ideologię emancypacji wykorzystuje jako legitymację swojej władzy.

Zielony Ład i jemu podobne ekologiczne eksperymenty podkopywałyby gospodarczą potęgę Stanów, choć wzbogacałyby nielicznych. Ideologiczna ortodoksja utrudniałaby niepo-miennie obronę granic, a interesy najbogatszych prowadzenie skutecznej polityki międzynarodowej.

Zresztą sam wybór takiej osoby jak Harris, której kariera polityczna jest ciągiem porażek i kompromitacji, wskazywałby na jednoznaczne panowanie establishmentu nad zbiorową świadomością. Jej klęska powinna wzbudzać nadzieję.

W przypadku Trumpa sprawa jest bardziej złożona. Jego rola jako lidera moralno-politycznej odnowy wydawać się może wątpliwa. Człowiek o libertyńskiej przeszłości i finansowy magnat ma odebrać władzę oligarchii biznesu i powrócić do cnót tradycyjnej Ameryki?

Ale w historii zdarzały się takie paradoksy. Jako osoba o bezgranicznej ambicji i nieprzeciętnej inteligencji potrafił przewidywać wznoszenie się antyestablishmentowej fali i zrozumieć, że dzięki niej zdobyć może najważniejsze na świecie stanowisko. Nie wiemy, na ile odgrywał rolę, a na ile rzeczywiście wierzył

w swoją polityczną misję, ale wiemy, że dobry aktor utożsamia się z prezentowaną personą. Jako człowiek spoza układów politycznych jest stosunkowo niezależny i posunąć się może dalej niż ci, którzy swoją karierę zdobywali klasycznie polityczną drogą. Nieprzewidywalność, którą straszą nas jego wrogowie, oznaczać może odmowę konwencjonalnych, a więc zgodnych z oczekiwaniami głównych rozgrywających posunięć.

Wszystkie (!) przerażające wizje, jakie roztaczali przed nami wrogowie Trumpa przed jego pierwszą kadencją, okazały się humbugami. W polityce międzynarodowej Trump skutecznie powstrzymywał zagrożenia ze strony agresywnych sił. Trzeba było prezydentury Bidena, kompromitującej rejterady z Afganistanu, przyklepania przez amerykańskiego prezydenta dominacji Niemiec w UE oraz zdjęcia sankcji z Nord Streamu, aby Putin całą siłą ruszył na Ukrainę.

Nie wiemy naturalnie, jaka będzie strategia Trumpa wobec wojny za naszą granicą. Wiemy, że w przeciwieństwie do swojego następcy inwestował we wschodnią flankę NATO, a więc także nasz potencjał obronny. Był zainteresowany ideą Trójmorza. Domaganie się z jego strony większego zaangażowania państw europejskich w Sojusz Północnoatlantycki było ze wszech miar sensowne. Nie pozostawił UE Niemcom, co dla nas ma wielkie znaczenie.

Projekt jego strategii ekonomicznej, która polegała na obronie gospodarki USA i zatrzymaniu procesów globalizacyjnych, które wykorzystywały – lekceważąc sobie ich zasady – Chiny, choć ryzykowny jest szansą dla szerokich rzesz Amerykanów.

Trump odwołuje się do Boga i tradycyjnych amerykańskich, a więc zachodnich, cnót. Jeśli pozwoliło mu to wygrać, być może Zachód, a w każdym razie jego największa siła, jaką są Stany Zjednoczone, ma szansę na przeżycie?

Amerykańskie wybory potwierdziły raz jeszcze rozchodzenie się wszelkiego typu prognoz już nie tylko mediów, lecz także tzw. ośrodków badawczych z rzeczywistością. Wmawiano nam, iż kandydaci idą łeb w łeb, że zwycięstwo jednego z nich może być wyłącznie minimalne. A wybory okazały się historycznym pogromem demokratów.

I na koniec – możemy być pewni, że Trump odwoła ambasadora Marka Brzezinskiego, co samo w sobie stanowi dla nas wielką ulgę. 



Sygnalista nadaje

🔊 Prawactwo cieszy się z wygranej niejakiego **Donald Trumpa**, zwycięzcy wyborów w kraju, który nawet nie jest kandydatem do przyjęcia do Unii Europejskiej. Inie wiadomo, z czego prawactwo tak się raduje, bo przecież Trump zajął przedostatnie miejsce w tamtych wyborach, a na dodatek to jego ostatnia kadencja.

🔊 Poza tym jak zawsze PiS znów przegrało. Po pierwsze, jak zapewniają politycy Platformy, premier wszystkich uśmiechniętych Polaków Donald Tusk (proszę zwrócić uwagę na jego imię – absolutnie nie jest to przypadek) rozmawiał z panem Trumpem wielokrotnie więcej niż Andrzej Duda. I mówią, że ma z nim świetne relacje, co widać na wielu zdjęciach. Np. gdy celował mu w plecy albo wtedy, gdy Jean-Claude Juncker stwierdził, że o jest jednego Donalda za dużo. Przecież takie pyszne żarty zdarzają się tylko w gronie przyjaciół. Rację zatem – też jak zawsze – miał minister Radosław Sikorski, pisząc, że zwycięstwo Trumpa to skutek słusznej polityki rządu koalicji 13 grudnia. Słuszną rację ma też prezydent prawie wszystkich warszawiaków (oraz Polaków *in spe*) Rafał Trzaskowski, informując, że Trump będzie musiał rozmawiać z rządem Tuska, bo nie ma innego wyboru. Po prostu stoi pod ścianą.

🔊 I chyba wiadomo, dlaczego stoi pod tą ścianą. Najlepiej wytłumaczyła to prokurator **Ewa Wrzosek**, którą śmiało można i trzeba nazwać Dolores Ibárruri uśmiechniętej praworządności. Prokurator Dolores Wrzosek wydała jasny werdykt: „Osoba ska-

zana prawomocnym wyrokiem na karę pozbawienia wolności za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego nie może zostać prezydentem. Tak dla przypomnienia i rozróżnienia. Zanim radość z #Trump odbierze zmysły”.

🔊 Pysznym żartem Tuska była też jego wypowiedź z marca zeszłego roku. Pan Donald – powtórzmy to imię, aby znów podkreślić znaczenie zwycięstwa Platformy w wyborach amerykańskich – wkręcił prawaków żartem o tym, że Trump jest ruskim agentem: „Trump i jego zależność od rosyjskich służb już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu” – mówił przywódca uśmiechniętej Polski, a prawacy nie poznali, że to jest dowcip. Pewnie dlatego, że Tusk dodał jeszcze, aby bardziej ich zmylić: „Jeśli się zastanowicie, co głosi Trump i co głosi PiS, jest to jeden do jednego”.

🔊 Zatem widać wyraźnie, jak bardzo myli się prawica, zarzucając kłamstwo panu premierowi, który przecież słynie w całym świecie ze swojej prawdomówności, zwłaszcza dotrzymywania obietnic wyborczych. Prawacka propagandystka z „Tygodnika Solidarność” Monika Rutke, która tego nie zrozumiała i zadała panu premierowi niestosowne pytanie, została już za to słusznie ukarana. Decyzją ministrowi propagandy Agnieszki Rucińskiej nie będzie już więcej wpuszczana na konferencje pana premiera. Brawo, pani ministro! Przy okazji gratulujemy pani

🔊
Mamy już
za sobą
Wszystkich
Świętych
i Dzień
Zaduszy,
zwany przez
panie ministrowie
obecnego rządu
Dniem Zmarłych.

To ważna data przede wszystkim dlatego, że dzięki świętom premier Tusk miał dużo dłuższy weekend niż zwykle. A co najważniejsze, czas wolny tak bardzo go zaabsorbował, że nie napisał ani jednego mocnego tweeta o PiS. Coś tam wspominał o wyborach w Ameryce, ale to się nie liczy. Demokracja walcząca nie powinna tak długo milczeć, bo naród nie wie, co wtedy myśleć i może się pogubić. Tak jak pogubił się za oceanem.

ministrze gustownej fryzury. Kiedyś identycznie chesała się ministra Bieńkowska. Czas płynie, ale pewne upodobania się nie zmieniają.

Popatrzmy oczami „Gazety Wyborczej”. Przecież wiadomo, kto głosował na tego Trumpa. Wybitne pióro „GW” jasno ukazało żenujący profil wyborców faszysty zza oceanu. To biali, niewykształceni mężczyźni ze wsi, katolicy i Latynosi. Czyli jeden do jednego – cytując klasyka – elektorat PiS. „Biali bez wyższego wykształcenia nadal stanowią podstawową bazę wyborców Donalda Trumpa. Ta grupa dwukrotnie częściej głosowała na republikanina niż na demokratkę. Ale już większość białych absolwentów college’ów wołała Harris, i to w większym stopniu niż Bidena w 2020 r.” – czytamy i wyciągamy z tego jedyny możliwy wniosek. Lepiej jest mieć mniej wyborców, ale lepszych, niż więcej, ale tak paskudnych, jak mają ich Trump i PiS. Niech ta zasada zacznie obowiązywać podczas wszystkich następnych wyborów!

Ludzie z PiS zwariowali. Nie tylko z powodu Trumpa. Po prostu oszaleli i przestali myśleć. Oni żądają odwołania Izabeli Leszczyny ze stanowiska ministra zdrowia! Chcą dla niej wotum nieufności. Powody podają ogólnie znane: zapasć służby zdrowia, brak pieniędzy na zabiegi, plany likwidacji szpitali albo ich oddziałów itp., itd. Ale co w tym złego? Że ludzie nie będą mogli się leczyć, że będą z tego powodu wściekli? Wygląda na to, że pisowcy chcą, aby naród był zadowolony z rządów Donalda Tuska. Pani Leszczyna z ogromnym trudem, a także bardzo pomysłowo, pracuje na to, aby prawica wreszcie wróciła do władzy. A ci szaleńcy z Nowogrodzkiej chcą jej w tym przeszkodzić. Opamiętajcie się!

Doceniamy też ciężką pracę na tym kierunku ministra **Dariusza Wieczorka**, o którym ostatnio głośno, bo szantażował prof. Kopkę, a teraz wyszło, że zastraszał też dr. Andrzeja Dybczyńskiego, szefa Sieci Badawczej Łukasiewicz. Minister powiedział doktorowi, że zniszczy jego wizerunek, ale w istocie treścią jego pracy jest rujnowanie wizerunku rządu w oczach środowisk naukowych. I trzeba przyznać, że minister Wieczorek ma trudniej niż ministra Leszczyna. U niej bowiem buntują się i pyskują różni fizjoterapeuci czy inni lekarze, a świat akademicki jest inny. Minister może z profesorami robić co zechce, a oni i tak powiedzą, że to pada ciepły deszcz. *Vivat academia! Vivant professores!*

Herr Professor Ruchniewicz objął kierownictwo Graff-von-Stauffenberg-Institut



(dawniej Instytut Pileckiego). Cieszymy się, że żelazna miotła uśmiechniętej Polski dotarła wreszcie do tej smutnej pamiątki po czasach podważania braterskiego sojuszu narodów polskiego i niemieckiego. „Jak świat światem, Polak zawsze będzie Niemcowi bratem” – to motto, które głosi nowy Instituteleiter. Wprawdzie bratem młodszym i trochę ubezwłasnowolnionym, ale wiadomo, że zawsze ważniejszy jest starszy brat.

Jednocześnie posadę stracił niejaki Wojciech Kozłowski, który pracował tam jeszcze w czasach kaczyzowskich. W odpowiednim momencie uśmiechnął się do Polski uśmiechniętej i myślał, że nadal będzie tam szefem. Troszkę pomogły mu kontakty z samym Romanem Giertychem. Żli ludzie powiadają, że kanałem były kontakty z Opus Dei. Te same, z których skorzystał były ziobrysta Tomasz Mraz (bardziej znany jako Pan Kleks z racji kamuflażu noszonego na twarzy). W każdym razie Mraz – Kozłowski zrobił swoje, może więc odejść.

Wracając do Herr Ruchniewicza, jest jeden problem w jego ocenie. Otóż najwybitniejszy niemcoznawcy spierają się, czy to on jest największym nawilżaczem Niemiec w Polsce, czy jednak ma konkurenta. Wskazywany bowiem jest też niejaki Bartosch Wielinski z „Gazety Wyborczej” jako ten, któremu przysługuje tytuł Leistungspole nr 1. Tytułem kompromisu proponujemy, aby Herr Professor był liderem nawilżaczy starszego pokolenia, a Herr Bartosch młodszej generacji.

Konkludując, wiadomość o nominacji Herr Professora Ruchniewicza bardzo ucieszyła miłośników dr. Leszka Sykulskiego, to bowiem oczywisty sygnał, że ich guru intelektualny wkrótce obejmie kierownictwo Ośrodka Studiów Wschodnich.

To się dobrze złoży, bo okazało się też, że w siedzibie Agory jest biuro pana Moszeńskiego, bliskiego współpracownika prezydenta Białorusi Aleksandra Łukaszenki. Dziennikarze „Gazety Wyborczej” mówią, że nic o tym nie wiedzą, ale to przez skromność. Nie wiedział też o tym gen. Jarsław Stróżyk, dzielny ścigacz wpływów rosyjskich. Po co zresztą miał wiedzieć, skoro wiadomo, że te wpływy są tylko na prawicy, a nie wśród prawdziwych demokratów.

Prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie śmierci Jolanty Brzeskiej. No i co z tego? Po coś przecież były te wybory.

Rozmowa, której nie było

Głos 1: Halo? Helo! Ajm from Poland... to znaczy, aj fon tu ju tu... Tak w ogóle to hał tu ju tumoroł, bo od tego powinienem zacząć, to znaczy tunajt, nie tumoroł... No, w każdym razie aj ludlajk rozmawiać lyw prezident of de jutube, to znaczy juesej...

Głos 2: Yes, yes...

Głos 1: Halo? Helo! Mój najmen is... to znaczy, maj nejman... neumann... Jezu Chryste, znaczy się dżizas... No zeświruję zaraz, jak w „Dniu świra”. Tyle lat nauki jak krew w piach... Czy pan mnie w ogóle słyszy?

Głos 2: Yes, yes...

Głos 1: Ale co „jest”? Jest dobrze czy jest niedobrze?

Głos 2: Do you speak English?

Głos 1: Ja? W sensie mi? Oczywiście, że ofkors. Du ju hał hał! Hał du ju jutube?

Głos 2: Can you repeat, please?

Głos 1: Nie, ja już pit składałem. Dzwonię to znaczy ajfonju, żeby pogratulejszyn, bikoju... K..., nie wiem, jak jest „zostać”... No, że pan, znaczy się mister, tubi teraz prezydent of de junajted kimdzone... dingdong... to znaczy, chwileczkę, bo muszę zerknąć w akta... junajted stejts. Of de emerika północna. Także gratulejszyn, gratulejszyn tu ju... Halo?

Głos 2: Yes, yes...

Głos 1: Aha, no, to już mówię. Przede wszystkim, czyli samoje gławnoje, to znaczy wery best są pozdrowienia od Radosław Szykorsky. Z Polski from Poland. Radek pragnie zapewnić, że jego lajw, w sensie żona, nie odzwierciedla jego poglądów. I jak nazywała pana prezydenta faszystą, to była po jabłkach. Stąd nazwisko: Applebaum. Także on ju wery sorry. Żony takie są. Moja kiedyś powiedziała, że jeden Donald w polityce wystarczy. W domu to czasem ani jednego nie chciała.

Głos 2: Yes, yes...

Głos 1: Oj, ale słyszę jednak pewien chłód w głosie. Winter in jor voice, jes? Pewnie o ten pistolet chodzi, co? Ja wiem, że to był kiepski żart. Taki dojcze dżołk, ju noł. A ten rewolwer czy tam kolt, ja już nie pamiętam, co trzymałem, to znaczy nating nie trzymałem, bo to tylko z palców było zrobione. O, wskazujący i środkowy... Ale środkowy nie w tym sensie... Halo?

Głos 2: Yes, yes...

Głos 1: Ja coś czuję, że pan prezydent mnie nie rozumie i stąd są te nieporozumienia. Np. u nas dziennikarze zrozumieli, że ja kiedyś pana prezydenta nazywałem rosyjskim szpiegiem. A ja nic takiego nie pomyślałem. Może powiedziałem, ale w kampanii to się przecież różne rzeczy mówi, prawda? O, i znowu zapomniałem, że trzeba po angielsku. Ja się języka uczyłem, ale tylko na poziomie dyplomatycznym, czyli jakieś „jes, ofkors” czy „lan milian of dolars”. Ale amerykański to jednak co innego. Korepetytor mówił, że akcent mam dobry, tylko słówek nie znam. Halo, czy ktoś to w ogóle tłumaczy? Znaczy się, to, co ja spiking for ju?

Głos 2: Yes, yes...

Głos 1: Aha, czyli tłumaczy. No i dobrze, zawsze to jakieś zabezpieczenie. Może sam spróbuję: aj mast sej tu ju, że byłem troszeczkę, elityl, do pana prezydenta uprzedzony. Ale jak jest „uprzedzony”, to na prawdę nie wiem. Dobra, bo ja dużo mówię, a chciałbym usłyszeć, jak pan prezydent to wszystko widzi. I czy wszystko między nami jest okej? Halo?

Głos 3: Halo, kto mówi?

Głos 1: No, jak to kto? No przecież rozmawiamy sobie spokojnie, jak Donald z Donaldem, a pani się wcina!

Głos 3: Gdzie pan chciał się dodzwonić?

Głos 1: Jak „gdzie”? Do Waszyngtonu! Biały Dom, ju noł!

Głos 3: U nas? W Białym Dunajcu?

Głos 1: Jakim Dunajcu? Po jakiego grzyba mam dzwonić do Dunajca? Proszę bardzo: lista kontaktów, Biały Dom, Biały Dunajec... O, kurczę, rzeczywiście! No to jest skandal. Międzynarodowy. Międzykontynentalny nawet! Czy pani w ogóle wie, z kim rozmawia? Czy pani ma świadomość, kogo chcieliście wkręcić, ale wam się nie udało?!

Głos 3: Przecież to pan dzwoni...

Głos 1: Ja jestem premierem tego kraju! Halo! Halo!!! O nie, ja tego tak nie zostawię. Pani Kristinko, natychmiast łączysz z Siemoniakiem. Albo nie, od razu z Bodnarem. I te brwi mi pani poprawi, bo znowu się pomarszczyły!

Krzysztof Feusette



Oddalają się szanse na start w wyborach prezydenckich Rafała Trzaskowskiego, choć przez chwilę wydawał się być pewniakiem Koalicji Obywatelskiej. Sam był chyba przekonany, że wystartuje, bo wielokrotnie deklarował, że chce i taki ma plan. Jednak politycy KO coraz chętniej i głośniejsz wskazują na Radosława Sikorskiego, a po zwycięstwie Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich marszałek senior Marek Sawicki stwierdził na antenie telewizji wPolsce24, że dla jego ekipy rządzącej „to zwycięstwo to jasny sygnał, że albo postawi na programowe zapowiedzi dotyczące gospodarki, przedsiębiorczości, demografii, służby zdrowia i energii, albo postawi na projekty progresywne i obyczajowe i za niecałe trzy lata przerznie wybory”. Sawicki dodał także, że „wyniki ze Stanów Zjednoczonych pokazują, że Rafał Trzaskowski nie ma szans na wygranie prezydentury”.

Zostaje więc Radosław Sikorski, ale i tu w kontekście wyborczego rozstrzygnięcia w Stanach Zjednoczonych sprawa nie jest prosta, bowiem Sikorski nazywał Trumpa „człowiekiem niepo czytelnym” i „protofaszystą”, a jego żona porównywała 47. prezydenta USA do Hitlera, Stalina i Mussoliniego. Sam Trzaskowski, który w ramach prekampanii objeżdża Polskę, jeszcze w kwietniu pogłoski o starcie Sikorskiego nazywał kaczka dziennikarską, a dziś szef MSZ wbija prezydentowi Warszawy szpilę za szpilą, mówiąc, że w wyborach powinna wystartować osoba, która rozumie wrażliwość i liberalną, i konserwatywną, bowiem w stolicy nie zawsze wszyscy rozumieją, jak myśli reszta Polski.

I tu Marek Sawicki, wiceprezesa klubu PSL-Trzecia Droga, z zadowoleniem wraca do lansowanej przez siebie od tygodni koncepcji, że wbrew publicznym deklaracjom wystartuje jednak Donald Tusk. Ale i w takim wypadku w kontekście zwycięstwa Donalda Trumpa sytuacja się skomplikowała, bowiem nie kto inny, a Donald Tusk sugerował, że Trump jest rosyjskim agentem.

Prezydenckie puzzle

Po wyborach w USA Marek Sawicki wraca do lansowanej przez siebie od tygodni koncepcji: w prezydenckiej rywalizacji wbrew publicznym deklaracjom wystartuje jednak Donald Tusk

ski 2050 byli gotowi zrywać współpracę w ramach Trzeciej Drogi z powodu braku poparcia ze strony PSL dla marszałka Hołowni, który nigdy nie krył, że ten start mu się marzy. Ale i tu Marek Sawicki komplikuje sytuację, twierdząc, że ludowcy powinni poszukać własnego kandydata, „czy to w PSL, czy ze środowiskami, które z nami współpracują. Jeśli nie będzie tutaj wielkiej woli i determinacji ze strony Szymona Hołowni, żeby startować, to też nikt z nas nie będzie rozpaczając. Będziemy szukali innego kandydata”.

Na lewicy sytuacja też jest skomplikowana, bowiem tam szykuje się bój w rodzinie. Swoich kandydatów wystawia partia Razem i Nowa Lewica, które będą się bić o ten sam elektorat, a to nie wróży zadowalającego wyniku.

Po zwycięstwie Donalda Trumpa Prawo i Sprawiedliwość nabrało wiatru w żagle, bowiem konserwatywna agenda zyskała silnego sojusznika. Jednak wciąż nie zapadła decyzja, czy powinien to być kandydat, który silnie zmobilizuje twarde elektorat, ale w drugiej turze, zyskując poparcie Konfederacji i części PSL, równie mocno zmobilizuje swoich przeciwników, czy może jednak powinien to być mniej znany, bardziej centrowy pretendent pozbawiony elektoratu negatywnego, ale słabiej mobilizujący twarde wyborców PiS.

Każdy ma tu swoją łamigłówkę do rozwiązania i własne puzzle do ułożenia, a czasu coraz mniej. Ostatecznie i tak zdecydują wyborcy, którzy zawsze potrafią zaskoczyć.

Dorota Losiewicz





Powrót gotówki



Szwecja

Do końca przyszłego roku Szwecja miała się stać krajem bezgotówkowym. Jednak rząd w Sztokholmie wycofuje się z tych planów. Powodem jest wojna na Ukrainie i wzrost zagrożenia ze strony Rosji. Podobną decyzję podjęła sąsiednia Norwegia.

W broszurze zatytułowanej „Jeśli nadejdzie kryzys lub wojna”, która w przyszłym miesiącu zostanie wysłana do każdego domu w Szwecji, ministerstwo obrony radzi obywatelom, aby regularnie korzystali z gotówki i mieli jej co najmniej tygodniowy zapas w różnych nominałach. „Jeśli możesz zapłacić na kilka różnych sposobów, wzmacniasz swoją gotowość” – radzi resort. Rząd wyjaśnia, że gotówka jest pewniejszym rozwiązaniem od płatności cyfrowych, które są podatne na cyberataki.

Podobną strategię przyjął rząd sąsiedniej Norwegii. Długotrwałe przerwy w dostawie prądu, awarie systemów lub ataki hakerskie na systemy płatności i banki mogą sprawić, że w sytuacji zagrożenia gotówka stanie się jedyną łatwo dostępną alternatywą – stwierdziła norweska minister sprawiedliwości i bezpieczeństwa publicznego Emilie Mehr. Dlatego rząd w Oslo zalecił obywatelom, aby zawsze mieli gotówkę pod ręką.

Zarówno Szwecja, jak i Norwegia jeszcze niedawno należały do prymusów wprowadzania systemu bezgotówkowego. Według prognoz szwedzkiego banku centralnego sprzed sześciu lat Szwecja miała się stać społeczeństwem bezgotówkowym już w 2025 r. Za tym rozwiązaniem opowiadały się przede wszystkim firmy technologiczne oraz prywatne banki, którym płatności cyfrowe przynosiły wyższe zyski. Sklepy i punkty usługowe mogły odmówić przyjmowania gotówki od klientów pod warunkiem, że umieściły taką informację w widocznym miejscu. W rezultacie odsetek zakupów gotówkowych w sklepach stacjonarnych spadł w Szwecji z prawie 40 proc. w 2012 r. do ok. 10 proc. w ostatnich latach. Także w Norwegii, choć nie było tam stosownych przepisów, sprzedawcy często odmawiali przyjmowania gotówki. Teraz po zmianie polityki będzie im za to grozić kara grzywny. Wprowadzenie podobnych reguł planuje również Szwecja.

Zagrożenie wojenne uświadomiło obu skandynawskim rządów kluczową rolę gotówki dla bezpieczeństwa państwa. Było to o tyle łatwe, że oba kraje posiadają własną walutę i dzięki niej mogą prowadzić samodzielną politykę w tej kwestii. „Gotówka pełni bardzo szczególną rolę w systemie płatniczym, ponieważ jest wydawana przez państwo, a także jest jedyną formą płatności, z której możemy skorzystać, jeśli systemy sieci energetycznych lub komunikacyjnych nie działają tak, jak powinny” – podkreślił Max Brimberg ze szwedzkiego banku centralnego.

Konrad Kolodziejski

Kto stanie po stronie Ujgurów?

W Sarajewie odbyło się zgromadzenie ogólne Światowego Kongresu Ujgurów. Przedstawiciele tego kilkunastomilionowego narodu po raz kolejny postanowili zwrócić uwagę międzynarodowej opinii publicznej na prześladowania, którym jako mniejszość etniczna podlegają w Chinach. Komunistyczny rząd w Pekinie wysyła bowiem setki tysięcy Ujgurów do obozów koncentracyjnych, w których zmusza się ich do niewolniczej pracy.

Organizatorzy kongresu jako miejsce wydarzenia wybrali Bośnię, ponieważ jest ona krajem zamieszkałym w większości przez muzułmanów, w niedawnej przeszłości była świadkiem ludobójstwa oraz ma doświadczenie w dokumentowaniu i nagłaśnianiu zbrodni przeciwko ludzkości. Kilka lat temu Ujgurzy na



Bośnia i Hercegowina

emigracji nawiązali kontakt z angielskim prawnikiem sir Geoffrey'em Nice'em, który był prokuratorem generalnym w procesie Slobodana Miloševića w Hadze. Brytyjczyk zgodził się objąć funkcję przewodniczącego Trybunału Ujgurskiego, czyli niezależnej organizacji z siedzibą w Londynie, która zbiera dokumentację procesową dotyczącą zbrodni w prowincji Sinciang. Wspomniany trybunał orzekł, że władze w Pekinie dopuszczają się ludobójstwa na Ujgurach m.in. poprzez kontrolę urodzeń i przymusową sterylizację kobiet.

Działacze kongresu skarżyli się na działania władz chińskich, które wywierały presję, także na Bośniaków, by nie do-

puścić do organizacji wydarzenia w Sarajewie. Ostatecznie to się udało, choć z wieloma trudnościami. Ujgurzy zwracają uwagę, że nacisk Pekinu okazuje się skuteczny zwłaszcza w przypadku krajów muzułmańskich, które utrzymują ścisłe kontakty gospodarcze z Chinami. Dlatego o prześladowaniach Ujgurów milczą uzależnieni od chińskich inwestycji przywódcy Azji Środkowej, m.in. Kazachstanu, Kirgistanu czy Tadżykistanu. Potrafią wiele mówić o cierpieniach swoich islamskich współwyznawców w Palestynie, ale nabierają wody w usta w przypadku Ujgurów. Dlatego ci ostatni mają na świecie tak mało przyjaciół.

Grzegorz Górny

Nowe Karakorum

Mongolia chce zbudować nową stolicę. W Azji tego rodzaju plany nie są niczym nadzwyczajnym, nowe centrum administracyjne buduje Indonezja, a w przeszłości na podobny krok zdecydowały się władze Kazachstanu, wznosząc Astanę. Jednak decyzja podjęta przez prezydenta Uchnaagijna Chürelsücha ma symboliczne znaczenie. Nowe Miasto Karakorum, bo tak ma się nazywać nowa stolica, będzie położone w bezpośredniej bliskości ruin Karakorum, stolicy imperium Mongołów, którą wznosił Ugedej, syn Czyngis-chana.

W tym wypadku nie chodzi wyłącznie o nawiązanie do zamierzonych tradycji, lecz także o zerwanie z dziedzictwem rosyjskiej dominacji, bo dotychczasowa stolica Ulan Bator (w tłumaczeniu Czerwony Bohater) została tak nazwana na cześć Suche Batora, komunistycznego dowódcy, który zdobył miasto w 1924 r., rozpoczynając w ten sposób okres podporządkowania Mongolii ZSRR. Decyzja o przeniesieniu stolicy ma również wymiar praktyczny i geopolityczny. Ze względu na szybkie tempo przyrostu liczby mieszkańców zanieczyszczenie powietrza w Ulan Bator zwłaszcza zimą wzrosło do niebezpiecznego poziomu, a infrastruktura komunalna jest tak przestarzała, że nale-

żałoby ją w praktyce zbudować od nowa.

Międzynarodowy przetarg na zaprojektowanie nowej stolicy został już rozstrzygnięty i do finału zakwalifikowano dwie firmy. Obydwie pochodzą z Chin, co pokazuje, jak zmieniają się wpływy w regionie – rosyjskie maleją, a chińskie rosną.

Nowe miasto postanowiono zbudować w technologii „smart city”. 70 proc. zapotrzebowania na energię elektryczną ma pochodzić ze źródeł odnawialnych, miasto ma być też wygodną i nowoczesną przestrzenią dla mongolskiej klasy średniej oraz przybyszów z zagranicy. Rozpoczęcie prac budowlanych jest planowane w przyszłym roku, jednak przeprowadzka rządu nastąpi, jak się ocenia, ok. 2050 r. Koszty inwestycji nie są znane, ale z pewnością będą wysokie. Nowa stolica Indonezji ma kosztować 30 mld dol., budowane od podstaw miasto Songdo w Korei Płd. – 40 mld, ale wzniesienie chińskiego miasta Kangbashi w Mongolii Wewnętrznej – już 160 mld. Wysiłek o tej skali będzie więc ogromny i dlatego realizacja inwestycji może potrwać długie lata.

Marek Budzisz



Kobiety sport nie dla kobiet

Sportsmenki straciły już prawie 900 medali na rzecz rywali transseksualnych w konkurencjach sportowych kobiet – wynika ze wstrząsającego raportu ONZ przedstawionego Zgromadzeniu Ogólnemu tej organizacji. W badaniu zatytułowanym „Przemoc wobec kobiet i dziewcząt w sporcie” stwierdzono, że ponad 600 sportemek zostało pokonanych w różnych konkurencjach przez zawodników, którzy urodzili się mężczyznami. Obejmuje on okres do końca marca br. oraz 29 różnych dyscyplin sportowych.

„Płeć należy rozumieć w jej zwykłym znaczeniu jako płeć biologiczną” – powiedziała podczas prezentacji raportu Reem Alsalem, sprawozdawczyni ONZ, przyznając, że odpowiedzialnymi za ten stan są zarówno międzynarodowe, jak i krajowe federacje sportowe, które pozwoliły sportowcom podającym się za kobiety rywalizować w kobiecych kategoriach sportowych. Potwierdzono, że sportowcy urodzeni jako mężczyźni mają cechy charakterystyczne dla ich płci, to znaczy dysponują większą siłą, co w części dyscyplin dla kobiet oznacza „utrata uczciwych szans”. I nie zmienia tego fakt, że niektóre federacje nakazują medyczne obniżenie poziomu testosteronu jako warunek dopuszczenia do rywalizacji. Okazuje się bowiem, że takie zabiegi nie powodują u mężczyzn utraty wielu przewag fizycznych.

Taka sytuacja miała ostatnio miejsce m.in. w lidze piłki nożnej kobiet w Hiszpanii, gdzie Club Esportiu Europa zezwolił dwóm brodatym zawodniczkom, podobno przechodzącym transformację płci, na udział w rozgrywkach. I akurat bramka strzelona przez jednego z nich zdecydowała o zwycięstwie w spotkaniu z Terrassa FC. W ten sposób genderowa zaraza trawi wiele innych dyscyplin. Wśród tzw. sportowców transseksualnych, którzy pokonywali kobiety i zdobywali złote medale, znalazła się m.in. kanadyjska kolarka Veronica Ivy, amerykański pływak występujący jako Lia Thomas oraz algierska bokserka Imane Khelif, wokół której wybuch skandalu podczas tegorocznych igrzysk olimpijskich w Paryżu, a dziś wychodzą na jaw jego kulisy. Bo choć nie identyfikuje się ona jako osoba transseksualna, to jednak nie przeszła dwóch testów kwalifikacyjnych pod kątem płci przeprowadzonych przez federację IBA. Okazuje się, że ma męskie chromosomy XY, schowane jądra, mikropenis, brak macicy i niski poziom testosteronu – po prostu jest zdeformowanym mężczyzną. Niestety działacze MKOl, którzy nie uznają IBA, odrzucili badania jako „nielegalne” i zezwolili na udział w rywalizacji. Na szczęście coraz więcej dyscyplin decyduje się na wprowadzenie zakazu udziału transpłciowych zawodniczek w imprezach sportowych.

Maciej Walaszczyk

Mongolia



Gospodarka i zdrowy rozsądek

Ostatnie wybory za wielką wodą jasno pokazały, dlaczego mimo perturbacji i ruchów geopolitycznych to Stany Zjednoczone pozostają niekwestionowanym światowym liderem. W ostatecznym rozrachunku okazało się bowiem, że wyborcy wykazali się stoickim spokojem i nie bacząc na medialną hucpę, zagłosowali w interesie własnych portfeli oraz własnego bezpieczeństwa

Niewydolnym gospodarczo i politycznie demokratom nie pomogły ani dramatyczne apele celebrytów, ani rozdzieranie szat przez elity, ani medialna histeria. Statystyczny mieszkaniec USA może i tego wysłuchał, może się nawet tym ubawił, po czym zagłosował na Donalda Trumpa. Najwyraźniej ów statystyczny Amerykanin uznał, że wybór republikańskiego kandydata zapewni mu lepszy byt i większy spokój – a to ceni sobie daleko bardziej niż forsowane przez demokratów ideologiczne narracje.

Potęę Stanów Zjednoczonych zbudowali silni, twardo stąpający po ziemi ludzie, którzy nieraz w życiu przekonali się, że fundament na którym można trwale budować, to wartości konserwatywne (dziś w wielu środowiskach niemodne) – wiara, rodzina – oraz gospodarka na podstawie rachunku ekonomicznego i interesu własnego kraju, nie zaś ideologiczne mity. Ten duch pionierów wciąż jest żywy

w Ameryce i dlatego w czasach ekonomicznego oraz geopolitycznego kryzysu postawili na człowieka, który wyznaje te właśnie wartości i zamierza postawić je ponad ideologicznymi hasłami.

Wyborem Trumpa Amerykanie najpewniej uratowali swoją gospodarkę przed pogłębiającym się kryzysem, a amerykańskie firmy przed upadkiem. Zapowiedź obniżenia cen kopalnych nośników energii i zerwania z pseudoekologicznym szaleństwem to sygnał, że amerykańskie firmy odjadą konkurencyjnie europejskiemu biznesowi jeszcze szybciej i jeszcze dalej.

Dzisiejsza Unia Europejska tkwi w ideologicznym klinczu Zielonego Ładu i kręci się w kółko, zjadając własny ogon. Trwające wysłuchania kandydatów na komisarzy niestety tylko to potwierdzają. Podczas kolejnych wystąpień gospodarczych dostaliśmy mnóstwo mglistych zapowiedzi przełomowych strategii i setek nowych analiz, ogólnikowe zapewnienia o konieczności reform oraz potrzebie zwiększania inwestycji i ulżenia przedsiębiorcom, jednak żadnych realnych rozwiązań, żadnych konkretnych. Niestrawne danie podlane dodatkowo toksycznym sosem zapewnień, że kluczowa pozostaje proklimatyczna ideologia i urojone cele redukcji emisji.

Stan gry jest więc taki, że amerykańscy przedsiębiorcy szykują się na ożywienie gospodarcze, a Europejczycy raczej na kolejki w pośredniakach po masowych zwolnieniach.

Jedyna nadzieja, że jeszcze mocniej zaktywizują się europejskie społeczeństwa, dając wyraz niezgodzie na unijne szaleństwo w krajowych wyborach i w masowych protestach, tym samym razem z przedsiębiorcami i rolnikami wymuszą na europejskich politykach zmianę podejścia. W innym przypadku pozostanie nam obserwować odradzający się amerykański sen z perspektywy zimnego, ciemnego i głodnego zaścianka. 

Daniel Obajtek



Fot. Archiwum autora

Gwarant światowego porządku

Forsowana przez przeciwników prezydenta Donalda Trupa opowieść o możliwym izolacjonizmie Stanów Zjednoczonych czy buńczucznie wypowiediane przez proniemieckich polityków słowa o zakończeniu współpracy Europy z USA są sprzeczne zarówno z interesem Ameryki, jak i Unii Europejskiej.

Zwycięstwo Donalda Trumpa i republikanów jest szansą na zatrzymanie marszu lewackiej rewolucji kulturowej, odejście od dewastującej gospodarkę ideologii Zielonego Ładu, zakończenie wojny na Ukrainie – choćby wskutek zwiększenia wydobycia ropy naftowej w USA, obniżenia cen tego surowca i zagłodzenia w ten sposób imperialnych ambicji Rosji. Wybór Trumpa, za którego wcześniejszej prezydentury zablokowano Nord Stream 2, wzmacnianie NATO, wspierano Trójmorze, polską obronność i bezpieczeństwo energetyczne dzięki sprowadzanemu z USA do Świnoujścia gazowi to także szansa na wzmocnienie regionu Europy Środkowowschodniej, której najistotniejszym graczem jest Polska (przyjmując, że państwem rządzi większość dbająca o polskie interesy).

W ciągu ostatnich 70 lat zarówno administracja demokratów, jak i republikanów zdawały sobie sprawę z tego, że amerykańskie bezpieczeństwo i dobrobyt w kraju są powiązane z dobrą kondycją gospodarki oraz sytuacją polityczną za granicą, a także iż Ameryka radzi sobie lepiej, gdy inne państwa mają motywację i zdolność do współpracy z USA w rozwiązywaniu globalnych problemów. Porządek międzynarodowy, który zbudowała i którym kieruje Ameryka, nie był doskonały, ale zbiegł się z niespotykanym w historii ludzkości okresem bezpieczeństwa i dobrobytu. Wiele narodów skorzystało na inwestycjach Ameryki w światowe bezpieczeństwo i dobrobyt. W ostatnich latach wartość globalnego zaangażowania USA jest kwestionowana.

Z niedawnych doświadczeń wynika, że jeśli Ameryka wycofa się z globalnej sceny, narody Afryki, Azji, Europy, Ameryki Łacińskiej i Bliskiego Wschodu będą w coraz większym stopniu ulegać autorytaryzmowi czy ekstremistycznej ideologii. Amerykański izolacjonizm byłby szkodliwy dla interesów tych społeczeństw, ale przede wszystkim dla interesów USA, ponieważ bezpieczeństwo i dobrobyt Ameryki są uwarunkowane sojuszami z narodami, które podzielają te same wartości. Zarówno Rosja, jak i Chiny wyznają odmienny system wartości. Odmienne postrzegają wolność, swobodę działalności gospodarczej, demokrację czy praworządność. Gdyby wypełniły one próżnię pozostawioną przez Stany Zjednoczone, mogłoby to równie dobrze oznaczać powrót do systemu równowagi sił, w którym największe światowe mocarstwa rywalizowały militarnie o terytoria i strefy wpływów, ponosząc ogromne koszty ludzkie i finansowe. To świat, do którego nikt z nas nie powinien chcieć wracać. USA pod wodzą republikanów mogą odegrać rolę obrońcy wskazanych filarów systemu międzynarodowego, które sprawdziły się w ostatnich dekadach.

Polska jest w naszej części świata najważniejszym sojusznikiem USA, stanowiąc największe państwo regionu z najsilniejszą

armią i największą populacją. Dla Polaków USA z definicji jest tradycyjnym przyjacielem i sojusznikiem. Wśród Amerykanów pochodzenia wschodnioeuropejskiego największą grupę etniczną stanowią Amerykanie polskiego pochodzenia. Polskie lobby stanowi ważną grupę wyborców, także ze względu na wielkość i względną siłę RP. Polacy w USA inaczej niż przedstawiciele wielu innych narodowości nie są źródłem przestępczości i terroryzmu, które zagrażają Stanom Zjednoczonym. Dla Ameryki Europa Wschodnia i Balkany mogą mieć kluczowe znaczenie w trzech głównych kierunkach: Rosji i innych terytoriów poradzieckich, Bliskiego Wschodu i Europy. Zagrożeniem bezpieczeństwa Ameryki jest Rosja, nawet jeśli ekonomicznie lub w dziedzinie broni konwencjonalnej nie jest w stanie konkurować z USA. Nadal dysponuje ona drugim co do wielkości arsenałem nuklearnym na świecie. W jakimkolwiek przyszłym konflikcie z Rosją Stany Zjednoczone mogą oczekiwać, że były państwa komunistyczne Europy Wschodniej będą sojusznikami. I m.in. z tego powodu USA nie mogą stawiać na izolacjonizm.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 22.00

27/1024/F

Walizka Kesji Tabaczuk

malarki

Moja artystyczna podróż trwa. Zaczęła się w dzieciństwie, kiedy z pasją malowałam i rysowałam. Jako nastolatka ukończyłam sześcioletnią szkołę plastyczną, ale paradoksalnie nie kontynuowałam edukacji artystycznej, ponieważ nie planowałam zostać malarką. W Polsce malarstwa nie traktowano poważnie, zwłaszcza jako zawodu, z którego można się utrzymać, dlatego nikomu nie pokazywałam swoich prac. Gdy moja mama po raz drugi wyszła za mąż, postanowiłam namalować portret na ich pierwszą rocznicę. Dostałam od męża porządny sprzęt i po długiej przerwie powstał obraz, potem następny i kolejny. To ponownie otworzyło mnie na malarstwo. Pewnej nocy zaczęłam szukać galerii w internecie. Do kilku z nich wysłałam zdjęcia swoich prac. Natychmiast odpisała – a była godzina 00.15 – galeria Ramfjord z Oslo, zainteresowana współpracą. Kiedy moje obrazy zaczęły się sprzedawać, zrezygnowałam z „normalnej pracy” i bez reszty poświęciłam się malowaniu. To zaowocowało podjęciem współpracy z nowojorską galerią Arcadia Contemporary. Bycie zawodowym artystą to także podróże związane z wystawami, targami sztuki czy wygranymi konkursami. Na stałe mieszkam w Norwegii, ale często latam do USA, gdzie moje prace cieszą się dużym zainteresowaniem kolekcjonerów.



KAWA

Najważniejszy posiłek dnia! Dzień rozpoczynam od samej kawy z mlekiem owsianym. Tradycyjny obiad jem ok. 15.00. Z kolei kolację o północy, dwie godziny przed pójściem spać.



GITARA

Gdy miałam siedem lat, mama nauczyła mnie grać na gitarze. Odkąd zostałam artystką na pełen etat, musiałam znaleźć hobby – odskocznik od malowania, a granie na gitarze, którą dostałam od teścia, jest fantastyczną formą odpoczynku.



PISMO ŚWIĘTE

Światowy bestseller. Gdy miałam 20 lat, zostałam świadkiem Jehowy. Od tego czasu regularnie czytam Biblię, która bardzo pomaga mi w życiu.





JULIAN I PETRONELKA

Oprócz koni uwielbiam żółwie. Ponieważ jest

to grecka odmiana, która zimę przespia w wykopanych norach, moją parę obecnie trzymam w lodówce w temperaturze ok. 6 stopni. Wybór żółwia zamiast psa czy kota nie był przypadkowy, ponieważ nie lubię, gdy zwierzęta umierają, a Julian i Petronelka mogą nawet dożyć setki.



MUZYKA

Niezbędna jako tło do pracy twórczej. Lubię takie zespoły, jak Red Hot Chili Peppers, Pink Floyd, Nirvana. Wolę muzykę z lat 70., 80. i 90., ponieważ w przeciwieństwie do współczesnej ma ładunek emocjonalny.



FARBY

Gdy w szkole plastycznej zaczęłam się interesować farbami olejnymi, już nie wróciłam do akryli. Kilka lat temu odkryłam produkty brytyjskiej firmy Michael Harding, które opierają się na składnikach bez szkodliwych dodatków. Ich farby są bardzo wydajne, a Miracle Medium jest bezwonny, ekologiczny odpowiednikiem terpentyny. Od roku jestem ambasadorem tej marki.

RODZINA

Najważniejsi są ludzie. Nie wyobrażam sobie, by stawiać malarstwo lub inne mniej istotne rzeczy przed relacjami z bliskimi. Słyszałam, że są artyści, którzy tworzą w bólu, ja tak nie potrafię. Mam fantastyczną rodzinę i wspierającego męża.



JAZDA KONNA

Bardzo pewnie czuję się w siodle, bo praktycznie jeżdżę od małego. Podczas wyjazdów na wakacje sprawdzam, czy w okolicy są stajnie. Lubię je odwiedzać, żeby oczywiście trochę też pojeździć.



OBRAZY

Zawsze kochałam malować ludzi. I to chyba widać w moich pracach, gdzie twarz jest dopracowana, a reszta trochę mniej szczegółowa. Lubię wychwytywać emocje na twarzy, ale nie te skrajne, tylko subtelne, nieoczywiste. Delikatna zmiana układu brwi czy kącików ust wszystko zmienia. Przeważnie maluję dziewczyny i kobiety, bo uważam, że są ciekawszymi obiektami. Moje obrazy nie są zwykłymi portretami. Bohaterkom towarzyszy jakaś tajemnica, przestrzeń pozwalająca na indywidualną interpretację każdego odbiorcy.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

God bless Poland!



**Jan
Pietrzak**

Po listopadowych odwiedzinach u rodziny i przyjaciół na cmentarzach w moim wieku nie jest łatwo wrócić do rutynowej „agendy” obowiązków domowych i zawodowych. Złapałem się na tym, że wykręcam numer do córki, przy której grobie właśnie się wczoraj modliłem, by w zaświatach spotkał ją lepszy los niż na naszym padole. Zmarła przed kilkoma laty na straszliwą chorobę, stwardnienie zanikowe boczne (ALS). Od tamtej pory codziennie dotkliwie odczuwam jej nieobecność. Z pewnością ubył mi trochę serca. Ugodziły dwa zawały, szczęśliwie wyleczone w Klinice Kardiologii na Banacha i w Centrum Kardiologii w Józefowie. Poruszał ten leczniczy wątek celowo, by wyrazić protest przeciwko rządowym głupcom, którzy demolują służbę zdrowia, używając argumentu honorariów lekarskich, jakoby zbyt wysokich. W Polsce za dużo zarabiają jedynie polityczni hochsztaplerzy, udający rząd. Społeczeństwo en masse zarabia zdecydowanie za mało. Szczególnie lekarze i pielęgniarki, którzy utrzymują przy życiu to udręczone społeczeństwo. Jeżeli o kimkolwiek można powiedzieć, że zarabia zbyt wiele, są to sfery rządowe. Wyjątkowo nieudolne wobec wyzwań stojących przed Polską.

Przez dziesiątki lat w kabarecie, piosenkach i felietonach zajmuję się tym najślabszym ogniwem społecznej struktury, jakim jest władza. W 1981 r. śpiewałem bluesa: „Władza ma wojsko, policję, kraty, władza se sadza na klombach kwiaty, władzy są nasze place, ulice i tam nas puści, gdzie sobie życzy, a jak nie będzie się podobało, to władza przyjdzie i da nam pałą...”. Władza ustalała prawa i sama je łamała, obiecywała porządek, a robiła nieopisany burdel w każdej dziedzinie, goniła za złodziejami, a sama kradła najwięcej, walczyła z patologiami, a była jedną wielką patologią. Za komuny nikt tak nie szkodził państwu jak władza.

III RP budowano na nadziei, że ta patologia się skończy... Niestety nie powiodło się! Dotkliwie odczuwamy nieobecność uczciwej, mądrej władzy służącej tylko Polsce, a nie ościennym morderczym plemionom. Daj Boże, by nowy prezydent USA Donald Trump uchronił nas przed szaleństwem niemądrych sąsiadów. God bless Poland!

Towarzystwo Patriotyczne zaprasza na galę „Żeby Polska była Polską” 24.11.2024 r., godz. 18.00, ul. Słowackiego 19 A

Pchnął pierwszą kostkę domina?

Donald Trump wygrywa w USA. Jego wygrana to nie tylko sukces powrotu do Białego Domu, liczy się przede wszystkim fakt, że zrobił to w tak spektakularnym stylu. Do zwycięstwa wyniósł go głos sprzeciwu wobec politycznej, demokratycznej elity, która przez lata zdominowała zachodni świat. To efekt odwrócenia się klasy robotniczej i średniej od Partii Demokratycznej, której agenda była skoncentrowana na kwestiach światopoglądowych – gender, aborcji, „nowoczesnych” wartościach, nie dotykała zaś realnych problemów obywateli. To właśnie te grupy, zmęczone brakiem rozwiązań ich codziennych trudności, poparły Trumpa.

Harris była przekonana, że wystarczy wsparcie gwiazdek show-biznesu, by wygrać wybory. Jak widać, to nie wystarczy. Prawdziwa siła tkwi w rozwiązaniach, które oferują realną poprawę życia ludzi. Zarówno w Ameryce, jak i w Europie miliony obywateli martwią

się o bezpieczeństwo, rosnące ceny, kryzys gospodarczy, a nie o „nowe definicje rodziny” czy o swobodną zmianę płci. Zamiast skupiać się na sprawach światopoglądowych szaleństw, Trump zaproponował konkretne działania dla ludzi. Obiecał, że zatrzyma utopijne wizje lewicujących polityków skrojone na wzór europejskiego Zielonego Ładu i pseudoekologicznych eksperymentów, które w ocenie społeczeństw odbierają ludziom pracę, bezpieczeństwo i stabilność.

Dlatego jego wygrana może okazać się też wstrząsem dla polityki w Europie. Dzień po ogłoszeniu wyników za oceanem w Niemczech rozpada się rządowa koalicja. W Polsce natomiast ci, którzy jeszcze do niedawna nie hamowali się w obrażaniu Trumpa, teraz w pośpiechu usuwają obraźliwe tweety. Donald Tusk, obecni ministrowie, a nawet kandydat na ambasadora RP w Waszyngtonie Klich, przechodzą (co ciekawe, bez poczucia

żenady) swoistą przemianę poglądów.

Kluczem do spektakularnego powrotu Donalda Trumpa okazało się to, że zwykli ludzie w końcu poczuili, że ktoś ich usłyszał, że ich problemy są ważne. Rezonowanie jego wygranej wkrótce może stać się ucieleśnieniem jego hasła: „Make America Great Again”, bo Ameryka znów może zacząć się liczyć. I nie chodzi tylko o Stany Zjednoczone – chodzi o zmianę kierunku, który wkrótce może objąć nie tylko USA, lecz także Europę. Być może Trump właśnie popchnął pierwszą kostkę domina, inicjując wiele zmian politycznych i społecznych w Europie, a może również w Polsce.

Arkadiusz Mularczyk



Pchanie Polski w ręce Wielkiej Europy

Jak zmiana w Białym Domu wpłynie na relacje międzynarodowe w Europie? Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w reakcjach Niemiec i Francji, których przywódcy już umówili „się na ścisłą koordynację” działań po wyborach w USA. Ich odpowiedź może niepokoić. Silna Europa, o której znów zaczyna się mówić, *de facto* oznacza powrót do wizji Wielkiej Europy, czyli sojuszu sfederalizowanej UE z Rosją – bez USA. Coś, co już nieraz szkodliwie odbiło się na polskich interesach i bezpieczeństwie.

Dla Polski włączenie się w taki „projekt” oznacza utratę wpływów i suwerenności. Mówią różne rzeczy, ale tak naprawdę nie chcą powrotu Donalda Trumpa, bo nie uznaje on dogmatu o niemieckiej zwierzchności i obowiązku pośredniczenia przez kraje UE przez Berlin. Dziś głosy opowiadające się za unijną armią brzmią atrakcyjnie, ale to pomysł stojący w opozycji do NATO, który zamiast zapewniać Polsce bezpieczeństwo, osłabi je. Nie możemy zapominać, że niemiecka agenda nie uległa zmianie mimo wojny na Ukrainie czy innych wyzwań w relacjach z Rosją.

Dziś, gdy w USA wygrał Donald Trump, słyszymy zakłęcia, że to dowód na potrzebę większej samodzielności „silnej Europy”. Cóż, niemiecka agenda (a więc i europejska, bo kluczowe instytucje są kontrolowane przez Niemcy) jest znana od lat. Plan pogłębienia integracji europejskiej został tam zapisany w umowie koalicyjnej i nikt o nim nie zapomniał. Każde wydarzenie polityczne jest wykorzystywane, żeby go realizować. Cokolwiek się dzieje, od razu słyszymy te same hasła o „ściślejszej integracji”, a Niemcy wracają do mantry o „wzięciu większej odpowiedzialności”, o czym rzekomo marzą inne kraje. Na dowód tej tezy później zawsze jakiś Radosław Sikorski zmartwi się „niemiecką bezczynnością” i poprosi ich o większe zaangażowanie. Opowieść o dobrych Niemcach, którzy przytulają inne narody europejskie do serca, to nic nowego w historii naszego kontynentu. Kto twierdzi inaczej, jest naiwny i niech spróbuje odpowiedzieć na proste pytanie: dla czego za oczywistość uznaje się, że jeśli ktoś ma być przywódcą UE w relacjach z innymi, mają być to Niemcy?



Samuel Pereira

Zacząłem z wysokiego C

Z aktorem **Michałem Sikorskim**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wystarczyły trzy lata i stoi przede mną człowiek, którego zna cała Polska, kibicuje mu od „1670” i którego image naśladuje. U postaci medialnych coraz częściej widać równo przyciętą grzywkę. Ta pańska też się dobrze trzyma...

Michał Sikorski: Tak i w tym momencie się ze mną rymuje, co nie znaczy, że tak pozostanie. Chciałbym, żeby widzowie spodziewali się po mnie takich ról, których ja sam się jeszcze nie spodziewam.

W 2021 r. wyjechał pan z festiwalu z Gdyni z aktorskim glejtem, czyli nagrodą za debiut w bardzo trudnej roli (inspirowanej prawdziwymi losami niedosłyszącego Grzegorza Płonki, którego przez kilkanaście lat mylnie diagnozowano jako autystyka) w filmie „Sonata”. Teraz poprowadził pan finałową galę 49. Festiwalu Polskich

Filmów Fabularnych. Jakie uczucia temu towarzyszyły?

Można powiedzieć, że zacząłem z wysokiego C. I chociaż od dawna chciałem się sprawdzić również w takiej roli, byłem zaskoczony, że dostałem podobną propozycję. Sądziłem, że to odleglejsza perspektywa, może nawet 10 lat, w czasie których zrobię inne, mniejsze rzeczy, a tutaj takie zadanie. Ale stwierdziłem, że uwielbiam wyzwania. I była to też ogromna przyjemność.

Podczas gali zaprezentował pan widzowi sposób na przetrwanie – na scenie – laureata. Ile czasu daje pan sobie na kolejną gdyńską statuetkę?

Na pewno chciałbym wracać do Gdyni. Z filmami, którym warto było oddać fragment swojego życia, być z nich całkowicie dumnym i dzielić się nimi z widzami. Dla mnie takim filmem była „Sonata”.



TRENDY I OWĘDY

Potrzebny szeryf

W TVN24 korespondent mówił o rozpaczach w Ameryce. Inny ekspert tej stacji stwierdził, że to czarna środa. Jak tak można? Jaka czarna? Raczej afro-amerykańska środa! Tak ich zdruzgotał wybór Donalda Trumpa na 47. prezydenta USA, że stracili kontrolę. A przecież to stacja z kapitałem amerykańskim, której w powyborczym przemówieniu dziękował sam ambasador USA.



Ryszard Makowski

Alergiczna reakcja środowisk trzymających media na werdykt demokracji stała się już ponadkrajową normą. To, co się dzieje w Ameryce, ma lustrzane odbicie i u nas. Też jest jedynie słuszna linia, też są wybrańcy namaszczeni przez Grupę Bilderberga czy podobne gremium i tylko oni mogą sprawować władzę. A co ciekawe, takie same i tak samo głupie są hasła.

Kamala Harris próbowała zdobyć głosy kobiet, oferując im aborcję. Nie ma bardziej paradoksalnej zakazy niż proaborcyjny feminizm. U nas lewica ma teraz na sztandarach aborcję i wolną Wigilię. Tak się składa, że Wigilia jest oczekiwaniem na narodziny. Jak można to połączyć? Trudno będzie też połączyć wypowiedzi z czasów kampanii z obecną linią władzy: „Vivat Trump!”. Żona ministra spraw zagranicznych napisała w „The Atlantic”: „Trump is speaking like Hitler, Stalin and Mussolini”. A wysłany do USA jako zamieszkujący polską ambasadę Bogdan Klich był uprzejmy go nazwać „marionetką Putina”.

W Ameryce odżył mit niezłomnego szeryfa. Nam też by się przydał taki szeryf, który zrobi porządek w miasteczku zagrabionym przez bandytów. Choć TVN nie został wpuszczony na wieczór wyborczy Donalda Trumpa, to oglądalność im wzrosła. Wszyscy chcieli zobaczyć ich miny. **///**

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

TERAZ JUŻ WIADOMO, ILE W USA JEST WARTO WSPARCIE W WYBORACH PREZYDENCYJNYCH TAKICH GWIAZD, JAK LADY GAGA, OPRAH WINFREY, PINK, RICKY MARTIN, SARAH JESSICA PARKER, KATY PERRY, CHRISTINA AGUILERA, GEORGE CLOONEY, JENNIFER LAWRENCE, ANNE HATHAWAY, MERYL STREEP, HARRISON FORD, BEYONCÉ, EMINEM I JENNIFER LOPEZ... NIC NIE JEST WARTO.



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA
AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZCZ, MAREK BUDZIŚ (LESZEK DELIGOSZ), KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOLCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT.: JIM WATSON/APPEAST NEWS, PIWEK WODCZYŃSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ MAŃCZUK/REPORTER,
ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK/GRAPHIC STUDIO, JOHANNA DOROTA, SAMIY KOPCEKY
PHOTOGRAPHY, PHOTOPANPL, PAPARAZZA

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)





Triumfat

Zrobił to – rzucił wyzwanie władcom oraz właścicielom świata i wygrał. I to w spektakularny sposób. W styczniu 2025 r. Donald Trump jako 47. prezydent Stanów Zjednoczonych znów zasiądzie w Białym Domu



DARIUSZ MATUSZAK

O śmieliliśmy się to prorokować i w poprzednim wydaniu tygodnika, zanim były jeszcze znane wyniki wyborów w Stanach Zjednoczonych, opisaliśmy, jak będzie wyglądać kolejna prezydentura Donalda Trumpa. W przeciwieństwie do

amerykańskiego „Newsweeka” z 8 listopada 2016 r., który na okładce wydrukował zdjęcie Hillary Clinton i opatrzył je podpisem „Madame President”, my się nie pomyliliśmy. Z tej radości powtórzymy więc ostatnie zdania naszego tekstu sprzed wyborów: „Mój Ty



O

kochany Donaldzie, Jeźdźcu Bez Trzymanki i Jeźdźcu Bez Głowy, pomarańczowy populistę, wariacie, megalomanię i trybunie ludowy. To będą cztery piękne lata”.

JAK FENIKS

A więc zrobił to. We współczesnej polityce nie było tak spektakularnego powrotu. W Stanach Zjednoczonych w 1893 r. do Białego Domu po czterech latach przerwy ponownie wprowadził się Grover Cleveland. Pokonał Ben-

jaminę Harrisona, na rzecz którego stracił prezydenturę w wyniku sfałszowania wyborów po pierwszej kadencji. Amerykańscy badacze są zgodni, że tak było.

Jednak powrót Trumpa ma w sobie coś z odrodzenia się jak Feniks. W styczniu 2021 r. oddawał prezydenturę w niesławie, słusznie czy nie obciążony zarzutami o wywołanie zamieszek na Kapitolu, niepokodzony z tym, że przegrał w wyniku wielu podejrzanych procedur wyborczych. Być może teraz przyjdzie czas na wyjaśnianie, czy rzeczywiście coś się stało przy urnach w Georgii, Arizonie, Michigan. To może być istotna sprawa nowej prezydentury, bo Amerykanie we wszystkich stanach dojrzejają do tego, iż trzeba wprowadzić wymóg potwierdzania dokumen-

Powrót Trumpa ma w sobie coś z odrodzenia się jak Feniks. W jego powrót mało kto wierzył i nawet republikanie chcieli go złożyć do grobu

tem tożsamości akt głosowania. Teraz w Kalifornii i 13 innych stanach prezydenta USA, senatora czy gubernatora mogą wybierać nielegalni imigranci, zmarli albo np. student z Chin, który zamieścił w sieci nagranie tego, jak podaje fałszywe dane i głosuje. Z badań przeprowadzonych przez „The Economist” wynika, że aż 25 proc. Amerykanów ma obawy, że wybory mogą zostać sfałszowane.

Wróćmy jednak do naszego Jeźdźcy Bez Głowy. W jego odrodzenie mało kto wierzył i nawet republikanie chcieli go złożyć do grobu. Demokraci zaś, wytaczając niekończące się oskarżenia kryminalne, uruchamiając ogromny aparat państwa – FBI, Departament Sprawiedliwości, chmurę prokuratorów specjalnych i media – chcieli ostatecznie przebić Trumpa osinowym kolkiem i sprawić, że wylą-

duje za kratami, a nie w Białym Domu. Zmyślane, dęte zarzuty były pokazem wszechwładzy bezwzględnej aparatu partyjnego demokratów, państwa oraz mediów i w najbliższych latach będzie to obnażane. Dlaczego więc obciążony zarzutami, oskarżeniami i wyrokami Donald Trump pokonał Kamalę Harris?

BO TO ZŁA KOBIETA BYŁA

Najpierw powody powierzchowne. Demokraci tak się zakręcili w intrygach, własnych kłamstwach, że na trzy miesiące przed wyborami wylądowali z niechęcią, nieszanowaną, fałszywą i zwyczajnie nierozgarniętą kandydatką. Na dodatek Harris nie została wskazana przez demokratyczny lud – zarejestrowanych wyborców Partii Demokratycznej, tylko przez establishment, który wcześniej dokonał przewrotu pałacowego i pozbawił urzędującego prezydenta możliwości ponownego startu. Joe Biden mimo 14 mln głosów w prawyborach został zamknięty w piwnicy, a demokraci ogłosili, że mają kandydatkę radości – wybuchającą kompulsywnym śmiechem wiceprezydent. Cały proces

pokazujący, jak doszło do jej wskazania, będzie badany i opisany, bo nie jest to historia dworskich spisków tylko degenerowania się amerykańskiej demokracji, upadku ustroju, na którym została zbudowana Ameryka. Po raz pierwszy od ponad 100 lat kandydatem został ktoś, kto w prawyborach, procedurze niemal ustrojowej, nie uzyskał ani jednego głosu.

Jak fatalna okazała się Harris, świadczy choćby to, że w żadnym z 3086 hrabstw/powiatów Ameryki nie uzyskała lepszego wyniku niż Biden. Nawet w kalifornijskich, dla których pracowała jako prokurator stanowa, a później reprezentowała jako senator. Nawet w rodzimym Oakland. Na dodatek republikanie zdobyli większość w Senacie i powiększyli ją w Izbie Reprezentantów. Trump będzie miał ogromny komfort rządzenia – przewagę

w obu izbach Kongresu i w Sądzie Najwyższym, w którym zasiada sześciu sędziów wskazanych przez republikanów i tylko trzech od demokratów.

GDYBY NIE SŁUPEK, GDYBY NIE POPRZECZKA...

...byłaby rzecz wielka – śpiewał Kazik o polskich piłkarzach. Demokraci będą sobie wmawiać, że gdyby znaleźli lepszego kandydata, gdyby nie intrygi Obamów, Clintonów, byłej spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, gdyby Biden nie sabotował kampanii Harris, którą na ostatniej prostej wrzucił pod autobus, nazywając zwolenników Trumpa, a więc ponad połowę Amerykanów, śmieciami, gdyby zamiast przepalić 1,3 mld dol. na kampanię mądrze wydali 2 mld, gdyby było więcej wieców, reklam, balonów, konfetti – to by wygrali. Pojawia się mnóstwo głupich, płytkich analiz, że gdyby nie Latynosi, katolicy, kurczaki od Halamy, ciemnota na prowincji, patriarchy, uprzedzenia, faszyzm i za słona zupa – byłby sukces. Są i nieco głębsze powody porażki, np. przekonanie o wielkiej mobilizacji młodych kobiet i ich fanatycznemu postrzeganiu prawa do zabijania nienarodzonych. Więc wielką część kampanii wyborczej zrobiono wokół tego tematu. W Chicago przy hali, gdzie odbywała się Narodowa Konwencja Demokratów, na której Harris dostała nominację, ustawiono nawet przewoźne budy, w których panie mogły sobie zrobić aborcję, a panowie wazektomię, czyli przeciąć i podwiązać nasieniowody. Kampanijne akcje dla chorych, zaburzonych ludzi.

Powody, dla których Harris przegrała, są bardzo głębokie. Administracja Bidena i demokraci doprowadzili Stany Zjednoczone na skraj katastrofy. W ciągu ostatnich 16 lat przez 12 lat prezydentem był demokratą i tylko ich można obciążyć klęskami. Oto w Ameryce przebywa 20–30 mln nielegalnych imigrantów i co roku przez granicę przechodzą kolejni. Wyśmiewane opowieści Trumpa o tym, jak w miasteczku w Ohio Haitańczycy pieką i jedzą zła-

pane psy i koty, są prawdziwe. U siebie na wyspie zjadają nawet członków konkurencyjnych gangów i żadne oburzenie politpoprawnych przyglupów na prawdę nie uczyni z haitańskich bandziorów skromnych i cichych ludzi pracy. Opowieści o tym, jak nieznane dotąd gangi, np. z Wenezueli, opanowują kolejne kwartały miast, są prawdziwe. Opowieści o imigrantach zajmujących domy, szkoły, hotele, w których umieszczają je lokalne władze od demokratów, są prawdziwe. Podobnie jak te, że inwazji towarzyszy przemyt narkotyków i broni, szmugiel ludzi i handel nimi, ogromny wzrost przestępczości, i że tak jak w Europie w USA powstają imigranckie zony, w których państwo przestaje funkcjonować.

Powody, dla których Harris przegrała, są bardzo głębokie. Administracja Bidena i demokraci doprowadzili Stany Zjednoczone na skraj katastrofy

IMPORT GŁOSÓW WYBORCZYCH

Harris jako wiceprezydent dostała od Bidena tylko jedno zadanie – rozwiązać problem nielegalnej imigracji, ale nawet nie chciało się jej pojechać nad granicę i w ciągu czterech lat pojawiła się tam tylko raz, w El Paso. Od dawna wiadomo, że demokraci nic nie robią w sprawie inwazji, bo importują elektorat. Skala procederu jest tak wielka, że stanowi egzystencjalne zagrożenie dla Ameryki i jej ustroju. Elon Musk opisał, na czym polega istota tego zjawiska w wywiadzie z Joe Roganem, który ma ponad 100 mln słuchaczy swych audycji. „Jeśli wygra machina tej pacynki Kamali, to zalegalizują [demokraci – red.] nielegalnych imigrantów w wahających się stanach [gdzie głosy rozkładają się raz na demokratów, raz

na republikanów]”. Nie będzie wahających się stanów. W każdych wyborach demokraci będą mieli zagwarantowane zwycięstwo. Będzie gorzej niż w Kalifornii, bo jedynym powodem, który powstrzymuje ją przed popadnięciem w otchłań szaleństwa, jest to, że możesz się z niej wyprowadzić. Tak jak zrobiliśmy to ty i ja. Ja przeniosłem się do Teksasu i wciąż jestem w Ameryce. Jak zalegalizują nielegalnych imigrantów, to wszędzie będzie tak jak w Kalifornii i nie będzie dokąd uciec. To byłby koniec. Idź i zgłoś tak, jakby od tego zależało twoje życie” – zwywał Musk w rozmowie z Roganem.

Dlaczego Musk mówił o Kalifornii i ostrzegał przed nią? Bo to bardzo dobry przykład na to, co dzieje się w rządzonych przez demokratów stanach i w całym kraju. Bo lewicowe szaleństwo z całą ideologią LGBT+ i zielonym wariactwem sprawiło, że ten najbogatszy stan Ameryki jest jednocześnie najbiedniejszy. Oprócz Missisipi ma najgorsze wskaźniki ubóstwa. To miejsce, w którym jak w Indiach enklawy nieprawdopodobnego bogactwa zaczynają tonąć w morzu nędzy. To stan, w którym ustanowiono, że kradzież poniżej wartości 900 dol. nie jest przestępstwem, więc całe bandy w biały dzień wpadają do sklepów i bezkarnie rabują, co się da. Ci, którzy mogą, uciekają z Kalifornii jak Musk.

ROZWARSTWIE NIE UMYSŁOWE

Bezpieczeństwo i gospodarka były dwoma z trzech najważniejszych spraw w tych wyborach. Ostania to kwestia aborcji. Ponad 70 proc. Amerykanów wskazuje, że sprawy państwa idą w złym kierunku. Skumulowana inflacja za prezydentury Bidena wyniosła ponad 20 proc., 60 proc. Amerykanów żyje od wypłaty do wypłaty, a 40 proc. gospodarstw domowych ma kłopoty z opłacaniem rachunków, ale zarobki globalnych firm i giełda pęcznieją niepomiernie. To zjawisko stałe na całym świecie – tam, gdzie rządzi lewica, a zmieniła się w nią już Partia Demokratyczna, tam bogactwo się bogacie i korporacje, klasa średnia zanika, a lud biednieje.

W Ameryce rozwarstwienie rośnie nie tylko w poziomie bogactwa, lecz także w stanach umysłowych. Prawdziwe sprawy obywateli, te związane z codziennym bytowaniem, zdają się nie obchodzić władzy, która zajmuje się urojonymi problemami, jak prześladowaniami środowisk LGBT+, dyskryminacją kobiet, mniejszości etnicznych, religijnych, jakichkolwiek. Od czasów Obamy konflikty narastają wedle zasady: dziel i rządź. Od czasu jego prezydentury relacje pomiędzy białą a kolorową ludnością stały się najgorsze od lat 60. XX w., kiedy ostatecznie likwidowano segregację rasową, a za Bidena i Harris tylko się pogłębiły. Kolorowi to dostrzegają, dlatego Trump otrzymał rekordową liczbę ich głosów.

O tym, jak bardzo oderwana od rzeczywistości jest lewicowa, a nawet lewacka władza, świadczy choćby kwestia ideologii LGBT+. Co ma sobie myśleć obywatel, który widzi, że wiceministrem zdrowia odpowiedzialnym m.in. za zdrowie psychiczne dzieci jest wielki jak szafa facet, który ubiera się w sukieneczki, wałnął sobie różowe loczki, obstałował sztuczny biust, bo w wieku 50 kilku lat umyślił sobie, że jest Rachelą. Albo taki/taka Sam Brinton – brodaty, łysy, w szpilkach i spódnickach, wymalowany jak stara francuska kokota, najwyższy urzędnik Ameryki od energii jądrowej, który w wolnych chwilach buszuje po lotniskach i kradnie walizki, by zakładać damskie ciuszki. Nie opisuję obyczajowych przypadków jak w plotkarskich rubrykach z wyższych, zdegenerowanych sfer, tylko stan amerykańskiego państwa, a przynajmniej jego dotychczasowych władz. Z dumą ogłosiły one, że transeksualiści, lesbijki, homoseksualiści, biseksualisci itp. stanowią już 15 proc. składu rządu, a w ramach krajowego programu DEI (Diversity, Equity, Inclusion – Różnorodność, Równość, Inkluzywność) zaplanowano, że będzie ich jeszcze więcej.

Czy to tylko koloryt Białego Domu, manifestacja inkluzywności, czy może już szaleństwo, które jak toksyna od władzy spływa i całą Amerykę

zatrzuwa, więc matka z ojcem boją się syna do szkoły ślać, bo nauczycielki aktywistki przerobią go na dziewczynkę? Czy takie sprawy, a są powszechne, dotyczą tylko kwestii obyczajowych, kulturowych, czy też mamy do czynienia z utratą poczucia bezpieczeństwa rodzin, zagrożeniem dla zdrowia psychicznego i fizycznego, szczególnie młodych ludzi? Trump zapowiedział, że także to zbada specjalna komisja powołana przy Agencji Żywności i Leków (FDA).

Prezydent elekt oczywiście wygrał z powodów, dla których Harris prze-

Wygrać mógł tylko człowiek, który wywołuje strach u władców i właścicieli świata. I oni się boją Trumpa. Jego zwycięstwo oznacza zagrożenie dla ich władztwa. Zakwestionowanie dogmatów, np. sekty klimatycznej albo ideologii LGBT+, totalitarnej agendy prowadzącej do ograniczania naszych praw i wolności

grała. Jednak w przypadku Trumpa nie można oddzielić przyczyn powierzchownych, dotyczących samej osobowości i sposobu prowadzenia kampanii, od tych głębszych. Trzeba mieć specjalną konstrukcję, wyjątkowe cechy charakteru – w normalnych warunkach nawet negatywne, by rzucić wyzwanie tyranii władzy i mediów. By stanąć tam, gdzie groźby, kłamstwa i przemoc nie są manifestacją cech charakteru przedstawicieli władzy, ale stałym narzędziem jej sprawowania. Jak w reżimach, gdy zło przybiera charakter strukturalny, staje się istotą procesów biurokratycznych, co przejawia się

choćby w najeździe uzbrojonych funkcjonariuszy na dom człowieka, który zajmował się zwierzętami i zabicie mu nieszczęsnej wiewiórki. Przeciwno państwu anarchostrykanii, które z całą mocą uderzy w każdego, kiedy zechce i jednocześnie w spokoju zostawi imigranckie bandy.

By z nim walczyć, potrzeba sił i brutalności na granicy patologii – i Trump je ma. Pokazał to, podnosząc się po porażkach biznesowych i politycznych, a najbardziej wtedy, gdy zakrwawiony po zamachu powstał i z zaciśniętą pięścią krzychał: „Walcz, walcz, walcz”. A historia jego batalii sądowych nie jest opowieścią o jego przestępstwach, tylko o degeneracji wymiaru sprawiedliwości. Wedle badań YouGov ledwie 29 proc. Amerykanów uważało, że wszystkie oskarżenia i sprawy sądowe osłabiają go, a aż 53 proc., że wzmacniają. To pokazuje poziom zaufania do państwa i to, po której stronie jest serce Amerykanów. Po stronie niepokornej, zwichrowanej jednostki czy ułożonego, zimnego systemu. Gdzie w politycznym świecie zawędrowałby ktoś, kto miałby takie pieniądze jak Trump, głosił te same poglądy, tak samo ciężko pracował, ale był ułożonym, miłym, kulturalnym panem? Machiny mediów i władzy by go zniszczyły albo zmieliły w lepką, lekkostrawną papkę i lud nigdy nie usłyszałby przekazu.

Wygrać mógł tylko człowiek, który wywołuje strach u władców i właścicieli świata. I oni się boją Trumpa, więc jak w panice, jak w trybie kryzysowym przywódca europejscy zwołują spotkanie. Co my teraz zrobimy? Jego zwycięstwo oznacza zagrożenie dla ich władztwa. Zakwestionowanie dogmatów, np. sekty klimatycznej albo ideologii LGBT+, totalitarnej agendy prowadzącej do ograniczania naszych praw i wolności. Tego, czego się boją jasnie oświecone elity, normalni obywatele wyczekują z wytęsknieniem. Ameryka będzie nie tylko największą redutą zdrowego rozsądku, lecz także miejscem, z którego zostanie poprowadzona ofensywa na cały świat.



Brawurowy powrót Trumpa

Donald Trump jest przywódcą wielkiego ruchu politycznego wyrastającego ze sprzeciwu wobec najgorszych dekadentkich trendów naszej epoki. A trumpizm nie jest już tylko zjawiskiem amerykańskim, ale istotnym fenomenem politycznym całego demokratycznego Zachodu

Wyborcza rywalizacja o prezydenturę USA zawsze ekscytuje nie tylko Amerykanów, lecz także świat. Jednak tym razem owa ekscytacja świata była spowodowana i wszechobecna, gdyż każdy wynik starcia pomiędzy Donaldem Trumpem i Kamalą Harris budził u jednych wielki strach, a u innych jeszcze większą nadzieję.

W kręgu europejskiej prawicy bezapelacyjne zwycięstwo Trumpa wyzwoliło przeblask nadziei na jakąś głębszą odmianę dekadentkiego trendu, drążącego przecież nie tylko Amerykę, lecz także Europę oraz cały demokratyczny Zachód. Chrześcijaństwo, którzy w USA tym razem w znacznej przewadze poparli kandydata republikanów, dostrzegli nadzieję, że pod rządami Trumpa znacząco zelży natarczywy atak państwa na ich prze-



JAN ROKITA

konania religijne i moralne. Konserwatyści odzyskali utraconą już wiarę, iż da się jeszcze skutecznie oprzeć naporowi radykalnej postępowej ideologii niszczącej zachodnią kulturę, tradycję, obyczaje, a nawet język. A miliony zwykłych ludzi zyskały nadzieję, iż wraz z powrotem Trumpa pojawia się jakaś przemożna polityczna siła, która na serio potrafi powstrzymać wędrówkę ludów nie tylko z Ameryki Łacińskiej do USA, lecz także z Azji i Afryki do Europy.

PRZYGOTOWANY DO RZĄDZENIA

Rzecz jasna nie wiemy, czy w ogóle albo w jakim stopniu te rozliczne nadzieje mogą się naprawdę ziścić. Jak zwykł w kampanii powtarzać sam Trump, posada prezydenta USA to „najlepsza i najmocniejsza posada na świecie”, ale w demokratycznej polityce nazbyt rozbudzone nadzieje zbyt często kończą się rozczarowaniem. Nie ma jednak wątpliwości, że druga prezydentura Trumpa, odzyskana w tak oszałamiającym i brawurowym stylu, będzie twardsza i mniej chaotyczna niż pierwsza, więc zapewne głębiej przeora amerykańską politykę i mocniej wpłynie na resztę świata. W przeciwieństwie do 2016 r. przyszły/były prezydent dysponuje dziś profesjonalnym planem rządzenia, nad którym pracował sztab ludzi z instytutu AFPI (America First Policy Institute),

a w zanadrzu ma także alternatywny program rozległych reform oferowany mu przez konserwatywną Heritage Foundation pod nazwą „Project 2025”, zakładający przebudowę amerykańskich instytucji na modłę ostro prawicową.

Inaczej niż osiem lat temu Trump ma także bezcenną znajomość waszyngtońskiego establishmentu, który w przygniatającej większości go nienawidzi, a w trakcie pierwszej kadencji zainicjował nawet antyprezydencką konspirację wewnątrz rządu, z dumą propagowaną wtedy przez „The New York Times”. Niedawno w wywiadzie dla Fox News Trump mówił, iż nie znał wtedy w Waszyngtonie nikogo, bo nie lubił stolicy i rzadko tam bywał. Po czym dodawał z przekąsem: „A teraz znam ich wszystkich – dobrych i złych, słabych i głupich; o tak... znam, znam ich wszystkich”.

Nie jest tajemnicą, że miliarder Howard Lutnick (który przeżył zawałenie się wień 11 września 2001 r.), mianowany przez Trumpa współszefem zespołu przygotowującego przekazanie władzy, ma ponoć długą listę wyselekcjonowanych i sprawdzonych ludzi, spośród których prezydent będzie mógł wybierać tych, którym powierzy stanowiska w administracji. I nawet otwarcie wrodoży Trumpowi analitycy przyznają z obawą, że prezydent elekt ma też przygotowane liczne dekrety, projekty ustaw i deklaracje programowe, które wprowadzi w życie niezwłocznie po styczeniowej inauguracji. Krótko mówiąc, tym razem Trump jest przygotowany do rządzenia.

Coś, czego, jak się zdaje, nie doceniali wszyscy wrogowie polityczni Trumpa, a odkrywają dopiero obecnie, po jego przygniatającym drugim zwycięstwie, to niezwyklej wagi fakt, iż (jak to ujął inteligentny komentator „Politico”) „on nie jest kandydatem na celebrytę, ale liderem potężnego ruchu politycznego”. Mam wrażenie, że właśnie w tym „odkryciu” tkwi tajemnica niebywałego powrotu Trumpa na światowy szczyt władzy. Kiedy w 2020 r. przegrywał wybory, nijak nie mogąc się z tym pogodzić, dwóch na trzech Amerykanów miało, jak najgorsze zdanie o nim samym i o jego prezydenturze. Stary przywódca republikanów senator Mitch McCon-

nell mówił wtedy, że już nigdy więcej nawet nie wymówi nazwiska „Trump”, a byli prezydenccy doradcy z Białego Domu nie mogli znaleźć żadnej pracy. Ich dawny szef był przez cztery lata ustawicznie znieważany, wyśmiewany, tropiony, ciągnany do sądów, prokuratorów, a w końcu nawet do więzienia, niczym polityczna łowna zwierzyna, którą trzeba upolować jakim bądź sposobem.

Jeszcze w końcu 2022 r., kiedy uparcie nie poddając się, inaugurował na nowo swoją kolejną kampanię prezydencką, co poważniejsi politycy republikanów pod różnymi pozorami odmówili uczestnictwa w tej imprezie. Teraz Partia Republikańska jest w zasadzie w całości partią trumpistów, a stary McConnell, który i tak w końcu musiał poprzeć Trumpa, właśnie w tym tygodniu oddaje długoletnią partyjną władzę. Wrogowie prezydenta elekta muszą przeżywać szok niespodziewaną skalą swojej porażki, której perspektywę ukrywały przed nimi stroniczne (albo nieprofesjonalne) instytuty badania opinii. A w wieczór wyborczy przegrana Kamala Harris nie była w stanie powiedzieć nawet słowa do swoich zwolenników, tłumnie zgromadzonych na waszyngtońskim kampusie Uniwersytetu Howarda.

ANATOMIA SUKCESU

Jak to się mogło zdarzyć? Otóż z pewnością by się nie zdarzyło, gdyby nie rosnący w siłę w Ameryce, a potem także w demokratycznej Europie ruch nowej prawicy, który w Trumpie znalazł swego charyzmatycznego globalnego lidera. Ruch, którego istotą od samego początku był bunt przeciw dwóm nasilającym się trendom, nie tylko zmieniającym oblicze wolnego świata, lecz także degenerującym się coraz bardziej i ujawniającym swoje szkodliwe konsekwencje.

Po pierwsze, przeciw wynaturzeniom gospodarczej i politycznej globalizacji, która już dawno przestała służyć szybkiemu rozwojowi i dobrobytowi Zachodu, a stała się dlań raczej pułapką ułatwiającą budowanie potęgi jego wrogom, takim choćby jak komunistyczne Chiny. A po drugie, przeciw antykulturowej i antyreligijnej rewolucji, która

ostatnimi czasy ostro przyspieszyła, prowadząc do dekadencji zachodniej kultury, obyczajów i polityki.

Nie sposób powiedzieć, w jakim stopniu to ruch nowej prawicy ukształtował polityczną figurę Trumpa, a w jakim on sam dzięki swoim politycznym talentom stworzył ów ruch na nowo, ostatecznie wtłaczając go w ramy starej i potężnej Partii Republikańskiej. W każdym razie nie byłoby z pewnością obecnego powrotu Trumpa, gdyby nie ów szczęśliwy traf amerykańskiej historii, który w pewnej chwili zespolił narastający i autentyczny masowy ruch społeczny z charyzmatycznym przywódcą. Dziś widać, że istota przywództwa prezydenta elekta polegała na tym, by owemu ekscentrycznemu, a często wręcz zwariowanemu ruchowi protestu nadać formę polityczną, umożliwiającą wywieranie wpływu na politykę amerykańskiej republiki. To dlatego tak różni ludzie w Ameryce i poza nią albo nienawidzą zarówno Trumpa, jak i przeorganizowanego przezeń prawicowego ruchu, albo też w powrocie Trumpa i zwycięstwie wyborczym owego ruchu upatrują swoich własnych nadziei.

By dać tego przykład z polskiej sceny politycznej: w ub. środę nie byłoby wiatów polskich prawicowych posłów w Sejmie na cześć Trumpa, gdyby nie oczywisty fakt, iż owi posłowie czerpią nadzieję z jego zwycięstwa, że również polskiej prawicy nie uda się zniszczyć ani nagonką, ani represjami, tak jak nie udało się zrobić tego w Ameryce.

Ma rację analityk gazety „Politico”, który ze zgrozą odkrywa, iż fenomen polityczny Trumpa nie jest bynajmniej jeszcze jednym przykładem współczesnego celebryty, który nagle – *deus ex machina* – jest uwielbiany przez tłumy, za chwilę przeminie, a sprawy powrócą na swe dawne tory. Trump nie jest celebrytą, i to pomimo że jego popkulturowe zamięłowanie do sławy i popularności charakterologicznie pretendowałoby go do takiej roli. Jest bowiem przywódcą wielkiego politycznego ruchu, wyrastającego ze sprzeciwu wobec najgorszych, dekadentkich trendów naszej epoki. A trumpizm nie jest już bynajmniej tylko zjawiskiem amerykańskim, ale istotnym fenomenem politycznym całego demokratycznego



Zachodu. Gdyby Trump był tylko jakimś antysystemowym i żądnym sławy celebrytą, nigdy nie dałby rady podnieść się z politycznego upadku, w jakim pogrążył się po klęsce 2020 r. i katastrofalnych dlań (jak się wtedy wszystkim zdawało) wydarzeniach z 6 stycznia 2021 r., gdy podekscytowani fanatycy napadli na amerykański Kongres. A jego powrót do władzy nie budziłby dziś takiego strachu w kręgach amerykańskiego i europejskiego establishmentu.

Ów ponadnarodowy ruch trumpistowski ma jednak w USA specjalne podłoże, bez którego obecny powrót Trumpa też by się pewnie nie zdarzył. To postępująca co najmniej od czasu zarazy frustracja Amerykanów pogarszającym się stanem polityki i gospodarki ich kraju. W trakcie kampanii wyborczej głośna stała się relacja byłego portugalskiego ministra Brunona Maçães, który udał się do Michigan śladem kampanijnych wieców Trumpa. Opisał on ów fragment sławetnego „pasa rdzy” w barwach katastroficznych, jako krainę pijaków, złodziei, narkomanów, bezdomnych i bezrobotnych, gdzie niszczyć gmachy zamkniętych instytucji publicznych, panuje brud, nie działają toalety, ludzie wskazują do pociągów towarowych, bo nie stać ich na normalne bilety, a inflacja zżera ich beznadziejnie niskie dochody. To właśnie do takiej, słabo znanej w Europie Ameryki zwrócił się Trump z obietnicą ratunku, odbudowy miejsc pracy, zablokowania napływu imigrantów i nałożenia ceł na zagraniczną produkcję.

Ten obraz beznadziei amerykańskiego interioru, nawet jeśli naszkicowany przez Maçães, z przesadą, dobrze współgra z tym, co od dawna mówi i pisze wiceprezydent elekt J.D. Vance o swoim rodzinnym stanie Ohio i typowej rodzinie zdemoralizowanych alkoholików, z której sam się wywodzi. Wielka przebudowa Partii Republikańskiej, której dokonał Trump, polega również (a może właśnie głównie) na tym, że stała się ona wyrazicielem nadziei i pragnień właśnie tych Amerykanów, nie przestając zarazem, zgodnie z własną tradycją, reprezentować interesów wielkiego biznesu. Czyli współcześnie w pierwszej kolej-

ności koncernów big tech, które Trump traktuje jako narzędzie amerykańskiej dominacji i presji na świat, zwłaszcza komunistyczne Chiny. To połączenie, sprawiające teraz, że nadzieja zwolnionych z pracy robotników samochodowych w Michigan może iść w parze z poszybowaniem w górę indeksów wielkich koncernów spodziewających się nowych zysków, jest także kluczowym źródłem sukcesu Trumpa. Otwarte pozostaje pytanie, czy i w jakim stopniu nowemu prezydentowi uda się zaspokoić obie te nadzieje, tak przecież od siebie odmienne.

Wreszcie powrót Trumpa nie dokonałby się zapewne, gdyby nie jego dobrze pomyślana kampania wyborcza. Amerykańscy znawcy przypisują to w pierwszej kolejności talentom

Tym razem Trump jest przygotowany do rządzenia. I nawet otwarcie wrodoży mu analitycy przyznają, że prezydent elekt ma już przygotowane liczne dekrety, projekty ustaw i deklaracje programowe

i dyscyplinie jednej osoby, która, jeśli wierzyć różnym relacjom, ratowała kampanię Trumpa przed ustawicznymi kryzysami, w tym swoistą naturalną krnąbrnością silnej osobowości samego kandydata. Ta postać, mało dotąd znana poza Ameryką, to 67-letnia szefowa kampanii Trumpa Susan Wiles, zwana przez media „Lodową Damą” albo „Babcią z Florydy”. Wiles jest doświadczonym strategiem licznych wcześniejszych kampanii amerykańskich polityków, a pewien rozgłos zyskała po swoim konflikcie „na noże” z gubernatorem Florydy DeSantisem, którego najpierw poprowadziła do zwycięstwa, a potem znienawidziła, gdy ten chciał wystąpić przeciw Trumpowi. Ten poprosił ją

o kierowanie jego tzw. komitetem akcji (PAC) jeszcze w 2021 r. A ich wzajemne zaufanie i świetna współpraca sprawiły, że Trump wystąpił, wbrew swoim chęciom, w różnych popkulturowych kampanijnych rolach (w sklepie spożywczym, u fryzjera, w McDonald's czy jako śmieciarz), a w końcu kampanii zgodził się na ryzykowny krok zakończony wielkim sukcesem: powierzenie kampanii wybitnym ludziom spoza sztabu wyborczego, takim jak Elon Musk albo sławny youtuber Charlie Kirk.

REFORMATOR PRAWICY

Dziś Trump jest bezapelacyjnym zwycięzcą. Kontroluje Partię Republikańską, którą całkowicie przeobraził, a jego ludzie będą panować nad nowym amerykańskim Senatem i (jak wiele na to wskazuje) Izbą Reprezentantów. Dysponuje kwalifikowaną większością w kluczowym w ustroju USA Sądzie Najwyższym, gdzie nowymi nominacjami zapewne jeszcze powiększy swoją przewagę. Jako prezydent będzie mógł z łatwością przeprowadzić w Senacie każdą nominację i uzyskać zgodę na czystkę w administracji, o ile tylko zechce ją przeprowadzić. Ryzyko kolejnej antyprezydenckiej konspiracji w praktyce już zatem nie istnieje. Trump będzie mógł ulaskawić swoich ludzi skazanych przez sądy za czasów Bidena, a także pociągnąć do odpowiedzialności swoich poprzedników, o ile uzna to za konieczne. Nie powinien mieć również poważniejszych kłopotów z przeprowadzaniem własnych ustaw. Choć zapewne po pierwszym okresie szoku po nadspodziewanie wielkiej porażce na powrót odezwą się jego wrogowie, panujący nad większością mediów oraz całym show-biznesem.

Jeśli jednak nowy prezydent nie popełni jakichś drastycznych błędów, będzie mógł przeorać amerykańską politykę tak głęboko, jak tylko zechce. A jeśli choćby w części zaspokoi nadzieje prostych ludzi, które zostały w nim złożone i nie utraci szerokiego zaufania ludu, to będzie w stanie oprzeć się swoim liczny-
m wrogom i stać się kimś w rodzaju wielkiego reformatora prawicy, bynajmniej nie tylko amerykańskiej. 

Dyplomacja, głupcze!



MAREK PYZA

Zwycięstwo Donalda Trumpa pokazało, jak skrajnie nieodpowiedzialni ludzie rządzą w Polsce. Nawet nie zakładali bowiem, że kandydat republikanów ma szansę wrócić do Białego Domu. A może jednak dopuszczali taką możliwość, lecz nie przeszkadzało im to w obrażaniu byłego – i przyszłego – prezydenta USA? Kto igra z polskim bezpieczeństwem, nigdy nie powinien sprawować władzy

Jeśli ktoś cię złapie za rękę, mów, że to nie twoja ręka”. 7 listopada br. na konferencji prasowej Donald Tusk idealnie dostosował się do tej zasady.

Premierowi zostały przypomniane jego niedawne słowa – z czasów kampanii wyborczej – gdy uwłaczająco mówił o byłym prezydencie USA: „Trump i jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu”.



Donald Tusk

@donaltduskEPP · Obserwuj



Despite seasonal turbulences our transatlantic friendship must last #Trump #NATO



Co powinien był w tym momencie zrobić szef rządu? Posypać głowę popiołem, co najmniej przeprosić i obiecać, że więcej nie będzie wygadywał głupot wystawiających na szwank bezpieczeństwo Polski, bo przecież konfliktujących nas z przywódcą kraju, na którym się ono opiera. Zamiast tego Tusk... wszystkiego się wyparł. „Nie, tego typu sugestii nigdy nie zgłaszałem”.

Nie sposób zrozumieć, na co liczył przewodniczący Platformy Obywatelskiej, bo nagranie z jego wypowiedzi z ub.r. jest doskonale znane, wciąż można je odnaleźć na profilach PO, a po zwycięstwie Donalda Trumpa zostało szeroko przypomniane w mediach społecznościowych.

Najwyraźniej szef rządu czuje się już na tyle bezkarny, że nie przejmuje się obrażaniem własnych kłamstw (nawet w przychylnych sobie mediach). Zapomina jednak, że władza bywa krucha

i przemija dość szybko, a do jej utrzymania może nie wystarczyć terroryzowanie mediów. Dziennikarka, która ośmieliła się zadać Tuskowi niewygodne pytanie, usłyszała od przybocznych premiera, że oznacza to „koniec współpracy” z nią, czyli zapewne więcej nie wejdzie na konferencję szefa rządu.

TUSK ŻARTOWNIŚ

To, że Tusk zaprzecza swoim własnym słowom, nie jest oczywiście niczym nowym. Ale nie oznacza, że one nie padły i nie wbiły się w pamięć – zwłaszcza republikańskiej części amerykańskiego establishmentu.

– Każdy polityk amerykański przyjeżdżający do Polski otrzymuje życiorysy rozmówców, których spotka w naszym kraju. Znajdą się w nich i te wypowiedzi, często bardzo agresywne, pod adresem Donalda Trumpa, które



Tusk o Trumpie: „Jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji”

padają z ust Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego czy Bogdana Klicha. Tego nie da się ukryć. A zatem rozmowy z Polską w przyszłym roku będą obciążone tym bagażem naiwnych, a często obraźliwych wypowiedzi. One na pewno nie wzmacniają pozycji Polski w Stanach Zjednoczonych, lecz ją osłabiają. Dają dowód, że politykę w Warszawie prowadzą ludzie nieodpowiedzialni, nierozsądni, ale też po prostu niegrzeczni – komentuje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” dr Jan Parys, były minister obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego i były doradca szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego.

Analizę Parysa potwierdza europoseł Dominik Tarczyński, który jest dobrze poinformowany o tym, co się dzieje za kulisami Partii Republikańskiej. Ma w niej dobre kontakty, na jednym z ostatnich przedwyborczych wieców Trumpa zajmował nawet eksponowane miejsce za kandydatem. „Mogę ujawnić, że sztab Donalda Trumpa otrzymał wszystkie materiały z negatywnymi wypowiedziami na jego temat” – powiedział w rozmowie z portalem wPolityce.pl.

Nie chodzi zresztą o same słowa, lecz również gesty. Najgłośniejszym afrontem Tuska wobec Trumpa był ten z czerwca 2018 r., gdy dwóch Donaldów spotkało się na szczycie G7 w Kanadzie. Jeden był wówczas amerykańskim prezydentem, drugi przewodniczącym Rady Europejskiej. Tusk pozwolił sobie wtedy na żarcik przed obiektywami, gdy idąc za Trumpem, przystawił mu do pleców palce ułożone w pistolet. Tym sztubackim wyskokiem pochwalił się nawet w swojej książce „Szczere”. Po pięciu latach i zamachu na ame-

rykańskiego polityka wyglup Tuska wygląda jeszcze bardziej żałośnie.

We wspomnianej publikacji ówczesny szef RE wykorzystuje pierwsze zwycięstwo Trumpa w 2016 r., by tak go opisać – „potrafi być bardzo brutalny i dobrze się czuje w grze faul”, „z wartości najwyższej ceni pieniądze”, „ma swobodny stosunek do szóstego i ósmego przykazania”, „szanuje i podziwia Putina”. Dość łagodnie jak

i kreuje się na gościa, który od dawna gra na dwóch fortepianach oraz rzekomo utrzymuje dobre stosunki z oboma największymi obozami za oceanem. „Wielokrotnie nawet chwaliłem prezydenta Trumpa, nie tylko za to, że państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego powinny wydawać więcej na zbrojenie. Chwaliłem także formę – stanowczą, dobitną” – mówił w zeszłym tygodniu. Tyle że i tu niewiele jest prawdy.

Cztery lata temu, gdy Trump kontestował wynik wyborów, Sikorski komentował bowiem w TOK FM: „To, co dzisiaj się dzieje, będzie symbolem tej prezydentury, prezydentury kłamstw i dzielenia [...]”.



Sikorski o Trumpie: „Jego własny gabinet ma prawo uznać go za niepo czytelnego i natychmiast zakończyć jego prezydenturę”

na Tuskowe standardy, choć i tak mało dyplomatycznie. A mówimy przecież o książce dzienniku, w którym każde słowo jest wyczelowane (inaczej niż w czasie odpowiedzi na wiecowe pytania) oraz o czasie, w którym Trump piastował urząd prezydenta, a więc każdy nietakt od ważnego polityka z Polski raczej torpedował, niż zacieśniał relacje z najważniejszym sojusznikiem.

MAŻ SWOJEJ ŻONY

Nie lepszy od Tuska jest szef dyplomacji w jego rządzie. Choć dziś Radosław Sikorski podobnie jak jego pryncypał liczy na pamięć rozwielitki u odbiorców

Jego dwuznaczne apele wypełniają warunki złożenia go z urzędu. Jego własny gabinet ma prawo uznać go za niepo czytelnego i natychmiast zakończyć jego prezydenturę. Wydaje mi się, że byłby to scenariusz pożądany, bo to, co się dzieje, to straszny cios w wizerunek i powagę naszego największego sojusznika”. Nieco wcześniej, w 2019 r., mówił o Trumpie: „Protofaszysta”.

Dziś Sikorski twierdzi, że od kiedy w Polsce zaczęła rządzić obecna koalicja, nikt z jego obozu nie powiedział o Trumpie złego słowa. Nie pamięta więc, jak komentował kwietniowe zdjęcie polskiego prezydenta z gospodarzem Trump Tower: „Pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem ci, kim jesteś”. Spotkanie Andrzeja Dudy nazywał „ryzykownym” i wbijał Trumpowi szpilę: „Proszę sobie wyobrazić, jednego dnia musi pan tłumaczyć z opłacania się jakiejś gwiazdce porno, a następnego urzędujący prezydent średniej wielkości kraju wpada na kolację. Myślę, że to były bardzo mile spędzone dwie godziny przez Donalda Trumpa”. Dziś powinien odszczekać te słowa, a prezydentowi Dudzie podzię-



Applebaum o Trumpie: „Mówi jak Hitler, Stalin i Mussolini”

kować za to, że jako jedyny utrzymywał z Trumpem kontakty, które dziś mogą uratować nasze relacje z Waszyngtonem (z taką lubością niszczone przez „demokratów” znad Wisły).

Obecnie Sikorski zarzeka się jeszcze: „Bardzo pilnowałem, aby nie popełnić błędu obecnej opozycji, tj. stawiania wszystkich żetonów na jedną stronę rywalizacji politycznej w Stanach Zjednoczonych”. Ciekawe, gdzie pilnował, bo raczej nie w domu.

Małżonka pana ministra cierpi wręcz na jakąś obsesję na punkcie Donalda Trumpa. Wyżywa się na nim regularnie i bije własne rekordy knajactwa w publicystyce. Im bliżej było do amerykańskich wyborów, tym bardziej Anne Applebaum zaostrzała swoje teksty. W połowie października na łamach skrajnie lewicowego „The Atlantic” pisała, że „Trump mówi jak Hitler, Stalin i Mussolini”, imputowała mu podziw dla tych zbrodniarzy i przygotowywanie zwolenników na to, że „jego reżim może – podobnie jak jego poprzednicy – łamać prawo bezkarnie”.

Trzy miesiące wcześniej, po rezygnacji z reelekcji Joe Bidena, stwierdziła, że „nagle Trump wygląda na jeszcze starszego i bardziej obłąkanego”.

W 2020 r., gdy Trump zasiadał w Białym Domu, Applebaum w książce „Matka Polka” pisała: „Jeśli ludzie są w stanie oddać głos na kogoś takiego jak Trump, który jest ewidentnie debilem, który nic nie rozumie, mówi sloganami na zmianę z hasłami rasistowskimi, lub Duda, który bredzi o Unii Europejskiej, wtedy trzeba zapytać, po pierwsze, czy demokracja jest możliwa, i po drugie, czy jest potrzebna?”.

Anne Applebaum od 11 lat ma nie tylko amerykańskie, lecz także polskie obywatelstwo. Mogłaby więc niekiedy zachować dla siebie poglądy, które niekoniecznie korzystnie wpływają na stosunki jej obu ojczyzn. Zwłaszcza gdy jej małżonek pełni funkcję szefa polskiej dyplomacji.

HEJTER NA AMBASADORA

Swoją drogą ciekawe, czy pod publikacjami żony podpisałby się sam Sikorski. Nie sposób bowiem uwierzyć w jego przemianę i chęć naprawiania relacji z republikanami, jeśli nawet po

Klich o Trumpie: „Jako marionetka Putina podałby mu na tacy całą Ukrainę. A na deser jeszcze USA”



zwycięstwie Trumpa upiera się przy kandydaturze Bogdana Klicha na ambasadora w Waszyngtonie.

Wydawało się, że wynik wyborów każe Tuskowi i Sikorskiemu iść po rozum do głowy i wycofać się z pomysłu wysyłania skompromitowanego senatora na placówkę za ocean. Nic z tych rzeczy. Sikorski wciąż liczy, że Klich otrzyma ambasadorską nominację. Nic takiego się jednak nie wydarzy, co wyraźnie zapowiedział prezydent. Andrzej Duda jako główny argument podnosił co prawda fakt, że Klich był szefem MON w czasie katastrofy smoleńskiej, ale i jego niedawne wypowiedzi o Donaldzie Trumpie nakazywałyby raczej schowanie tego polityka przed Amerykanami.

„Przyjaźń z tym nie zrównoważonym i nieszanującym demokracji politykiem miała być według PiS gwarantem bezpieczeństwa Polski”. „Trump jako marionetka Putina, podałby mu na tacy całą Ukrainę. A na deser jeszcze USA”. To wszystko słowa Klicha z jego wynurzeń w mediach społecznościowych. Przed dwoma laty pytał też, gdzie są ci, którzy modlili się o zwycięstwo Trumpa. I dodawał: „Gdyby do tego doszło, zamiast Fort Trump mielibyśmy w niedalekiej przyszłości Fort Putin”.

Co jeszcze robią, by utrudnić sobie stosunki z Amerykanami? Kogo jeszcze tam wysłać? Jako przedstawiciel komisji spraw zagranicznych Parlamentu Europejskiego w delegację do USA pojechał w ubiegłym tygodniu europoseł Michał Szczerba, kolejny mistrz dyplomacji z Platformy Obywatelskiej. Jego najsłynniejsze zdanie o przyszłym amerykańskim prezydencie brzmi: „Miejsce Trumpa jest na śmietniku”.

– Relacje nowej amerykańskiej administracji z polskim obozem rządowym na pewno nie będą ciepłe. Żyjemy w czasach, w których politycy plotą, co im ślina na język przyniesie i dostosowują to do bieżących oczekiwań wyborców. Dopiero później przychodzi moment opamiętania i refleksji, że można było zachować się bardziej dyplomatycznie, a nie chlapać takie rzeczy. Teraz jest czas na intensywną pracę polskiej dyplomacji, by przykryć te niedawne wypowiedzi. Sikorski ewidentnie to zrozumiał, dlatego przekonuje, że jest w kontakcie ze współpracownikami Trumpa – mówi nam dr hab. Bartłomiej Biskup, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Według eksperta założenie, że Trump nie wygra tych wyborów, było ciężkim błędem polskiego obozu rządzącego: – Oczywiście można popierać różnych polityków w innych krajach, ale nie można tak otwarcie występować przeciw jednemu z nich, który może sięgnąć po władzę. Jeśli nie dopuszczano możliwości zwycięstwa kandydata republikańskiego, świadczy to albo o radykalnie wąskich horyzontach, albo o tym, że kompletnie zawiodła analityka. Wypowiedzi obrażające potencjalnego przywódcę naszych sojuszników nie powinny były się zdarzyć.

A jednak się zdarzyły. I to wielokrotnie. Być może dlatego, że ekipa, która przed rokiem przejęła władzę w Polsce,

Szczerba o Trumpie: „Jego miejsce jest na śmietniku”



by przypodobać się swoim protektorom (z bliższej zagranicy, a wręcz zza miedzy), jest w stanie zniszczyć dobre relacje z naszym głównym sojusznikiem w obszarze obronności. Stanowi zatem zagrożenie dla polskiego bezpieczeństwa. Dlatego po amerykańskich wyborach głęboki sens mają wezwania, by ci ludzie po prostu złożyli urzędy.

Putinada nad Wisłą



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Działania Tuska wobec opozycji coraz częściej przywodzą na myśl metody Putina. Obecny szef rządu wchodzi na ścieżkę, z której nie ma już powrotu do normalnie funkcjonującej demokracji

Wszyscy pewnie pamiętają naradę sztabu kryzysowego podczas niedawnej powodzi na Dolnym Śląsku, w trakcie której Donald Tusk przyjmował wiernopoddańczy hołd od jednego z miejscowych wójtów („Proszę przekazać premierowi, że jest wielki”). Nawet Jacek Żakowski zauważył wówczas, że narady Tuska przypominają putinowski styl zarządzania państwem.

Gdyby jednak chodziło tylko o tego rodzaju sceny, to mielibyśmy co najwyżej powód do żartów. Problem w tym, że putinowskie inspiracje premiera są znacznie głębsze i dotyczą istoty jego polityki, którą on sam nazwał „demokracją walczącą”. Jak pokazuje praktyka dotychczasowych rządów Tuska, składają się na nią instrumentalne traktowanie prawa „tak, jak je rozumiemy” lub wręcz jego łamanie, represje wobec opozycji, ograniczanie wolności słowa oraz wykorzystywanie do tych celów aparatu państwa. Im bardziej szef rządu traktuje państwo jak maszynę służącą wzmocnieniu jego władzy, tym częściej jego zachowania mają nieprzyjemny posmak autorytaryzmu.

OPOZYCJĄ JAKO TERRORYŚCI

Ostatniego dnia października byliśmy świadkami niecodziennego spektaklu. Na

lotnisku Okęcie wylądował samolot z Pawłem S. – deportowanym z Dominikany biznesmenem, twórcą marki „Red is bad”. Poszukiwanego listem gończym przedsiębiorcę zakuto

w kajdanki i przewieziono jak cenną zdobycz w długiej kolumnie aut policyjnych na sygnale. Jego zatrzymanie podobnie jak lot samolotu na bieżąco śledziła telewizja TVN, której reporterzy zdawali widzom relację na żywo.

Ktoś niezorientowany w tym, co się dzieje, mógł uznać, że oto udało się ściągnąć do Polski wyjątkowo groźnego terrorystę.

Twórcom tego spektaklu chodziło o wywołanie właśnie takiego efektu. Paweł S., nie przesadzając w tej chwili o jego winie, jest podejrzewany o przekręty finansowe i nic nie uzasadniało użycia takich środków policyjnych, jakie zastosowano w jego przypadku. Nawet Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej” uznał tę inscenizację za przesadę. „Nie podobają mi się takie pokazówki, filmy z zatrzymań w sprawach polityczno-gospodarczych. To jest niepotrzebne upokarzanie tych ludzi” – stwierdził.



Rzecz jasna w tej pokazówce wcale nie chodziło o Pawła S. Zorganizowana podczas jego zatrzymania hucpa służy budowie narracji, że poprzednia władza tworzyła zorganizowaną grupę przestępczą i może stanowić preludium do dalszych zatrzymań, tym razem na znacznie wyższym szczeblu. Od dawna pojawiają się bowiem pogłoski, że prawdziwym celem Tuska jest Mateusz Morawiecki oraz inni wysocy rangą politycy PiS. Gdyby udało się wmówić ludziom, że przez ostatnie osiem lat Polską rządziła mafia, to droga do rozbicia i delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości byłaby otwarta na oścież. Konsekwencją takiego scenariusza byłaby zaś całkowita eliminacja obecnej opozycji w Polsce.

Ta strategia mocno już pachnie wschodnimi standardami. Nie tylko z powodu aresztów wydobywczych, gdzie podejmowane są – jak w przypadku ks. Olszewskiego oraz byłych urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości – próby „wyciągnięcia” od zatrzymanych zeznań pożądaných przez władzę, lecz także z tego powodu, że w putinowskim ujęciu polityki wszelka działalność opozycyjna jest w istocie działalnością kryminalną.

Warto sobie w tym kontekście przypomnieć Aleksieja Nawalnego, który wprawdzie nie jest bohaterem z naszej bajki, ale mechanizmy, które zastosował wobec niego Putin, przypominają obecną strategię Tuska. Nawalnego podobnie jak wielu innych rosyjskich opozycjonistów ścigano przecież pod zarzutami kryminalnymi. W 2013 r. został on oskarżony o defraudację, później te zarzuty powtórzono w kolejnym procesie. Jeszcze później Nawalny został skazany także za „ekstremizm” i przy tym powinniśmy się przez chwilę zatrzymać.

W 2008 r. w ramach rosyjskiego MWD utworzono urząd do walki z przestępstwami o charakterze ekstremistycznym. Chodziło przede wszystkim o terrorystów z Kaukazu i Azji Środkowej. Definicję ekstremizmu szybko jednak rozszerzono na wszelką działalność opozycyjną. W rezultacie urząd zajmuje się dziś głównie zwalczaniem politycznych oponentów Kremla. Polega to przede wszystkim na infiltracji przez władze różnych grup społecznych oraz stałym nadzorze nad mediami społecznościowymi w internecie.

W oficjalnym przekazie Kremla nie ściga się więc nikogo za działalność polityczną, lecz za ekstremizm i przestępstwa kryminalne. W Polsce Tuska nie stawia się jeszcze opozycji zarzutu ekstremizmu, ale zaangażowanie armii policjantów w zatrzymanie Pawła S., jak gdyby ten nieszczęsny biznesmen był groźnym terrorystą, pozwala przypuszczać, że nie jesteśmy aż tak daleko od tych standardów. Z kolei wrzucanie rywali politycznych do jednego worka z kryminalistami podobnie jak w Rosji ma pozbawić ich wiarygodności w oczach opinii publicznej i zarazem stwarzać iluzję, że nie chodzi tu o politykę i w związku z tym żadne wolności nie zostały naruszone.

DYKTATURA PRAWA

Taka samowolka ze strony władzy nie byłaby oczywiście możliwa, gdyby istniał u nas rzeczywiście niezależny wymiar sprawiedliwości, a przede wszystkim w pełni profesjonalne i działające zgodnie z prawem organy ścigania. Tymczasem od chwili najazdu na Prokuraturę Krajową na początku tego roku nie mamy w Polsce legalnej, tj. działającej na podstawie właściwych aktów prawnych, prokuratury. Prezydent Andrzej Duda przypomniał bowiem, że powołanie na stanowisko prokuratora krajowego Dariusza Korneluka jest prawnie nieskuteczne, ponieważ premier nie zasięgnął w tej sprawie opinii głowy państwa, czego wymagają obowiązujące przepisy.

W rezultacie mamy dziś prokuraturę (niektórzy mówią: neoprokuraturę), która jest całkowicie zależna od władzy, co ma fatalne konsekwencje dla praworządności w Polsce. Dowiadujemy się m.in., że prokuratura wbrew prawu próbowała uniemożliwić mecenasowi Krzysztofowi Wąsowskiemu

kontakt z jego klientami, ks. Olszewskim oraz Urszulą Dubejko, zatrzymanymi wcześniej w sprawie Funduszu Sprawiedliwości. „Wiecie Państwo, że w Polsce AD 2024 znaleziono sposób na wyeliminowanie bardzo dobrego obrońcy z jednej z najistotniejszych dla rządu spraw karnych?” – napisał na platformie X mecenas Bartosz Lewandowski. „Jakim cudem? Takim, że prokuratura – wiedząc, że mec. Wąsowski jest obrońcą podejrzanych – chciała go przesłuchać w charakterze świadka (!), choć art. 178 pkt 1 kpk tego zabrania. I teraz prokuratura stwierdza, że skoro sąd zakazał po-

dejrzanym kontaktowania się ze świadkami, to także on nie może z nimi nawet rozmawiać” – wyjaśnia adwokat. Skądinąd Bartosz Lewandowski jeszcze do niedawna był obrońcą Pawła S., ale jak doniosła „Rzeczpospolita”, biznesmen cofnął mu pełnomocnictwo pod presją śledczych.

Nękanie adwokatów, którzy występują w sprawach politycznych, nie jest niczym nowym. Było tak w PRL i jest tak do dziś w wielu krajach posowieckich. Przy czym w Rosji zbyt nieustępliwi obrońcy sami trafiają za kraty. Dotknęło to m.in. Wadima Kobziewa, Igora Siergunina i Aleksieja Lipcera, którzy po kolei reprezentowali Nawalnego oraz Wasilija Dubkowa, który po śmierci rosyjskiego opozycjonisty pomagał jego matce. Innym znanym przykładem represji była sprawa adwokata Siergieja Magnickiego, który odkrył mechanizm wyludzania pieniędzy z prywatnych firm przez urzędników służb skarbowych pod pozorem zaległości podatkowych. Ujawnienie tego proceduru zakończyło się aresztowaniem Magnickiego w 2008 r. i jego śmiercią w więzieniu z powodu braku właściwej opieki medycznej.

Wrzucanie rywali politycznych do jednego worka z kryminalistami podobnie jak w Rosji ma stwarzać iluzję, że nie chodzi o politykę i w związku z tym żadne wolności nie zostały naruszone

W Polsce nikt na razie nie prześladowa niewygodnych prawników, ale utrudnianie prawa do obrony, a właśnie z tym mamy do czynienia w przypadku pisma prokuratury do mecenasa Wąsowskiego, powinno być dla nas dzwonkiem alarmowym. Oznacza to bowiem, że rząd Tuska po raz kolejny chce iść na rympał, uniemożliwiając skuteczną obronę podejrzanym. Nie idzie tu więc o dojście do prawdy, lecz polityczną zemstę i represję.

Taka postawa jeszcze bardziej rozzuchwała organy ścigania. Wystarczy przypomnieć choćby opisywane przez media szyskany, jakimi poddawano w celi ks. Olszewskiego i zatrzymane urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości. Poczucie bezkarności i krycia przez władze bywa widoczne również w zachowaniu policji, czego przykład może stanowić zupełnie nieadekwatna do sytuacji brutalność sił porządkowych podczas pacyfikacji marcowych protestów rolniczych w Warszawie.

Putin nazwał swój system „dyktaturą prawa” – należy przez to rozumieć, że wszystkie, nawet najbardziej brutalne represje, mają formalne podstawy prawne. Przy czym interpretacja tego prawa zależy wyłącznie od władzy i nikt nie powinien tego podważać w swoim własnym interesie. W Polsce również wszystko jest zgodne z prawem – takim, jak je rozumie Tusk.

MEDIA W KAGAŃCU

W Rosji władza działa poza jakąkolwiek kontrolą społeczną. Jedną z pierwszych decyzji Putina po objęciu przez niego prezydentury w 2000 r. było ograniczenie wolności mediów. Nowego gospodarza Kremla szczególnie irytowała nieprzychylna mu stacja NTV należąca do oligarchy Władimira Gusinskiego. W czerwcu 2000 r. po krótkim dochodzeniu został on zatrzymany i osadzony na kilka dni w więzieniu, a potem w areszcie domowym pod oficjalnym zarzutem nieprawidłowości podczas prywatyzacji petersburskiego przedsiębiorstwa Russkoje Video w 1998 r.

Aby uniknąć oskarżeń o próbę zamachu na media, w walce z oligarchą Putin posłużył się koncernem Gazprom, który był wierzycielem i jednocześnie akcjonariuszem holdingu Media-Most, w którego skład wchodziła telewizja NTV. Gusinskiego zwolniono z aresztu dopiero po tym, jak w zamian za długi wobec Gazpromu zgodził się odsprzedać koncernowi swoje akcje za relatywnie niewielką cenę. Wkrótce po tej transakcji Gusinski, który rzeczywiście miał wiele za uszami, wyemigrował z Rosji, a jego holding został przejęty przez Gazprom-Media i w następnym roku zlikwidowany. Należące do niego media, w tym przede wszystkim telewizja NTV, zostały politycznie podporządkowane Kremlowi, pozostając formalnie własnością Gazpromu.

Przypominam tę historię, bo przy wszystkich różnicach przypomni ona na myśl najazd osiłków Sienkiewicza na siedzibę TVP w grudniu 2023 r. Podobnie jak w przypadku Putina, przejęcie telewizji było pierwszą akcją nowej władzy. Stanowiło ono również akt politycznej bandyterki, przy czym o ile w Rosji (zadłużenie NTV wobec Gazpromu)

paradoksalnie można było mówić o wątpliwej podstawie prawnej, o tyle w Polsce (pozbawiona jakiejkolwiek mocy uchwała większości sejmowej) takiej podstawy nie było. Podobny był także cel ataku na telewizję – władza dążyła do wprowadzenia monopolu informacyjnego w popularnych mediach.

Kontrola nad przepływem informacji jest potrzebna tylko temu, kto ma coś do ukrycia. Tusk chce zataić przed opinią publiczną nie tylko postępujący demontaż i zapaść państwa, lecz także swoje z trudem skrywane autorytarne ambicje. Skok na TVP miał odebrać tlen opozycji i zamknąć usta krytykom premiera w czasie, gdy będzie rozprawiał się ze swoimi rywalami. W eterze miał rozbrzmiewać wyłącznie przekaz władzy.

Warto zauważyć, że wraz z domykaniem systemu reżymu wynajdują kolejnych wrogów. W Rosji nie skończyło się na NTV. W następnych latach przejęto kontrolę nad pozostałymi, mniejszymi stacjami telewizyjnymi. Ostatnią z nich była zepchnięta do internetu i pozbawiona reklam Telewizja Dożd. Gazety początkowo oszczędzono, ze swoimi niskimi nakładami pełniły rolę listka figowego dla Kremla, ale i one padły w końcu ofiarą szyskan. Założono również kaganiec na coraz bardziej popularny internet, nakładając drakońskie kary na nieprawomyślnych użytkowników, a w końcu odcinając go stopniowo od światowej sieci.

W Polsce taki zamordyzm wydaje się niemożliwy, ale przecież nasz rynek medialny już dziś jest w dużym stopniu kontrolowany przez jedną opcję polityczną. Naprawdę niewiele trzeba, aby ta kontrola przekształciła się w monopol.

DEMOKRACJA SUWERENNA CZY WALCZĄCA?

Na koniec warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno podobieństwo, tym razem terminologiczne. Otóż Donald Tusk nazwał swój pelzający autorytaryzm „demokracją walczącą”. Bardzo mu zależało na tym, żeby podkreślić, że nie zrezygnował z demokracji. Wręcz przeciwnie, walczy o nią, dlatego czasami musi iść na skróty.

Starszym czytelnikom może to przywołać na myśl dawną „demokrację socjalistyczną”, która tylko z nazwy była demokracją. Ale warto spojrzeć na Wschód i przypomnieć, iż także Putin bardzo sobie ceni demokrację, tyle że w jego wydaniu jest to „demokracja suwerenna”. Tam również formalnie istnieje trójpodział władzy – jest prezydent i rząd, parlament oraz wymiar sprawiedliwości. Tyle że sądy są podporządkowane władzy, a do parlamentu mogą się dostać wyłącznie partie koncesjonowane przez Kreml, reprezentujące formalnie różne opcje polityczne – od prawa do lewa. Ordynacja wyborcza jest skonstruowana jak szczelne sito, które nie wpuści do polityki nikogo przypadkowego, a wybory pełnią w Rosji rolę nic nieznaczącego rytuału.

Wiele wskazuje na to, że Tusk nie pogardziłby takim systemem. Zwasalizował już większą część sceny politycznej za wyjątkiem PiS. Dlatego chce zniszczyć tę partię. Jeżeli mu się uda, to wkrótce naprawdę będziemy mieli w Polsce putinowską Rosję.

Fundacja Profeto nie jest pierwszą ofiarą. Stałym obiektem ataków, wręcz workiem treningowym, pozostaje Radio Maryja i powiązane z nim instytucje. Teraz władza „trzępie” Muzeum Pamięć i Tożsamość. Skuteczna była operacja przeciw Stowarzyszeniu Wiosna prowadzącemu akcję charytatywną Szlachetna Paczka. Zostało ono wyeliminowane ze świata polskiej dobroczynności i przestało być konkurencją dla przedsięwzięcia Jerzego Owsiaka traktowanego jako hegemon na tym polu. Co jakiś czas ponawiane są ataki na Caritas. W tym przypadku mało udane, a to z powodu specyficznej struktury tego dzieła, jego decentralizacji, która uniemożliwia sparaliżowanie całości, a tym bardziej nie pozwala na wrogie przejęcie całej struktury.

ATRAKCYJNY, CZYLI NIEBEZPIECZNY

Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem systemowym, które objawi się jeszcze nie raz. W przypadku Fundacji Profeto i ks. Michała Olszewskiego doszło do szczególnego skumulowania złych intencji. Podstawowym „błędem” duchownego było to, że wszedł na teren Warszawy. Dopóki działał na południu Polski, liberalno-lewicowy świat nie interesował się nim, bo nie uważał go za niebezpieczeństwo. Nagle dostrzeżono, że energiczny i młody, dzisiaj 42-letni duchowny może stać się postacią o ogólnopolskim znaczeniu. Charyzmatyczny, medialny, obeznany z nowoczesnymi technologiami, wysportowany (ma czarny pas w taekwondo) – czyli posiadający zestaw cech, które w normalnych warunkach są uznawane za coś pozytywnego, budzącego aprobatę. W tym jednak przypadku było to niebezpieczne – ks. Michał to ktoś, kto może trafić do

młodego pokolenia. Stać się o. Rydzykiem nowej generacji.

Na dodatek zajmował się dobroczynnością. Taka działalność budzi powszechną sympatię i szacunek. A także zawiść tych, którzy chcą mieć na nią monopol, oraz wrogów, bo ci wiedzą, że trudniej jest zniszczyć kogoś, kto jest ceniony za swoje poświęcenie i empatię.

Fundacja Profeto została wrogo przyjęta w Warszawie. Jeszcze nie było

nowie. Około 1,2 ha powierzchni. I to stało się powodem nieszczęść księdza i fundacji.

W innych okolicznościach gmina Wilanów byłaby zadowolona z tego, że na jej terenie pojawia się pożyteczna instytucja, która na dodatek daje miejsce pracy osobom o wysokich kwalifikacjach, bo wiadomo, że Profeto szukało psychologów, psychoterapeutów, doradców zawodowych itp., a ponadto będzie płaciło wszelkiego rodzaju podatki i opłaty lokalne. Tu jednak było inaczej.

Rządzony przez Platformę urząd gminy od samego początku rzucał kłody, mimo że działka była już kupiona. Nagle okazało się, iż zmienił się plan inwestycyjny i kanalizacja nie dotrze do miejsca budowy ośrodka. „Od zaprzyjaźnionych mieszkańców otrzymywaliśmy sygnały, że władze Wilanowa nigdy nie pozwolą na powstanie ośrodka budowanego „przez byłego egzorcystę za pieniądze Ziobry” – informowała później fundacja.

Profeto musiało przełamać wiele blokad administracyjnych ze strony gminy, odwołując się do wojewody. Wtedy jeszcze pisowskiego, bo było to na długo przed wyborami

2023 r. Gdy budynek siedziby został już przykryty dachem, miejscowy burmistrz skomentował to następującym wpisem na portalu społecznościowym: „To ponure gmaszysko w Wilanowie to inwestycja fundacji PROFETO, na którą otrzymała 43 miliony złotych z Funduszu Sprawiedliwości przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Fundacja PROFETO buduje ośrodek, w którym powstaną sala widowiskowa, kaplica, pięć studiów nagraniowych, trzy reżyserki postprodukcji, cztery serwerownie i dwa biura open space. Mają tam znaleźć się także sale terapii grupowej i salka teatralna na zajęcia dla młodzieży oraz lokale mieszkalne przeznaczone dla ofiar przestępstw”.

Kościół na celowniku

Atak na ks. Olszewskiego i Fundację Profeto nie jest pojedynczym incydentem w walce ekipy Tuska z prawicą. To część systematycznej kampanii niszczenia skutecznie działających instytucji katolickich. Lewica i liberalowie traktują je jako niebezpieczną konkurencję. Każde katolickie przedsięwzięcie, które odniosło sukces zostanie potraktowane tak samo



PIOTR GURSZTYN

szumu medialnego wokół niej, a już stołeczna dzielnica Wilanów robiła wszystko, aby nie wpuścić jej na swój teren. Fundacja szukała sporej działki o powierzchni wystarczającej na prowadzenie odpowiednio dużego ośrodka dla ofiar przemocy. Znalazła, co zresztą nie było łatwe, taką nieruchomość w Wila-



Całodobowy ośrodek pomocy ofiarom przestępstw wznoszony na warszawskim Wilanowie przez fundację Profeto

Minął się z prawdą, bo budynek ma się składać z 6 mieszkań interwencyjnych dla rodzin będących ofiarami przemocy i 30 pokoi dla osób w tym samym położeniu. 2 studia zamierzano urządzić na poddaszu. Tam też miała być „sala widowiskowa”, a w istocie pomieszczenie na 200 miejsc, czyli przestrzeń mniejsza od przeciętnej auli szkolnej.

Inicjatywa ks. Michała spotkała się z silną kampanią pomówień i dezinformacji. Pisząc o budowie ośrodka dla ofiar przemocy, liberalne media dawały tytuły „Nowe Rydzykowo” albo „Kopia imperium Rydzyka”. Fundacja szybko odnotowała z żalem: „Z dnia na dzień widzieliśmy, jak początkowo przyjaźnie nastawieni sąsiedzi w Powsinie zaczęli podchodzić do naszej inwestycji z rezerwą, a nawet niechęcią”.

Wśród „argumentów” przeciw budowie ośrodka media w rodzaju „Gazety Wyborczej” zaczęły podawać to, że w tamtejszej okolicy spadną ceny nieruchomości. To ważna sugestia, która wskazuje też możliwy kierunek działań władzy wobec dzieła ks. Olszewskiego. Ul. Dobrodzieja, czyli lokalizacja ośrodka, to peryferie Warszawy, ale bardzo dobrze skomunikowane. Być może fundacja sprzątnęła sprzed nosa tę działkę o bardzo korzystnym kształcie jakiegos deweloperowi, który chciał budować popularne w tamtym miejscu osiedle domów szeregowych. Nieruchomość jest teraz zabudowana (mniejsza część działki), co nie zmniejsza jej atrakcyjności. Od razu

Po zwolnieniu z aresztu księdza i obu urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości bodnarowcy rozpoczęli kampanię dyskredytacji duchownego. Ich sojusznikiem jak zawsze jest „Gazeta Wyborcza”

po aresztowaniu księdza, a zwłaszcza po zablokowaniu kont fundacji, pojawiły się plotki o deweloperach czekających na komornika licytującego ten obiekt. Ludzie związani z Profeto mówią, że nie wiedzą o jakichś widocznych działaniach w tym zakresie. Może zatem nie ma żadnej zмовy deweloperów (to podejrzenie często pojawia się w komentarzach ludzi wspierających ks. Olszewskiego), ale jest oczywiste, że sparaliżowana i prześladowana fundacja będzie musiała się pozbyć atrakcyjnego budynku.

KONKURENCJA ATAKUJE

Ogólna niechęć do inicjatyw katolickich i strach przed ich sukcesem to jedna przyczyna wrogości. Drugą jest fakt, że

Profeto weszło na teren laickich fundacji, które do tej pory były głównym odbiorcą publicznego wsparcia. Szczególnie pokrzywdzona poczuła się Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę (FDDS), która ze względów personalnych jest uznawana za bardzo wpływową w środowiskach lewicowych i niektórych katolickich. FDDS była beneficjentem Funduszu Sprawiedliwości także za czasów rządu PiS, ale nie uzyskała grantu na prowadzenie stałego ośrodka dla ofiar przemocy. Profeto wygrało, bo zgłosiło się z projektem ośrodka całodobowego, a FDDS oferowała model dzienny. Po przegranym konkursie zareagowała bardzo agresywnie: „Z niedowierzaniem i wzburzeniem przyjęliśmy dzisiejszą wiadomość, że po raz kolejny Ministerstwo Sprawiedliwości nie przyznało Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę dofinansowania na prowadzenie Centrów Pomocy Dzieciom, które zapewniają kompleksową pomoc dzieciom pokrzywdzonym przestępstwem i ich opiekunom. [...] Dotację przyznano Fundacji Profeto księdza Michała Olszewskiego, byłego egzorcysty słynnego z »uzdrawiania« wegetarianki działającej w Amnesty International i Greenpeace oraz wypędzającego z dzieci »duchy Harry’ego Pottera«. Nic nie wiadomo na temat działań tej organizacji na rzecz ofiar przestępstw. Mamy poważne

obawy, czy zadba o potrzeby dzieci, które wymagają specjalistycznej pomocy. Dziś bardzo emocjonalnie to przeżywamy, ale dzielimy się tym z Wami. Zastanawiamy się teraz, jakie jeszcze kroki możemy podjąć. Wrócimy z tym do Was”.

FDDS jest dzisiaj górą nie tylko dlatego, że po zmianie rządu organizacje katolickie są dyskryminowane. Także z tego powodu, że ważną osobę z władz fundacji łączy bardzo bliska zażyłość z prominentną postacią w obecnym Ministerstwie Sprawiedliwości. Ale to oczywiście nie będzie ciekawym tematem dla liberalnych mediów.

KAMPANIA OCZERNIANIA

Nieszczęściem Profeto było też to, że stało się polem bitwy, w której ekipa Tuska planowała mocno wykrwawić prawicę. Jak wiadomo, blitzkrieg bodnarowskiej prokuratury zakończył się spektakularną kompromitacją, ale to tylko etap, a nie koniec walki. Po zwolnieniu z aresztu księdza i obu urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości bodnarowscy uruchomili kampanię dyskredytacji duchownego. Ich sojusznikiem jak zawsze jest „GW”. Narracja tej kampanii przypomina teksty z urbanowskiego „Nie” czy w ogóle wszelkich lewackich propagandowych kampanii antyklerykalnych – czyli kreowanie obrazu ks. Olszewskiego jako chciwego i jednocześnie bogatego klechy.

Walka toczy się na bardzo nierównych zasadach. Prokuratura nie godziła się na jawność posiedzeń sądu w sprawie księdza i obu urzędników. Skrupulatnie też pilnuje, aby obrona nie ujawniała tajemnic śledztwa. Sama zaś udostępnia akta spraw pracownikowi „Wyborczej” – bo trudno sobie wyobrazić, aby prawdą była jego deklaracja, że sam „dotarł” do tych dokumentów. Ich publiczna prezentacja jest całkowicie wybiórcza i zmanipulowana. Wskazuje na to już sam fakt, że ksiądz, urzędnicki, a nawet nigdy nie aresztowana prezes Profeto Ewelina Zamojska byli tam przedstawiani bez nazwisk, lecz pod inicjałami. Czyli z jasną sugestią, że to groźni przestępcy. Opisano wiele działań – np. to, że ksiądz płacił za pobyt w hotelach, korzystał z karty kredytowej czy odsprzedał ku-

pione (i tym samym zapłacone) przez fundację skarpetki. Kontekst jest taki, jakby to były przestępstwa, choć żadne z nich nim nie jest. Każde z tych działań ma uzasadnienie i nie wiadomo, co w nich złego. Podane przez „Wyborczą” wielomilionowe sumy mają szokować, ale zabrakło wyjaśnienia, że trzeba je podzielić przez wiele lat, czyli czas, kiedy były wydawane, nie ma też informacji, że ich wysokość wynika z budowy ośrodka, czyli działania, które musi być kosztowne.

Inicjatywa ks. Michała spotkała się z silną kampanią pomówień i dezinformacji. Pisząc o budowie ośrodka dla ofiar przemocy, liberalne media dawały tytuły „Nowe Rydzikowo” albo „Kopia imperium Rydzika”

Sprawa jest bardzo istotna dla obecnej władzy, co widać po środkach zaangażowanych w akcję dyfamacyjną. Oprócz mediów takich jak „GW” czy TVN aktywna jest grupa internetowych hejterów skupionych wokół Romana Giertycha. Co rusz wypisują i rozpowszechniają oni przekaz o szczególnie prostackim i kłamliwym charakterze. Postać Giertycha jest tu ważna. Nie tylko dlatego, że gromadzi wokół siebie grono internetowych trolli. Także z tego powodu, że testuje – formalnie z własnej inicjatywy, a w praktyce na rzecz całej formacji – możliwe kierunki ataku. To przecież on zażądał odebrania koncesji Radiu Maryja oraz wymyśla kolejne pomysły szykanowania o. Rydzika i związanych z nim dzieł. A obu tych przypadków – Profeto i radia – nie należy traktować rozłącznie. Budzą nienawiść lib-leftu z tych samych powodów i czeka je ten sam los, jeśli powiodą się zamierzenia agresorów.

Nienawiść wynika ze strachu przed skutecznością ludzi takich jak ks. Olszewski i jego współpracownicy. Identyfikując w przypadku Radia Maryja, które miało wymrzeć wraz ze swymi słuchaczami, a żyje już ponad 30 lat i ma się zupełnie dobrze. Oprócz wulgarnej dyskredytacji à la trolle Giertycha istnieje też jej bardziej wyrafinowana forma. To otwarte ostrzeżenia przed siłą, jaką wytworzyła solidarność z uwięzionym księdzem oraz Urszulą Dubejko i Karoliną Kucharską. „Ksiądz Olszewski jak Popiełuszko, urzędnicki Funduszu Sprawiedliwości jak sanitariuszka »Inka«”. Na Nowogrodzkiej zacierają ręce” – ostrzegala publicystka „GW”. Trochę próbowała drwić, ale dużo bardziej była zaniepokojona tym, że na prawicy tworzy się nowa „sektą”, która realnie wzmocni PiS.

Rozdarta między drwiną a strachem jest Magdalena Środa, ale u niej też wygrywa poczucie, że perfidnie przebiegły Jarosław Kaczyński skutecznie stworzył nowy, niebezpieczny dla jej świata mit: „Nie bagatelizowałabym »męczeństwa« księdza Olszewskiego i rosnącego wraz z nim mitu, bo to, co prawda, inny mit niż smoleński, ale może się okazać równie fundacyjny. [...] Sądzę więc, że Kaczyński postawił już na Olszewskiego. Jego partia niezależnie od afer, które – zdawać by się mogło – zmiotą ją z powierzchni ziemi, jest ciągle zdolna dostarczać cudów”.

* * *

Ktoś, kto jest blisko opisywanych zdarzeń, wie, że powyższe opinie są wyrazem obsesji. Wręcz paranoi. Ale to nie znaczy, że należy lekceważyć takie reakcje. Liberalowie i lewica są owładnięci negatywnymi emocjami wobec Kościoła i katolików. Krytykują ich, że są anachroniczni, nienowocześni, zaściankowi. Ale gdy jakieś katolickie środowisko wykaże się przedsiębiorczością, cechami społeczeństwa obywatelskiego, to powinno być pewne, że wkrótce zostanie zaatakowane. Musi być gotowe do walki o prawo do swojego istnienia, bo w oczach lib-leftu nie ma prawa w ogóle żyć.

Hołownia niepotrzebny od zaraz

*Marszałek Sejmu stał się najbardziej zbędnym
człowiekiem w wyborach na prezydenta RP,
w parlamencie, a nawet w swojej partii*



STANISŁAW JANCECKI

Jego sposób prowadzenia obrad Sejmu nic nie daje rządzącym, a nawet bywa przeszkodą, jeśli 18-mandatowa większość okazywała się niewystarczająca do przegłosowania potrzebnych uchwał, np. w sprawie zmian w składach komisji sejmowych. To jego oskarżano o doprowadzenie do głosowań, w których nie było zagwarantowanej większości uniemożliwiającej np. zerwanie kworum. Już dawno nie jest „gigachadem”, którego przychodziło oglądać szkolne wycieczki, lecz stał się człowiekiem memem, z którego ludzie się śmieją. Stracił wszelki urok, gdy przestał się przygotowywać do obrad w ten sposób, że na każdy dzień miał rozpisane różne powiedzonka mające potem królować w mediach społecznościowych.

Po roku od wyborów parlamentarnych marszałek Sejmu Szymon Hołownia stał się najbardziej niepotrzebnym i niepożądanym politykiem koalicji

rządzącej. Wprawdzie umowa koalicyjna zapewnia mu jeszcze prawie rok urzędowania na stanowisku marszałka (rotacyjnego) Sejmu, ale koalicjanci najchętniej by się go pozbyli już teraz. Nie ma już mowy o tym, że lider Polski 2050 mógłby być marszałkiem przez całą kadencję, a nawet jej połowa jest traktowana jako zbyt długi okres.

Liderzy partii koalicyjnych stracili cierpliwość do Hołowni, a najbardziej zaskakujące jest ochłodzenie uczuć między nim a Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. To przecież prezes PSL na długo przed tym, zanim powstała taka potrzeba, wskazywał Hołownię jako wspólnego i najlepszego kandydata Trzeciej Drogi na prezydenta. Ale 26 października 2024 r. w Tarnowie ten sam Kosiniak-Kamysz wykonał zaskakujący zwrot. „O to chciałbym poprosić i do tego chciałbym zaprosić naszych partnerów z koalicji rządowej – z Platformy Obywatelskiej, z Koalicji Obywatelskiej, z Polski 2050, z Lewicy, żebyśmy już dzisiaj wspólnie wyłonili kandydata na prezydenta” – powiedział. Bo „nie stać nas dzisiaj na kolejne kłótnie i spory”, w związku z czym „trzeba wyłonić jednego kandydata, a nie trzech” na prezydenta.

Kilka godzin później na apel szefa ludowców zareagował Donald Tusk

na platformie X: „Wspólna strategia Koalicji 15 X na wybory prezydenckie musi być zbudowana na trzech fundamentach: partie wystawiają najlepszych kandydatów, nie atakujemy swoich w I turze, wszyscy popieramy (jednoznacznie!) tego, kto przejdzie do II tury. Wygrać, utrzymując jedność – to nasz cel”.

CIOŚ W PRZYJACIELA

Prezes PSL uderzył przede wszystkim w swego „wielkiego przyjaciela” i „ojca wspólnych dzieci”, czyli Szymona Hołownię, bo przecież marszałek Sejmu nie miałby żadnych szans na to, żeby zostać wspólnym kandydatem koalicji rządzącej. I Kosiniak-Kamysz zrobił swoją wrzutkę w ostatniej chwili, gdy Hołownia miał już ogłaszać swój start jako kandydat Trzeciej Drogi. Marszałek zareagował tak, jakby został trafiony w najbardziej czułe miejsce, dlatego tłumaczył, że choć jeszcze nie podjął decyzji o starcie, już słyszy zgrane tony z kampanii parlamentarnej w 2023 r. „Ten głos, który się podnosi: jeden kandydat, jedna lista, brzmii w moich uszach nie od dziś, ale co najmniej od dwóch lat. Pamiętam, jak przed wyborami parlamentarnymi ta sama pieśń zaczęła rozbrzmiewać po warszawskich salonach,

pytając, czy Polska 2050 powściągnie swoje dramatyczne i niszczące demokrację ambicje. Czy wreszcie poddamy się tej kojącej myśli o tym, że tylko razem jesteśmy w stanie na jednej liście pokonać PiS. I co się okazało? Pokonaliśmy PiS dlatego, że daliśmy ludziom wybór. Pokazaliśmy, że umiemy pracować zespołowo i nie tworzyć mrzonek” – tłumaczył z wyraźną urazą marszałek Sejmu. I pół biedy, gdyby chodziło o wyborczą strategię obecnej koalicji rządzącej. Ale chodzi przede wszystkim o to, by pozbyć się Szymona Hołowni. Nie tylko jako kandydata na prezydenta RP, lecz także marszałka Sejmu. Rok wcześniej niż się umówiono i w taki sposób, żeby koalicja się nie rozpadła.

Mamy więc do czynienia ze spiskiem, a jeśli tak, to nie jest możliwe, żeby nie uczestniczyli w nim wszyscy liderzy koalicji 13 grudnia poza Szymonem Hołownią. A nawet z tymi, którzy w Polsce 2050 chętnie by go zastąpili kimś innym w roli szefa partii.

Ani Donald Tusk, ani Władysław Kosiniak-Kamysz, ani Włodzimierz Czarzasty nie są pewni, czy Szymon Hołownia sam ustąpi za rok i czy znajdzie się większość, która go odwoła. Przecież opozycja może wykorzystać niesnaski w obozie władzy i skomplikować wymianę marszałka Sejmu. A ten miał zostać na stanowisku za rezygnację z kandydowania w wyborach prezydenckich, tyle że taki scenariusz jest już dawno nieaktualny.

Kandydowanie Hołowni w wyborach prezydenckich w 2025 r. jest kłopotliwe głównie dla koalicyjnych partnerów. Nie dość, że Hołownia prowadziłby kampanię jako urzędujący marszałek Sejmu, to jeszcze mógłby w pierwszej turze odbierać głosy potrzebne kandydatowi Koalicji Obywatelskiej, przez co ten może nie mieć w niej największej liczby głosów, nawet jeśli przeszedłby do drugiej. A to byłaby wizerunkowa i propagandowa katastrofa.

Tyle że wydarzenia przyspieszyły i Hołownia nie jest już wspólnym kandydatem Trzeciej Drogi na prezydenta. Nie przyjmuje jednak do wiadomości tego, że Kosiniak-Kamysz nie popiera go już jako wspólnego nominata. Skręt

prezesa PSL, żeby wskazać wspólnego kandydata całego obozu rządzącego już przed pierwszą turą wyborów, był wymierzony w Hołownię, by obejść konieczność renegocjowania z nim ustaleń sprzed miesiąca, gdy miał reprezentować Trzecią Drogę.

JAK PETRU

Z badań zamówionych przez PSL wyszło, że wystawienie Hołowni jako wspólnego kandydata na prezydenta szkodzi ludowej partii i pokazuje jej słabość. Członkowie i sympatycy PSL nie rozumieją, dlaczego mieliby głosować na kogoś, kto będzie raczej tylko epizodem w polskiej polityce, nie ma nic wspólnego z wartościami, jakie

Z badań zamówionych przez PSL wyszło, że wystawienie Szymona Hołowni jako wspólnego kandydata Trzeciej Drogi na prezydenta szkodzi ludowej partii i pokazuje jej słabość

wyznają, myśli wyłącznie o własnej karierze, komu rola prezentera TVN tak weszła w krew, że nie może przestać jej odgrywać nawet na jednym z najważniejszych stanowisk w kraju. W kierownictwie ludowej partii zrozumiano, że lepszym wariantem jest wystawienie własnego kandydata na prezydenta (najpewniej Kosiniaka-Kamysza). A najbardziej zyskownym politycznie wariantem mogłoby się okazać poparcie wspólnego kandydata całej koalicji rządzącej, bo wtedy można by najwięcej wytargować od Donalda Tuska. Przecież liderzy PSL nie mają złudzeń, że kandydat ludowców nie ma szans na wejście do drugiej tury.

Dla samego Stronnictwa lepszym kandydatem byłby Radosław Sikorski niż Rafał Trzaskowski, którego po-

pieranie jest najbardziej kosztowne, gdy chodzi o utrzymanie wizerunku partii centrowo-konserwatywnej. Z kolei dla Polski 2050 i Szymona Hołowni wystawienie wspólnego kandydata całego obozu rządzącego jest niekorzystne, bowiem obniża ich znaczenie i możliwości, a poza tym przyspiesza moment rozpadu Trzeciej Drogi. Wniosek jest taki, że gdyby ta konstrukcja już nie istniała, Hołownia automatycznie powinien przestać być reprezentującym ją marszałkiem Sejmu. Wtedy nie musiałby nim zostać przed ustalonym czasem lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty, lecz polityk PSL, np. Piotr Zgorzel-ski. Choćby tylko na rok. Samemu Kosiniakowi-Kamyszowi funkcja marszałka Sejmu nie dawałoby nic specjalnego, a przeszkadzała w kampanii prezydenckiej.

Ewentualny rozpad Trzeciej Drogi oznaczałby proces rozliczeń w Polsce 2050 i szukanie winnych, co w ogóle podważyłoby przywództwo Szymona Hołowni w tym ugrupowaniu. Mogłoby dojść do tego, co zdarzyło się wcześniej w Nowoczesnej, gdy kontrolę i przywództwo w tej partii stracił Ryszard Petru, mimo że jego nazwisko znalazło się w nazwie ugrupowania. Wydawało się to niemożliwe, a wystarczył niespecjalnie skrywany spiszek kilku kobiet z kierownictwa Nowoczesnej z Katarzyną Lubnauer i Kamilią Gasiuk-Pihowicz na czele, by Petru wszystko stracił. Wyrzucenie Hołowni z jego własnej partii nie musiałoby się wiązać z wyjściem z koalicji rządzącej, gdyż poza nią Polska 2050 przestałaby istnieć. Usunięcie Hołowni i pozostanie w rządzie byłoby więc racjonalnym wyjściem.

Po roku funkcjonowania w roli marszałka Sejmu Szymon Hołownia stał się nie tylko najsłabszym ogniwem układu rządzącego, lecz także najbardziej zbędnym. Wyeliminowanie go, także z kandydowania w wyborach prezydenckich, nie narażałoby koalicji rządzącej na straty i wstrząsy, a osłabienie jego partii poprzez kryzys wewnętrzny byłoby na rękę pozostałym koalicjantom. Odliczają oni dni do końca panowania Hołowni i tylko on sam nie wie, że to już się dzieje.

Metropolita bliski ludziom



GORAN ANDRIJANOVIĆ

Papież Franciszek mianował dotychczasowego metropolitę katowickiego abp. Adriana Józefa Galbasa nowym metropolitą warszawskim

Jak już dobrze wiemy, Kościół katolicki w Polsce przechodzi przez wielkie zmiany w hierarchii.

Wiele ważnych stolic biskupich pozostaje nieobsadzonych z powodu odchodzenia prałatów na emeryturę. Wielkie i wpływowe polskie diecezje, jak Kraków, Poznań oraz Warszawa, zmieniają swoich ordynariuszy, a to samo ma się stać w kilku innych mniejszych biskupstwach. Ktoś policzył, że w ciągu półtora roku do dwóch lat polski Episkopat ma zmienić prawie jedną czwartą swojej obsady.

Sytuacja sama w sobie nie jest niczym niezwykłym, przecież zmiany dokonują się we wszystkich episkopatach na całym świecie. Specyfiką polskich zmian są jednak dwie rzeczy. Po pierwsze, dzieją się w warunkach wielkich przemian politycznych i w atmosferze wojny kulturowej, którą rząd Donalda Tuska rozpętał przeciwko Kościołowi. Po drugie, Kościół w Polsce także przeżywa pewien kryzys, który objawia się przede wszystkim słabą reakcją młodych ludzi na jego wezwanie. Co prawda, w porównaniu z sytuacją w Kościołach krajów Europy Zachodniej kryzys ten wydaje się nieco mniejszy. Faktem jest jednak, że czasy „triumfalizmu” Kościoła w Polsce są już dawno za nim, co właściwie jest dobrą rzeczą, ponieważ ten „triumfalizm” nie budował zdrowej wspólnoty.

W takiej sytuacji zmiany na stanowiskach biskupich są analizowane bardziej szczegółowo niż zwykle. Zwłaszcza w mediach lewicowo-liberalnych, gdzie wszystkie te „analizy” mają na celu udowodnienie, że Kościół w Polsce stoi przed „dużymi zmianami”. Głównie takimi, których pragnie lewicowy establishment, dotyczącymi przede wszystkim „liberalizacji” Kościoła. Oczywiście najczęściej takie omówienia nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, ale są po prostu „wishfull thinking” ich autorów.

NASTĘPCA KARD. NYCZA

W ubiegłym tygodniu dostaliśmy nowego biskupa na jednym z najważniejszych stanowisk w polskim Episkopacie. We wtorek została opublikowana wiadomość, że papież Franciszek mianował dotychczasowego metropolitę katowickiego abp. Adriana Józefa Galbasa arcybiskupem metropolitą warszawskim. Abp Galbas zmieni metropolitę kard. Kazimierza Nycza, który w ub.r. przed Bożym Narodzeniem oznajmił, że oddał się do dyspozycji papieża, podobno z powodów zdrowotnych.

Nominacja ta wzbudziła duże zainteresowanie świeckich mediów, co nie jest zaskakujące, znając prestiż metropolii warszawskiej zarówno w sensie duchowym, jak i politycznym. Spieszono się z publikacją szczegółów na temat Galbasa, aby ich odbiorcy mogli poznać go właśnie z tych artykułów.

Czytelnicy dowiedzieli się, że nowy metropolita warszawski pochodzi ze Śląska. Urodził się 1968 r. w Bytomiu. Jest pallotyńcem, członkiem Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (SAC), w którym otrzymał formację kapłańską. Świecenia przyjął w pallotyńskim Wyższym Seminarium Duchownym w Ołtarzewie pod Warszawą w 1994 r., później kontynuował studia teologiczne i dziennikarskie na KUL.

Zanim został wyświęcony na biskupa, piastował ważne stanowiska w swoim stowarzyszeniu. Był prefektem alumnów w seminarium w Ołtarzewie, a potem prowincjałem pallotyńskiej prowincji Zwiastowania Pańskiego z siedzibą w Poznaniu. Biskupem został dość młodo – w wieku 41 lat, kiedy papież mianował go biskupem pomocniczym diecezji elckiej. W grudniu 2021 r. został mianowany arcybiskupem koadiutorem archidiecezji



katowickiej, a w 2023 r., po przyjęciu przez papieża rezygnacji abp. Wiktora Skworca został metropolitą katowickim.

Można powiedzieć, że Galbas osiągnął bardzo wiele stosunkowo szybko. Nasi rozmówcy z kręgów kościelnych rzeczywiście określają go jako „ambitnego”, ale nie w negatywnym sensie. Jak nam tłumaczą, nie mówimy o karierowiczu, ale człowieku, który ma jasną wizję Kościoła i jego przyszłości oraz jest gotowy zrobić co może, aby ją osiągnąć.

ZWOLENNIK PROCESU SYNODALNEGO

Ta wizja jest identyczna z wizją papieża Franciszka. Nowy metropolita warszawski jest mocnym zwolennikiem procesu synodalnego, który trwa w Kościele powszechnym i ma swoich krytyków, także w polskim Kościele. Jako przewodniczący Rady ds. Apostolstwa Świeckich pełnił funkcję koordynatora procesu synodalnego, a w październiku 2023 r. wziął udział w pierwszej sesji synodalnej w Rzymie. Arcybiskup często mówił o „Kościele synodalnym”, takim, który nie żyje według zasad hierarchii, ale w aktywnej jedności wszystkich wierzących.

„Żywe relacje prowadzą do troski, współodpowiedzialności, doświadczenia uczestnictwa, sprawczości” – powiedział w niedawnej rozmowie do naszego tygodnika, którą prowadził z nim Piotr Ślabek. „Nadmierne akcentowanie znaczenia hierarchiczności w nauczaniu o Kościele, jak i jej nieraz wręcz feudalne praktykowanie są czynnikami generującymi obecne trudności. Uznanie, że synodalność jest jednym z filarów tożsamości Kościoła, będzie miało istotne znaczenie dla jego przyszłości, oczywiście jeśli uda się to przekuć na praktykę synodalnej wrażliwości we wspólnotach” – powiedział wtedy.

Z relacji naszych rozmówców wynika, że tę synodalność i otwartość na wszystkich wierzących Galbas praktykował jako metropolita katowicki. Marcin Jakimowicz, znany dziennikarz katolickiego tygodnika „Gość Niedzielny” z redakcją główną w Katowicach, opowiedział nam o kilku sytuacjach, które jednoznacznie o tym świadczą.

– Pamiętam, jak zaprosiliśmy go do naszej wspólnoty modlitwnej i przyszło mnóstwo ludzi na to spotkanie. A on rozpoczął od słów: „Miejcie odwagę mówić do mnie bracie”. Hierarcha, który wchodzi i mówi do świeckich w ten sposób, to był taki przeskok, którego na Śląsku nie widzieliśmy. Taki człowiek z krwi i kości, który emanuje po prostu nieprawdopodobną bliskością. On był pierwszym ordynariuszem w historii naszej diecezji, który zorganizował spotkanie odpowiedzialnych za wszystkie ruchy i wspólnoty modlitwne – mówi nam Jakimowicz i kontynuuje: – Znajomy ksiądz z Elku opowiadał mi historie z czasu, kiedy Galbas był tam biskupem. Zobaczył kiedyś w strugach deszczu wysokiego księdza, który spowiadał przed kuria człowieka na

wózku inwalidzkim. No i ten mój znajomy mówi: „Kurczę, tak leje, że się w ogóle nie chce wychodzić z domu, a tu ktoś spowiada. Podchodzę bliżej i patrzę, a to bp Galbas spowiada”.

Powiedział mi, że ten obrazek pokazał mu więcej o biskupie niż wszystko, co można przeczytać. On jest po prostu pasterzem, który idzie ze swoimi owcami – konkluduje dziennikarz, dodając półzartem, że jest w „żałobie” po wiadomości o przeprowadzce Galbasa.

PASTERZ I DYPLOMATA

Jakie zadania czekają arcybiskupa w Warszawie? Ks. prof. Paweł Bortkiewicz TChr, bioetyk i wykładowca akademicki, mówi nam, że „podstawowym zadaniem każdego biskupa jest to, by umacniać w wierze wspólnotę lokalnego Kościoła”.

– Jest to dzisiaj zadanie szczególnie ważne, bowiem żyjemy w czasach z jednej strony prób „unieważnienia chrześcijaństwa” i jednocześnie pewnego stanu chaosu w Kościele. Ten proces umacniania wiary ma być podjęty przez pasterza, który

przychodzi niejako do diecezji z zewnątrz. Ale ks. abp Adrian Galbas jako były prowincjał pallotyńów jest w tym względzie w stosunkowo dobrej sytuacji, jestem przekonany, że zna Warszawę i Kościół lokalny – wyjaśnia ks. Bortkiewicz i dodaje, że stanowisko metropolity warszawskiego zawsze będzie miało ważne miejsce w Episkopacie.

– Specyfika stolicy sprawia, że metropolita będzie niejednokrotnie postrzegany przez pryzmat spraw zarówno kościelnych, jak i relacji politycznych. Niewątpliwie to trudne zadanie, ale jestem przekonany, że abp Galbas podola mu bez problemów. Rola metropolity warszawskiego jest bez wątpienia

wpisana w wielką tradycję biskupów warszawskich, ale zarazem we współczesny kontekst wyzwań, które stoją nie tylko przed Kościołem w Polsce, lecz także samą Polską. Ten głos będzie niewątpliwie słyszany – mówi nam ks. Bortkiewicz.

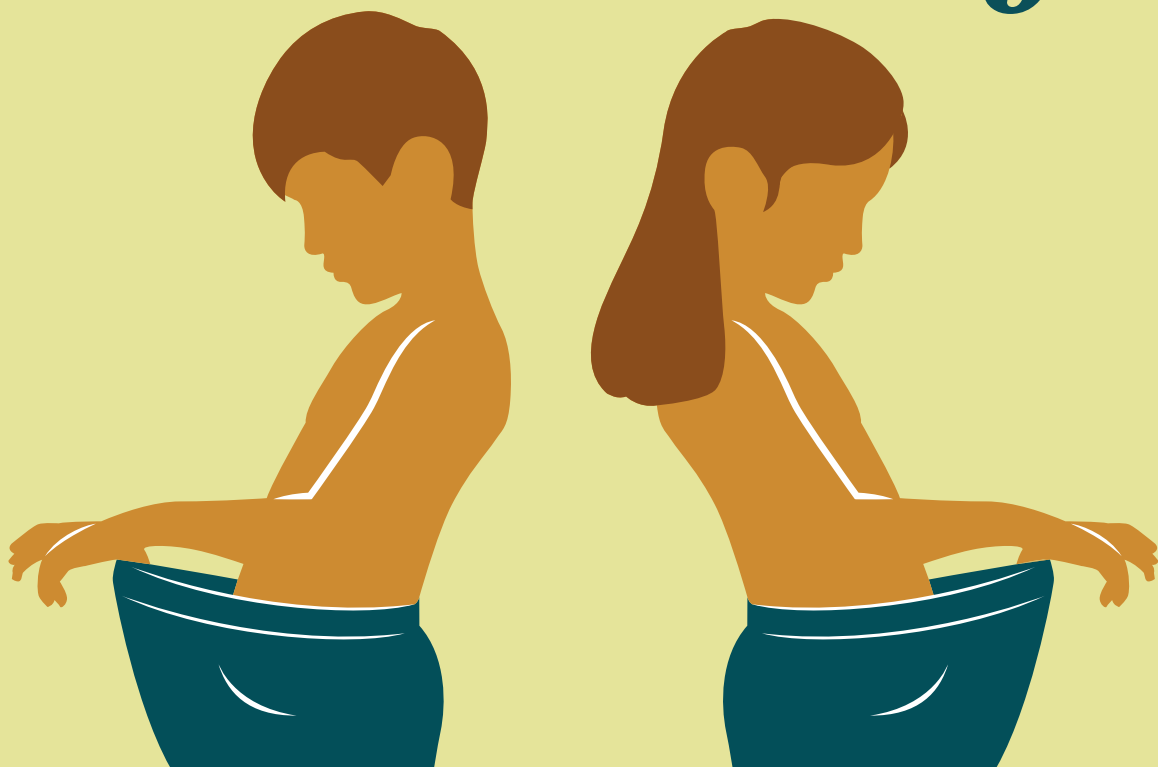
Pytam Jakimowicza, jak według niego arcybiskup będzie sobie radził w Warszawie.

– Warszawa jest strasznie trudną diecezją – słyszę w odpowiedzi. – W innych diecezjach biskup jest pasterzem, a tu musi być dyplomatą. Ale myślę, że on da radę. W rzeczach moralnych zawsze zabierał bardzo stanowczy głos, natomiast nigdy nie opowiadał się politycznie. Nigdy nie wprowadzał podziałów i zawsze mówił, że jest dla wszystkich.

A jak sam nowy metropolita warszawski mówił w wywiadzie dla „Sieci” o zadaniu Kościoła?

„Jest ono zupełnie niezależne od czasu i niezmiennie. Sformułował je sam Chrystus, mówiąc: »Idźcie na cały świat i czynicie uczniów spośród wszystkich narodów« [...] Kościół ma dla wszystkich Jezusa Chrystusa, bo nie ma większego skarbu dla ludzkości niż osoba i dzieło Zbawiciela. Chodzi tylko o to, jak go pokazać, by inni poszli za nim”.

Programowa demoralizacja



31 października późnym popołudniem Ministerstwo Edukacji Narodowej opublikowało podstawę programową nowego obowiązkowego przedmiotu – edukacja zdrowotna. Wchodzi do szkół 1 września 2025 r. Dokument trafił do konsultacji społecznych, które potrwać do 21 listopada br. i od razu wzbudził duży sprzeciw nauczycieli, pedagogów i rodziców, którzy uważają, że nie chodzi o edukację, a deprawację



DOROTA ŁOSIEWICZ

Edukacja zdrowotna zastąpi wychowanie do życia w rodzinie na poziomie szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Różnica polega na tym, że nowy przedmiot rozbudowano o treści związane ze zdrowiem i aktywnością fizyczną, odżywianiem, zdrowiem psy-

chicznym, społecznym i środowiskowym, internetem i profilaktyką uzależnień. Istotnym elementem edukacji zdrowotnej, zarówno na etapie szkoły podstawowej, jak i ponadpodstawowej, będzie edukacja seksualna, określona w projekcie jako nauka o „zdrowiu seksualnym”.

Fot. Shutterstock

MASTURBACJA NORMĄ MEDYCZNĄ?

– Przedmiot opracowany przez zespół prof. Zbigniewa Izdebskiego zawiera komponent w postaci edukacji seksualnej, który pod szyldem dbałości o zdrowie uczniów skrywa erotyzację i deprawację dzieci oraz narusza prawa rodziców gwarantowane w konstytucji RP. – Nie ma wątpliwości Hanna Dobrowolska z Ruchu Ochrony Szkoły i Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły.

Marek Grabowski z Fundacji Mamy i Taty tak komentuje dokument MEN: – Sama nazwa przedmiotu brzmi atrakcyjnie, założenia rozporządzenia wyglądają dobrze, ale jak wczytujemy się w podstawę programową, to okazuje się, że mamy do czynienia z edukacją seksualną typu Bop-artą o standardy WHO. – Dr Grabowski dodaje: – W rozporządzeniu zapisano, że całkowicie uchyla się podstawę programową WDŻ. Autorzy niemal wprost przyznają, że za dużo było tam mowy o miłości, relacjach, odpowiedzialności, prokreacji, budowaniu dobrego klimatu w rodzinie, naturalnych metodach kontroli prokreacji. Seksualność w nowej podstawie programowej zostaje sprowadzona do technicznych aspektów.

Co budzi tak duże emocje? Np. zapis, że uczeń (w klasach 4–6) „identyfikuje zmiany dotyczące dojrzewania należące do normy medycznej (np. różne tempo wzrostu, zmiana sylwetki, ginekomastia, nocne polucje, mutacja, wzmożone pocenie się, zmiana zapachu, mimowolne erekcje, owłosienie, wzrost piersi, pojawienie się miesiączki, trądzik, zachowania autoseksualne), a także odbiegające od normy medycznej (np. przedwczesne lub opóźnione dojrzewanie, stulejka, nieprawidłowa wydzielina z pochwy, nieprawidłowości związane z miesiączkowaniem)”.

Hanna Dobrowolska tak komentuje ten zapis na portalu Pch24: „Wymienione na samym końcu listy zmian »należących do normy medycznej«, z jakimi ma zapoznać się uczeń w klasach 4–6, zachowania autoseksualne, czyli: »masturbacja (inaczej: onanizm, ipsacja, samogwałt) to zachowanie polegające na pobudzaniu narządów płciowych do osiągnięcia satysfakcji seksualnej (orgazmu)«. To pierwsze z brzegu wyjaśnienie podsuwane przez internet. Zapewne tam sięgnie uczeń, chcąc wy-

jaśnić nieznaną termin, a może nowy podręcznik do edukacji zdrowotnej wyjaśni to jeszcze dokładniej? Może nawet z poglądowymi ilustracjami? Wszak najpierw uczeń musi poznać tę lub podobną definicję, by następnie zakwalifikować zachowania autoseksualne [praktyki samogwałtu] do należących do normy medycznej. Norma jest powszechnie stosowaną zasadą lub typowym zachowaniem, pewnym standardem. W tym wypadku jest nim – według resortu Nowackiej – masturbacja. Masturbacja, nazywana jeszcze czterdzieści lat temu nie inaczej niż samogwałtem, to nie tylko – według propozycji zespołu prof. Izdebskiego – zwykły przejaw dojrzewania mieszczący się w normie medycznej, ale coś, co należy akceptować i postrzegać pozytywnie. Właśnie taki skandaliczny i gorszący przekaz otrzyma uczeń w wieku od 9. do 12. roku życia w polskiej szkole w ramach obowiązkowego przedmiotu, według projektu minister Nowackiej”.

Oburzenia nie kryją inni pedagodzy. – Masturbacja oczywiście zdarza się w procesie dojrzewania, ale tu jest pokazana jako norma medyczna i wzorzec. To jednocześnie zachęta do tego typu działań – komentuje zapisy podstawy programowej dr Zbigniew Barciński, prezes Stowarzyszenia Pedagogów NATAN. A Marek Grabowski dodaje: – Dzieci już w 4 klasie mają się dowiedzieć, że masturbacja jest czymś zupełnie naturalnym, a to stoi w sprzeczności z wychowaniem chrześcijańskim. To jest przejaw demoralizacji, która obejmuje postawy, przekonania i wartości związane z rodziną oraz umiejętnością zbudowania trwałej, szczęśliwej, pełnej szacunku i miłości rodziny.

CHODZI O ZDROWIE?

W projekcie rozporządzenia zawierającego podstawę programową przedmiotu wychowanie zdrowotne czytamy: „Zdrowie jest wartością, o którą należy dbać zarówno w wymiarze fizycznym, psychicznym, seksualnym, społecznym i środowiskowym na wszystkich etapach życia”. Jednak to, co na pierwszy rzut oka może nie wzbudzać kontrowersji, tak komentują eksperci.

– W nowym, planowanym przedmiocie edukacja zdrowotna doszło do zmiany ramowania tematyki seksualnej. Wcześ-

niej ramą było małżeństwo i rodzina, teraz deklarowaną ramą ma być zdrowie. Przekaz płynie z tego taki, że rodzina nie ma znaczenia w obszarze seksualności. Znaczenie ma mieć wyłącznie zdrowie. Mamy więc zastąpienie edukacji prorodzinnej edukacją antyrodzinną – mówi dr Zbigniew Barciński. I dodaje: – Zdrowie jest tylko zasłoną dymną. Przekonywanie uczniów, że decyzje dotyczące sfery seksualnej należy podejmować pod kątem zdrowia, a nie pod kątem miłości i odpowiedzialności to potężny antyrodzinny przekaz. Właściwym kryterium tych decyzji jest małżeństwo i rodzina. Jednocześnie podstawą programową przedmiotu zakłada fakultatywność podejmowania tematyki HIV/AIDS, a to pokazuje, że nie chodzi tu naprawdę o zdrowie, że to tylko fikcyjne hasło. Chodzi bowiem o taką koncepcję seksualności, w której głównym kryterium ma być przyjemność.

Dr Barciński wskazuje również na kolejny istotny problem: – W rozporządzeniu nie ma mowy o tym, że właściwym celem dojrzewania w sferze płciowej i seksualnej jest akceptacja własnej płci. To jest norma: zaakceptowanie tego, że jest się chłopcem/mężczyzną, dziewczyną/kobietą. Tymczasem uczeń ma wyjaśniać takie pojęcia, jak transpłciowość, ale nie ma mowy o tym, że jest to zaburzenie rozwoju. Takie ujęcie tej kwestii to otwarcie drogi do głębszych zaburzeń. Jeśli naprawdę miałoby chodzić o zdrowie, to należałoby wspomnieć o negatywnym wpływie na nie brokerów, czy o takich miejscach, jak klinika Travistoc w Wielkiej Brytanii, gdzie okaleczano dzieci. O tym nie ma ani słowa, a są to przecież kluczowe informacje dotyczące zdrowia.

Dr Marek Grabowski zauważa: – Dzieci są utwierdzone w przekonaniu, że mogą sobie wybierać płeć. To będzie wprowadzać zamieszanie w umysłach małych dzieci, a także uczniów dojrzewających. Mamy do czynienia z upadlaniem dzieci, z zachęcaniem ich do eksperymentowania ze swoją seksualnością, a eksperymenty kończą się później w gabinetach psychologów, psychiatrów, mamy zranienia psychiczne, duchowe.

Na nowej podstawie programowej suchej nitki nie pozostawia prof. Przemysław Czarnek, były szef MEN.

– To jest agenda marksistowska, realizowana z iście niemiecką precyzją przez

panie minister Nowacką, Lubnauer i Muchę. To jest absolutna demoralizacja młodzieży przez wprowadzenie twardej, permissywnej edukacji seksualnej typu B opartej o standardy WHO, której skutkiem będzie zdemoralizowanie młodzieży. To jest walka z rodziną, małżeństwem, z życiem. Ta edukacja seksualna typu B jest charakterystyczna dla cywilizacji śmierci, nie cywilizacji życia. Broniliśmy się przed tym latami, a pani Nowacka po prostu to realizuje. W Polsce edukacja seksualna jest od lat obecna w szkole, była obecna i za naszych rządów, tylko była to prawdziwa edukacja o człowieku, jego ciele z pełną odpowiedzialnością oraz podana odpowiednio do wieku uczniów i do ich wrażliwości. Była ona realizowana na biologii czy WDŻ. Ta edukacja to w istocie demoralizacja wtłaczana przez marksistów na świecie, a jeśli nie wygramy majowych wyborów, stanie się to także w Polsce. Musimy powstrzymać to szaleństwo – komentuje prof. Czarnek.

MAŁŻEŃSTWO I RODZINA

Pójdźmy tropem rodziny i małżeństwa. Słowo „rodzina” w nowej podstawie pojawia się kilka razy. W dziale „Zdrowie społeczne” czytamy: „Uczeń omawia modele rodzin; wymienia i omawia funkcje rodziny; opisuje przejawy jej prawidłowego funkcjonowania” i dalej: „opisuje zmiany mogące występować w rodzinach, w tym separacja, rozwód, wejście rodziców w nowe związki, adopcja, rodzicielstwo zastępcze, pojawienie się rodzeństwa, a także wymienienia sposoby radzenia sobie w takich sytuacjach”. Co na to eksperci?

– Proszę zauważyć, że w tym dokumencie rodzina występuje głównie w kontekście negatywnych zjawisk. Gdy myślimy o zmianach mogących występować w rodzinach, to normalnie myślimy o pojawiających się kolejnych dzieciach, o dorastaniu itp. A tu mamy mowę głównie o negatywnych zjawiskach. Mamy tu świat skonstruowany w oparciu o przekonanie, że rodzina to nie więzi naturalne, biologiczne. Brak tu wizji zdrowej, stabilnej, kochającej się rodziny. Ona w tej podstawie programowej jest nieobecna. Małżeństwo pojawia się w tym dokumencie jeden

raz w takim kontekście: „Uczeń wyszukuje przepisy prawne dotyczące przywilejów i obowiązków związanych z zawarciem związku małżeńskiego oraz z prawnymi aspektami funkcjonowania związków nieformalnych w Polsce”. Co to oznacza? Deprecjonowanie wartości małżeństwa i stawianie go na równi ze związkami nieformalnymi. Czytamy, że zdrowie jest wartością, ale już rodzina czy małżeństwo nie są pokazywane jako wartość – mówi dr Barciński.

Sprawdźmy jeszcze, w jakich kontekstach w nowej podstawie programowej pojawia się słowo „miłość”. Czytamy, że

Masturbacja oczywiście zdarza się w procesie dojrzewania, ale tu jest pokazana jako norma medyczna i wzorzec. To jednocześnie zachęta do tego typu działań – komentuje zapisy podstawy programowej dr Zbigniew Barciński

uczeń „wyjaśnia pojęcia: koleżeństwo, przyjaźń, zauroczenie, zakochanie, miłość, a także rozpoznaje niewłaściwe zachowania w tych relacjach” oraz uczeń „opisuje oznaki zakochania; odróżnia zakochanie od miłości oraz miłość młodzieńczą od miłości dojrzałej”.

– Słowo „miłość” pojawia się cztery razy, w dwóch miejscach, ale nie w dziale zdrowie seksualne. Seksualność oderwano nie tylko od małżeństwa i rodziny, lecz także od kontekstu miłości. Jedyne kryterium, które wskazywano, to koncepcja zgody, czyli jeśli dwie strony na coś się zgadzają, to wszystko jest w porządku. Według MEN miłość, więzi emocjonalne nie mają znaczenia w sferze seksualnej – zauważa dr Barciński.

PRZEDMIOT OBOWIĄZKOWY

Dotychczasowe wychowanie do życia w rodzinie nie było przedmiotem obo-

wiązkowym w przeciwieństwie do edukacji zdrowotnej, która taka ma być. To również budzi sprzeciw polityków pracy i ekspertów.

Prof. Czarnek zauważa, że „to nijak ma się do konstytucji, bowiem łamie wprost art. 48, który gwarantuje rodzicom prawo do wychowania dzieci zgodnie z ich światopoglądem i przekonaniami. – Na pewno będziemy skarżyć przepisy, które będą tę edukację wprowadzać – mówi poseł PiS w rozmowie ze mną.

Dr Barciński zwraca uwagę, że mamy tu do czynienia z państwowym przymusem uczestniczenia w zajęciach, w których machina państwa chce zastąpić rodzinę.

Dr Grabowski tak podsumowuje dotychczasowe zmiany w edukacji, które wprowadza nowa rządowa ekipa: – Wychowanie zdrowotne wpisuje się w ciąg reform duetu Nowacka-Lubnauer. Pierwsze szkodliwe efekty już widać gołym okiem, mam na myśli likwidację prac domowych, która skutkuje m.in. większą liczbą kartkówek, bo przecież nauczyciele muszą w jakiś sposób egzekwować wiedzę i ma to być motywacja do nauki. Mamy też odchudzanie podstaw programowych przez ograniczanie historii, polskiego, ważnych lektur, mniej treści patriotycznych, co prowadzi do oglupiania i wynaradawiania dzieci i młodzieży. Mamy też ograniczanie lekcji religii, a zamiast tego wprowadza się obowiązkową edukację seksualną, pomyślaną według najgorszych standardów. Dlatego 1 grudnia organizujemy demonstrację na pl. Zamkowym pod hasłem: „Nie dla degradacji polskiej edukacji”. Organizujemy to wspólnie z kilkunastoma organizacjami, m.in. z Koalicją na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, Nauczyciele dla Wolności, Solidarność, Centrum Życia i Rodziny. Każdy, komu nie jest obojętna przyszłość polskich dzieci, powinien tam być.

Zdaniem Hanny Dobrowolskiej dokument, który zaprezentował resort edukacji, to potwierdzenie najczarniejszych obaw, które zgłaszali rodzice i nauczyciele skupieni w Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły w ciągu ostatnich miesięcy, m.in. składając w sierpniu w MEN petycję dotyczącą edukacji zdrowotnej.

Liberalny neokomunizm

To nieprawda, że Donald Tusk nie dotrzymał wszystkich obietnic wyborczych. Dotrzymał je wobec ubeków. Przywraca im wyjątkowe emerytury, które zwykłym zjadaczom chleba nie mieszczą się w głowie. Będą oni otrzymywać je za obronę totalitarnego systemu, który służył moskiewskiemu panowaniu nad Polską, za niszczenie wspólnoty narodowej i konkretnych ludzi

Dezubekizacyjna ustawa nie została odwołana i być może nie będzie takiej potrzeby. Jeśli nie kalkuluje politycznych zysków, Tusk swoje cele woli osiągać bez prowokowania dodatkowych konfliktów. Dla zaspokojenia żądań ubeków powołany został specjalny pełnomocnik w MSWiA, który pozytywnie odpowiada na ich odwołania, dba o przywrócenie dawnych świadczeń i uzupełnienie utraconych wcześniej kwot.

Na drodze „prawnej” proces ten przebiega już od momentu uchwalenia ustawy w 2016 r. Sądy w ogromnej większości pozytywnie rozpatrywały odwołania funkcjonariuszy komunistycznych służb i tym samym łamały konstytucję III RP. Głosi ona: „Sędziowie w sprawowaniu swojego urzędu są niezawisli i podlegają tylko Konstytucji oraz ustawom”. Wnioskiem z tego jest domniemanie konstytucyjności ustawy, jeśli nie zostanie ona zakwestionowana przez Trybunał Konstytucyjny. W pełnym składzie potwierdził on legalność dezubekizacyjnego prawa.

Mimo to większość sędziów III RP staje po stronie funkcjonariuszy PRL.

Łatwo wyjaśnić to, odwołując się do faktu, że po upadku PRL jego sędziowie, przesiani dodatkowo w stanie wojennym, przeniesieni zostali w całym zestawie do III RP, gdzie mieli tworzyć państwo prawa. Dawni funkcjonariusze komunistycznego państwa, broniąc jego czynowników, bronili swoich biografii i pozycji. A ponieważ korporacja ta odna-



BRONISŁAW WILDSTEIN

wiała się przez kooptację, kolejne pokolenia sędziów dziedziczyły stosunek do komunizmu i jego aktywistów.

Problem jest jednak głębszy. III RP jest państwem postkomunistycznym nie tylko dlatego, że jego establishment w dużej mierze wywodzi się z dawnej nomenklatury uzupełnionej o dokooptowanych przez nią przedstawicieli dawnej opozycji. Legitymacją władzy nowej oligarchii jest ideologia emancypacji, synteza komunizmu i liberalizmu uzasadniająca tzw. liberalną demokrację, czyli liberalny neokomunizm.

LIBERALNI TOWARZYSZE

Ludziom przyzwyczajonym do funkcjonowania w dominujących dziś schematach intelektualno-językowych zbitka ta może wydać się absurdem. Jak można zestawiać liberalną, czyli wolnościową orientację, z komunistycznym zamordyzmem? Co ma wspólnego liberalny indywidualizm z kolektywistyczną ideologią? Ale bliższy wgląd pokazuje drugorzędność różnic i fundamentalne podobieństwo obu ideologii, czego dowodzi także ich ewolucja oraz fuzja, której jesteśmy obecnie świadkami.

Liberałowie przejęli i zmonopolizowali współcześnie wszystkie pozytywne skojarzenia polityczne. To, że w nazwie odwołują się do wolności, ułatwia im występowanie w roli właścicieli i dysponentów tej idei. Liberalizm ma być przeciwieństwem

systemu zamkniętego, fanatycznego, obskuranckiego i jakie by tam złe cechy przypisać można jego przeciwnikom.

Postawa stronnictwa, która zamiast argumentować stygmatyzuje i dezawuuje swoich konkurentów wzbudza sprzeciw. Zwłaszcza że robią to ci, którzy oficjalnie nawołują do pluralizmu i debaty. Niestety podejście to zostało powszechnie przyjęte, tak jak i liberalne wyobrażenie jakoby wolność i pokrewne jej idee wymyślone zostały w XVII w.

Interpretacja wolności przez liberałów jest mocno redukcyjna i kontrowersyjna, tak jak przeświadczenie, że to oni ofiarowali nam wszystko, co dobre w polityce oraz obyczajach i reprezentują dziejowy postęp. To przekonanie, które skutecznie potrafi narzucić zamyka polityczną debatę oraz tłumi refleksję. I w tym przypominają oni komunistów, którzy ogłaszali się depozytariuszami wiedzy o mechanizmach społecznych, kierunku rozwoju historii i jej celu.

O podobieństwach obu ideologii i ich zbliżaniu się traktuje praca Ryszarda Legutki z 2012 r. „Triumf człowieka pospolitego”, która uzyskała spory światowy rezonans. Na początku autor zwraca uwagę na dwuznaczny stosunek liberałów do komunizmu. Niby go krytykują, ale są przeciwnikami antykomunizmu, są nawet antyantykomunistami, co mogliśmy obserwować w Polsce po upadku PRL.

Unia Europejska to nie tylko intensywne zbliżenie i alians obu orientacji, ale stopienie się reprezentujących je partii. Ostatnie wybory we Francji to sojusz prezydenckich liberałów z Nowym Frontem Ludowym, którego lider Jean-Luc Mélenchon wzywa Francję do opuszczenia NATO, jest wielbicielem komunistycznych dyktatorów i deklarował, że Krym należy się Rosji, która na Ukrainie musi bronić się przed USA.

Symboliczny wyraz owej bliskości to hołd, jaki Karolowi Markswi złożył w Trewirze, w 200-lecie jego urodzin, ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej, od zawsze związany z partią chrześcijańsko-demokratyczną, Jean-Claude Juncker.

KRÓTKA PAMIĘĆ OPORTUNISTÓW

W Polsce syntezę tę najpełniej uosabia Tusk. Jest to oportunistą doskonałą. Kiedy uznał, że Kościół jest w Polsce istotną siłą, stał się wiernym katolikiem, wziął ślub kościelny, o którym przez parędziesiąt lat zapomniał, a jego mieszkanie zaczęło przypominać dewocjonalny sklep. Dziś nawrócony na liberalny neokomunizm odbiera Kościołowi prawo do wypowiadania się w sprawach publicznych, deklaruje, że Chrystus głosił niczym nieograniczoną wolność, zwłaszcza w sprawach seksu, a szczególnie dla grup LGBT+, i uznaje, że aborcja jest pierwszym przykazaniem chrześcijaństwa.

Kiedy w Polsce na skutek afery Rywina nastąpiło powszechne odrzucenie III RP i powrót do narodowych, republikańskich tradycji, Tusk usiłował stanąć na czele tego nurtu. Wzywał do radykalnej lustracji i dekomunizacji. Deklaracja ideowa PO głosiła: „zadaniem Państwa jest roztropne wspieranie rodziny i tradycyjnych norm obyczajowych, służących jej trwałości i rozwojowi. Dlatego prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo, zakazując również eutanazji i ograniczając badania genetyczne”. „Będziemy bronić praw religii, rodziny i trady-

cyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa”. Jak jest dziś, wszyscy wiemy. Ten obrót o 180 st. wynikał z rozpoznania przez Tuska, który podporządkował sobie bez reszty PO, siły liberalno-lewicowego układu wewnątrz i na zewnątrz państwa oraz uznania, że optymalne dla zachowania władzy będzie przyjęcie roli jego ekspozytury. W Polsce jest to układ postkomunistyczny, którego istotną część stanowi środowisko dawnych służb komunistycznych. Dlatego Tusk et consortes alians z nim traktują poważnie.

Od święta obecny premier i ludzie z jego otoczenia odwoływać się będą do swojej kombatanckiej przeszłości i wznosić sztandar „Solidarności” jako drużyny Lecha Wałęsy. Powiązane jest to z opowieścią o różnych drogach do niepodległości i demokracji: jedni trafiali w jej trakcie do więzienia, inni ich do niego wsadzali, ale podobno i jedni, i drudzy mieli na względzie dobro ojczyzny.

PRL ZREHABILITOWANY

Relatywizacja, a więc rehabilitacja PRL, która obowiązuje, dziś wydawać by się mogła w momencie jego upadku nieprawdopodobna. Prekursor tego procesu, klasyk współczesnego liberalizmu Zygmunt Bauman w wywiadzie dla „Guardiana” już w 2007 r. ogłosił, że jego polowanie na polskich patriotów w oddziałach KBW było odpowiednikiem współczesnej wojny z terroryzmem i aspektem optymalnego dla Polski wyboru. Bo takim miał być wywodzący się z oświecenia komunizm.

Wypowiedzi takie nie podważyły prestiżu, jakim cieszy się Bauman w III RP. To jego krytycy osądzani są od czci i wiary. Artur Domosławski opublikował apologetyczną biografię Baumana, która cieszyła się wielkim uznaniem. Narzucenie Polsce komunizmu przez Związek Sowiecki przedstawił tam jako wojnę domową. Bardzo to szczególnie jej przypadek, kiedy z jednej strony walczą oddziały ościennego imperium.

Broniąc swojej biografii, Bauman powiedział wprost to, co myśli większość liberałów, choć nie mają odwagi tego ujawnić. Uznają się za towarzyszy drogi komunistów, a chociaż nie zawsze zgadzają się z ich metodami przyznają się do wspólnoty celu. Jest nim uwolnienie człowieka od patriarchalnej kultury i rozmontowanie jej represyjnych form. Nienawidź do żołnierzy wyklętych w establishmencie III RP nie odbiega od stosunku do nich w PRL.

Z czasem ci sami autorzy zmieniają stosunek do totalitarnej Polski. Cezary Łazarewicz w „Żeby nie było śladów” odsłania degenerację komunistycznych służb specjalnych. W „Na Szewskiej”, która broni esbeckiej wersji śmierci Stanisława Pyjasa, to samo środowisko przedstawione zostaje jako niczym nieodłączająca od reszty społeczeństwa zbiorowość. Wybór: SB czy opozycja miał być w dużej mierze sprawą przypadku.

W zamieszczonym w „Sieciach” artykule „Demitologizacja, czyli mistyfikacja” przedstawiłem fakty, które kwestionują tezę Łazarewicza. Nigdy się do nich nie odniósł. W swoich publicznych wypowiedziach powtarza, że ci, którzy wylansowali tezę zabójstwa Pyjasa nie mogą rozstać się ze swoją mitologią. Ani on, ani jego kibice nie muszą zgadzać się z moimi interpretacjami, ale powinni stawić czoło przytoczonym przeze mnie danym. Nic takiego się nie dzieje. To zamilczanie innego zdania i przedstawianie swoich przeciwników jako

osób pozbawionych argumentów jest identyczne w wypadku współczesnych liberalów i ich peerelowskich poprzedników.

Czasami w niewielkiej sprawie najlepiej odbija się klimat polityczny. Od kilku lat w Warszawie funkcjonuje Muzeum Żmnej Wojny im. gen. Ryszarda Kuklińskiego. Miesięcznie odwiedza je ok. 800 osób. Dziś znalazło się na skraju bankructwa. Żadne muzeum nie utrzyma się z biletów. Wsparcie dla niego wycofały spółki skarbu państwa. Prywatni mecenas przestali pomagać w obawie represji.

Znaczący jest obraz PRL w kulturze masowej. Z reguły to śmieszna i niegroźna kraina przypominająca baśniową c.k. Galicję. Funkcjonariusze komunistycznych służb specjalnych są konsekwentnie heroizowani od „Psów” Pasikowskiego aż po popularny obecnie film „Napad”.

W niektórych dziedzinach liberalowie w Polsce posuwają się dalej niż ich poprzednicy w PRL. Rozprawa z polską tradycją, a więc intensyfikacja pedagogiki wstydu, która prezentowana jest na wszystkich możliwych poziomach, przekracza to, co działo się wtedy. Taką jest „historia ludowa”, która stanowi jednostronne, ahistoryczne ideologiczne ujęcie polskich dziejów. Jej twórcy wynagradzani są dziś najbardziej prestiżowymi stanowiskami. Adam Leszczyński został dyrektorem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego, który przerobiono na Instytut Narutowicza, co jest o tyle nonsensem, że o ile nad myślą wcześniejszych patronów można dyskutować, o tyle nie istnieje teoretyczny dorobek skądinąd zacnego patrioty, jakim był Narutowicz, który eksponowany jest przez liberalną lewicę wyłącznie jako ofiara prawicy.

Nowym dyrektorem Muzeum Historii Polski w miejsce jego wyrzuconego twórcy Roberta Kostry został Marcin Napiórkowski. Jest on reprezentantem tego samego, co Leszczyński, radykalnie lewicowego środowiska „Krytyki Politycznej”, które kwestionuje potrzebę tradycyjnej historii narodowej.

Ośrodki pamięci żydowskiej oddane zostały środowiskom, które propagują tezy polskiego współsprawstwa Holocaustu.

ANTYPISIZM, CZYLI POWRÓT KOMUNY

Polska dziś to liberalne laboratorium, w którym europejski establishment testuje metody obrony swojej oligarchicznej władzy i rozprawy z kontestatorami. Coraz bardziej przypominać zaczynają one strategie komunistyczne.

W PRL Adam Michnik deklarował, że antykomunizm jako program nie wystarczy. W czasie rządów prawicy powtarzał, że wystarczy antypisizm. On i jego środowisko, które nawoływało do zaniechania rozliczeń z komunizmem, dziś wzywa do rozprawy z demokratycznymi politykami, którzy wygrali wybory, a gdy nie uzyskali wystarczającej liczby mandatów zgodnie z wszelkimi normami przekazali władzę swoim konkurentom.

Ci, którzy forsowali nietykalność sędziów z partyjnego nadania uczestniczących w terrorze politycznym i wysługujących się totalitarnej władzy, dziś domagają się usunięcia nominowanych przez demokratycznie wybranego prezydenta dlatego, że dokonane zostało to w trakcie rządów ich prawicowych rywali.

Rozprawa z prawicą ma przeorać społeczeństwo i zastraszyć je tak, aby nie mogła już się pojawić żadna konkurencja dla panującej oligarchii. Temu służy zakrojona na wielką skalę kampania eliminacji z życia publicznego wszystkich, którzy współpracowali z rządami PiS.

Establishment III RP tak jak jego peerelowscy poprzednicy niszczy podstawy parlamentaryzmu, czyli kryminalizuje przeciwników politycznych. Rządzenie państwem polega na dysponowaniu jego środkami. Naturalne jest, że oponenci polityczni przedstawiają alternatywne tego warianty. Zasadą współczesnej demokracji jest wyłącznie polityczna odpowiedzialność za decyzje, które podejmują rządzący. Granicą tego jest korupcja. Jeśli jednak nowa władza kryminalizować będzie swoich poprzedników za niewłaściwe jej zdaniem gospodarowanie państwowymi zasobami, kończy się parlamentaryzm, a zaczyna rewolucja. I z jej liberalnym wariantem mamy właśnie do czynienia w Polsce.

Na razie są to jej pierwsze przymiarki. Służy temu pozbawianie środków działania opozycji poprzez odbieranie jej dotacji i unieważnianie immunitetów jej politykom – większość może to zawsze zrobić, a więc przy takim podejściu immunitet traci sens. Ma to prowadzić do postawienia ich przed sądem za przestępstwa pospolite czemu służy ogłaszanie kolejnych pseudoafer. Wszystko to w aurze iście goebbelsowskiej propagandy ze strony obecnej władzy, którą umożliwia jej gigantyczna przewaga medialna. Pomawianie o złodziejstwo prawicowej ekipy, która w tej mierze zwłaszcza w stosunku do swoich poprzedników z PO cechowała się przestrzeganiem norm, nawet jeśli nie doprowadzi do procesów i tak stanowi łamanie cywilizowanych standardów politycznych.

Bez żadnych dowodów Tusk ogłosił, że PiS ukradło w czasie swoich rządów 150 mld zł. Ponieważ nie sposób było bronić tej insynuacji, została ona przemilczana, a wyrobnicy liberalnego frontu propagandowego, w który zmienił się główny nurt medialny, w tej sprawie nabrali wody w usta. Ale kryminalne pomówienia funkcjonują i uderzają w podstawy jakiegokolwiek wspólnoty, bez której demokracja nie jest możliwa.

Przetrzywanie bez realnego uzasadnienia siedem miesięcy w areszcie w fatalnych warunkach (międzynarodowe konwencje uznają je za tortury) ks. Olszewskiego oraz dwóch urzędników byłego Ministerstwa Sprawiedliwości i szcucie ich przez liberalne media bez liczenia się z jakimikolwiek faktami to komunistyczne metody.

Ideowe podobieństwa przekładają się na polityczną praktykę.

Nie kocha, nie lubi, nie szanuje

Gdy Donald Tusk został premierem, stosunki polsko-niemieckie miały się radykalnie poprawić. Po niemal roku rozczarowanie jest duże. Niemcy traktują bowiem Polskę dokładnie tak samo jak przedtem – protekcyjnie. Nawet najmniejszy gest to dla nich już za wiele



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Niemcy nie są wrogiem, ale sojusznikiem” – z takim przesłaniem minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski podróżował od chwili przejęcia władzy przez koalicję PO, Trzeciej Drogi i Lewicy po studiach telewizyjnych i radiowych, podkreślając zwrot w polityce wobec zachodniego sąsiada. O powrocie do „regularnego dialogu” i o „nowym początku” w relacjach mówił także Paul Ziemiak, przewodniczący polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej, poseł chadecji. „Na wszystkich poziomach znaki wskazują na ponowną współpracę” – przekonywał. Kanclerz Olaf Scholz serdecznie gratulował Donaldowi Tuskowi z okazji przejęcia władzy. „Nie mogę się doczekać rozwoju Unii Europejskiej i stosunków niemiecko-polskich ramię w ramię z Polską” – zaznaczył 13 grudnia 2023 r. podczas przemówienia w Bundestagu.

Niemieckie media pisały tymczasem o „odtruciu” relacji oraz „nowych impulsach”. Gdy tuż po wyborach w październiku ub.r. gościłam w Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej w Berlinie (DGAP), dawało się odczuć może nie euforię,

ale pewne zadowolenie. Ośmioletnia przykra „przerwa” w postaci rządów PiS dobiegła końca. Jak twierdzi tygodnik „Der Spiegel”, oczekiwania w Berlinie i Warszawie były duże. Nadzieje też. „Panowało przekonanie, że Niemcy i Polacy mogą wiele wspólnie osiągnąć w Europie. W kwestii rozszerzenia, w sprawie reformy instytucji europejskich, współpracy zbrojeniowej, pomocy dla Ukrainy czy polityki migracyjnej” – czytamy.

Po niecałym roku niewiele z tego pozostało. To znaczy pozostał kicz. Ciepłe słowa, zapewnienia o dobrej atmosferze. W rzeczywistości stosunki polsko-niemieckie są chłodne. Może nawet bardziej niż za czasów PiS. Co więc poszło nie tak?

DOBRA MINA DO ZŁEJ GRY

Najbardziej wybijającą się cechą relacji między Niemcami i Polską jest ich absolutna niezmienność. Berlin nie jest gotów traktować Warszawy jako partnera, nawet jeśli władzę sprawuje tam popierany przez niego liberalny rząd.

Olaf Scholz przybył więc w lipcu do Polski na pierwsze od sześciu lat konsultacje międzyrządowe. Miał na nich zostać uchwalony wspólny plan akcyjny, a ze strony niemieckiej miała paść jakaś propozycja „zadośćuczynienia” dla ofiar III Rzeszy. Coś, co Berlin mógł zaproponować, co nie byłoby reparacjami i by się tak nie nazywało. Jakiś „wielki

gest”, który postawiłby Donalda Tuska w pozytywnym świetle i dałby impuls odnowieniu „pozytywnych” relacji. Ostatecznie do tego nie doszło. Scholz wprawdzie zapowiedział, że Niemcy



będą starali się realizować wsparcie na rzecz osób ocalałych w II wojnie światowej. Konkretną kwotę jednak nie podał. Zamiast tego mówił o budowie domu polsko-niemieckiego w Berlinie. To bardzo mało, biorąc pod uwagę wcześniejsze spekulacje w niemieckiej prasie o „znaczącym geście”.

Dlaczego do niego nie doszło? Zdaniem „Spiegla” 200 mln euro, które Scholz chciał zaproponować, polska strona uznała za „zbyt małą kwotę”, coś, co ośmieszyłoby Tuska. Kanclerz natomiast miał nie być gotowy na większe finansowe zobowiązania w chwili trudnych negocjacji budżetowych z partnerami koalicyjnymi. Ponadto Niemcy mieli być skonsternowani brakiem jasno sformułowanych oczekiwań po polskiej stronie. „Gdy Niemcy pytali w Warszawie, czego chce nowy rząd, nie otrzymywali odpowiedzi” – czytamy na łamach gazety. Małostkowość po stronie niemieckiej, chaos po stronie

polskiej. Uwaga Tuska, że „nic nie jest w stanie wynagrodzić krzywdy” dopełniła obraz premiera, który został zlekceważony przez niemieckiego partnera i robi dobrą minę do złej gry.

GRANICA NIEZGODY

Otwarte pokazanie przez Scholza w Warszawie braku zainteresowania wyjściem naprzeciw jakimkolwiek oczekiwaniom strony polskiej stało się niezmiennym punktem odniesienia relacji polsko-niemieckich. Po nieudanej wizycie kanclerza niemiecka prasa zaczęła forsować teorię polskiego udziału w zniszczeniu gazociągu Nord Stream, a co najmniej sabotowania przez Polskę śledztwa przeciwko jego rzekomym sprawcom. Scholz dołożył jeszcze do pieca, określając atak na gazociąg na Morzu Bałtyckim jako „akt terrorystyczny” i wzywając niemiecką prokuraturę do „prowadzenia śledz-

twa bez oglądania się na kogokolwiek”. Tusk zaprotestował na Twitterze, ale niesmak pozostał.

We wrześniu minister spraw wewnętrznych Niemiec Nancy Faeser wymierzyła koalicji rządowej w Warszawie kolejny cios, przedłużając kontrole na granicach, by zapanować nad napływem nielegalnych migrantów. A kanclerz ogłosił, że kontrole będą trwały „tak długo, jak będzie to konieczne”. Dochodzi do incydentu niezgodnego z procedurami przetrzymania rodziny migrantów do Polski przez niemiecką policję. Tusk interweniuje u Scholza, który zobowiązuje się do szybkiego „wyjaśnienia sprawy”. Wkrótce potem okazuje się jednak, że to nie wypadek przy pracy, tylko system. Niemcy zwracają migrantów na granicy, przewożąc ich nierzadko na stronę polską. Od stycznia do września zawrócili w ten sposób 7862 osoby. Przede wszystkim obywateli Ukrainy, a także Syrii czy Iraku.

O przedłużeniu kontroli granicznych politycy koalicji dowiadują się zresztą z mediów. Berlin nie raczy ich poinformować. Europosel PO Bartłomiej Sienkiewicz mówi przy tej okazji na forum Parlamentu Europejskiego o „arogancji Niemiec”. Reakcja Berlina jest typowa: jesteśmy gotowi współpracować przy zwalczaniu nielegalnej migracji, ale kontrole pozostają. Już wtedy niemiecka koalicja rządząca wisiała na włosku (w minionym tygodniu się rozpadła) i kanclerz Scholz nie chciał pogarszać notowań SPD przed prognozowanymi przyspieszonymi wyborami. Niemcy domagają się końca niekontrolowanej migracji, a więc trzeba im dać to, czego chcą, nie bacząc na sąsiadów. Niech Polacy się martwią. Gdy w październiku Nancy Faeser gości w Polsce, ignoruje uwagę swojego odpowiednika Tomasza Siemoniaka, że ma nadzieję, iż kontrole na granicy są przejściowe. Zamiast tego proponuje wspólną europejską politykę azylową, czyli jeszcze więcej tego samego.

PUSTE KRZESŁO

Gdy Donald Tusk później ogłasza możliwość „tymczasowego” zawieszenia prawa azylowego, w niemieckiej prasie



Fot. Krystian Maj/KPRM

zaczyna być nazywany „liberalno-konserwatywnym” lub „umiarkowanie konserwatywnym”. Do nacjonalizmu zarzucanemu PiS jest już całkiem niedaleko.

Na domiar złego Olaf Scholz postanowił podjąć wysiłek odzyskania dla swego kraju utraconą pozycję hegemonu z czasów Angeli Merkel. Jeszcze w marcu Tusk gościł na szczycie Trójkąta Weimarskiego. Gdy 19 października br. do Berlina przybył Joe Biden, by rozmawiać o możliwym pokoju na Ukrainie, na liście gości byli prezydent Francji Emmanuel Macron i premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer. Tuska nie zaproszono. Berlin twierdzi, że wynikało to z „wąskiej” formuły szczytu, a ponadto – jak informuje „Der Spiegel” – „Warszawa ani razu nie dała do zrozumienia, że Tusk chciałby tam być”. W rzeczywistości, o czym niemiecki tygodnik już nie napisał, brak zaproszenia dla polskiego premiera był zamierzony. Scholz chciał pokazać Amerykanom, że Niemcy dalej pragną być ich uprzywilejowanym partnerem w Europie, pośrednikiem Waszyngtonu. A partnerom w Europie Środkowo-Wschodniej, jak Czechom czy Litwinom, kto dominuje w regionie. Nie Polska, ale Niemcy. To także jasna zapowiedź, że Niemcy chcą nowego, nieco poszerzonego formatu normandzkiego bez czynnego udziału wschodniej ściany NATO.

To nic zaskakującego, biorąc pod uwagę fakt, że gabinet Tuska od chwili przejęcia władzy wysyła sygnały, iż nie zamierza prowadzić samodzielnej polityki wschodniej, ani zresztą zachodniej, pozostawiając to Niemcom. Po co więc premier miałby uczestniczyć w tym szczycie? Jeśli zostanie wynegocjowana niekorzystna umowa pokojowa dla Ukrainy, polski rząd będzie mógł umyć od niej ręce. I to wszystko w chwili, gdy Niemcy są trawieni poważnym kryzysem i nigdy nie były tak słabe w Europie.

ODDECH HISTORII

W konsekwencji rozmowa na temat przyszłości Europy po wyborach prezydenckich w USA odbyła się także w wąskim kręgu: francusko-niemieckim.

Niemieckie media przekonują, że biedny Donald Tusk nie może się zbyt otwarcie bratać z Niemcami, bo „czuje na karku oddech PiS”, dlatego nie odebrał przyznanej mu we wrześniu nagrody 100 Media Award. Do Poczdamu na uroczyste wręczenie pojechał Adam Bodnar.

Ponadto Polacy mimo zmiany władzy w Warszawie nie zmienili nastawienia do Niemiec. A jest ono sceptyczne. Jak wynika z polsko-niemieckiego barometru opublikowanego w październiku, „co piątemu Polakowi Niemcy kojarzą się z okupantami”. Coraz więcej naszych rodaków chce, by w stosunkach z naszymi zachodnimi sąsiadami

Jak pisał we wrześniu na łamach „Spiegla” Jan Puhl, Tusk oczekiwał, że dostanie coś od Niemców za „przepędzenie prawicy z pozycji władzy”. Za brak konfrontacji i chęć współpracy. Ale nie dostał

koncentrować się na historii. O tym, że Niemcy przyczyniają się do konstruktywnej współpracy w Europie, jest przekonanych jedynie 42 proc. badanych. Ponadto po co starać się o względy partnera, który tak ochoczo rezygnuje z prowadzenia samodzielnej polityki i sygnalizuje, że także w wymiarze polityki historycznej nie zamierza o nic walczyć? Jak inaczej wytłumaczyć obsadzenie w roli dyrektora Instytutu Pileckiego prof. Krzysztofa Ruchniewicza, byłego dyrektora Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy’ego Brandta oraz przeciwnika niemieckich reparacji dla Polski? Zresztą Ruchniewicz od połowy czerwca 2024 r. pełni funkcję pełnomocnika ministra spraw zagranicznych ds. polsko-niemieckiej współpracy społecznej i przygranicznej. Co może on mówić Niemcom – oprócz tego, co chcą usłyszeć?

Z tego wszystkiego wylania się obraz uległego Niemcom premiera chcącego jednocześnie stworzyć dokładnie odwrotne wrażenie. Dla Platformy czas najwyraźniej zatrzymał się na tym, że „droga Polski do Europy wiedzie przez Berlin”. Jak pisał we wrześniu na łamach „Der Spiegel” Jan Puhl, najwyraźniej także Tusk oczekiwał, że dostanie coś od Niemców za „przepędzenie prawicy z pozycji władzy”. Za brak konfrontacji i chęć współpracy. Ale nie dostał.

EPILOG

Może, jak twierdzą niemieckie media, Tuskowi po prostu nie jest po drodze z Scholzem. W Berlinie szykuje się zmiana władzy. Przyspieszone wybory zapewne wygra chadecja, która wraz z PO należy do tej samej rodziny partyjnej – Europejskiej Partii Ludowej. Tyle że gdy kanclerzem zostanie szef CDU Friedrich Merz, będzie musiał się zmierzyć z tym samym kryzysem wewnętrznym co Scholz. To chadecja forsowała „automatyczne” zwracanie migrantów na granicy i rozwiązania przyjęte przez obecną koalicję uznała za niewystarczające. Ponadto rząd pod wodzą CDU, która cieszy się 32 proc. poparciem w sondażach, będzie o wiele silniejszy niż ten odchodzący. To ułatwi mu narzucanie różnych rozwiązań europejskim partnerom. A Tuskowi jeszcze bardziej nie będzie wypadało odmówić Merzowi niż Scholzowi. Polsko-niemieckie relacje pozostaną więc zapewne chłodne. Niemcy będą dalej stawiały na brak partnerstwa i protekcjonalizm, a Tusk dalej będzie udawał, że nie jest proniemiecki. Szczególnie w obliczu zbliżających się w Polsce wyborów prezydenckich.

Dla Niemiec Polska PiS była „męczącym” partnerem, bo stawiała wymagania. Ale okazuje się, że nawet niewielkie oczekiwanie pomocy w poprawie wizerunku, jakie żywił Tusk, okazało się być dla Niemców zbyt duże – *vide* nieudana wizyta kanclerza Scholza w Warszawie. Relacje polsko-niemieckie wciąż są boleśnie jednostronne oraz lekceważące i żaden kicz pojednania tego nie przykryje.



Zelenski znów atakuje Polskę. Ale czy na pewno?

Niektórzy przedstawiciele ukraińskiego obozu władzy są zdania, że plan Trumpa, nawet jeśli ryzykowny, daje Ukrainie jakieś nadzieje, podczas gdy kontynuowanie polityki Bidena oznacza tylko wykrwawianie kraju i przedłużanie agonii

Występując na spotkaniu w Użchorodzie, w którym uczestniczyli przedstawiciele lokalnej administracji, prezydent Zelenski znów zaczął mówić o Polsce i naszej pomocy dla walczącej Ukrainy. Zadawane w takim gronie pytania nie są przypadkowe i należy je traktować w kategoriach czytelnego sygnału strategicznego, tym bardziej że nagranie spotkania zostało opublikowane na oficjalnej stronie kancelarii prezydenta. Słowa Zelenskiego wzbudziły serię negatywnych komentarzy w polskich mediach i serwisach społecznościowych, znów pojawiły się oskarżenia

o niewdzięczność i pytania, jak bardzo jeszcze mogą się pogorszyć nasze relacje. Tym ważniejsze jest zrozumienie tego, co w istocie powiedział Zelenski, do kogo adresował swe przesłanie i jak sytuacja wewnętrzna na Ukrainie wpłynęła na jego oceny.

PODWÓJNE STANDARDY

Prezydent Ukrainy zaczął od stwierdzenia, że w kwestiach wsparcia dla swych sojuszników świat Zachodu stosuje obecnie podwójne standardy. Zwalcza irańskie rakiety zagrażające Izraelowi i robi to w przestrzeni powietrznej państw trzecich, ale nie chce realizować podobnej polityki w przypadku Ukrainy, która wielokrotnie prosiła o to, aby ochroną tego rodzaju objąć choćby zachodnią część jego kraju. To, co powiedział Zelenski, było czytelnym oskarżeniem Stanów Zjednoczonych, do pewnego stopnia również Wielkiej Brytanii i Francji – państw, które

czynnie zaangażowały się we wsparcie Izraela. Rumunia, od której zaczął swą wypowiedź Zelenski, jak Polska chciałaby realizować podobne misje nad zachodnią częścią Ukrainy, ale jest rzeczą zrozumiałą, iż zarówno Bukareszt, jak i Warszawa obawiają się, że zostaną osamotnione. A obydwie państwa, jak zauważył prezydent, mają zbyt szczupły potencjał, aby ryzykować bez wsparcia sojuszników z NATO. Ponadto rozbroją się, chroniąc zachodnie obwody Ukrainy, a pomocy od zachodnich sojuszników i tak nie dostaną.

Potem Zelenski mówił też, że w tym roku Kijów otrzymał tylko część pomocy deklarowanej przez bogate państwa Zachodu, co raczej należy traktować w kategorii usprawiedliwienia ostrożności Warszawy w kwestii przekazania Ukrainie pozostałych migów będących na wyposażeniu naszego lotnictwa. My usłyszeliśmy tylko to, że mieliśmy przekazać samoloty, a tego nie zrobiliśmy i nasze media uznały tę wypowiedź



MAREK BUDZISZ

za kolejny przykład „niewdzięczności Ukrainy” i antypolskiej postawy samego Zelenskigo. Wydaje się jednak, że kontekst zmienia wymowę jego słów, które należy odebrać raczej w kategorii oskarżenia dotychczasowej ostrożnej polityki Bidena i niemieckiego „nie” dla idei zaproszenia Ukrainy do NATO niż zbyt wobec szczupłej pomocy wojсковej Warszawy.

BRAKUJE PIENIĘDZY I ŻOŁNIERZY

Nie należy również zapominać, że wypowiedź Zelenskigo ma także charakter komunikatu skierowanego do własnych wyborców. Sytuacja na froncie jest bowiem zła, Rosjanie zdobywają kolejne punkty oporu i przesuwają linię frontu najszybciej od pierwszych dni inwazji. Ukraina chce powołać pod broń kolejne 160 tys. żołnierzy, ale na ich wyposażenie, nie mówiąc już o żołdzie, nie ma pieniędzy. Ekonomiści z Kijowskiej Szkoły Ekonomii, tacy jak Julija Markuc, są zdania, że środki przeznaczane na wojnę skończą się jeszcze w tym roku, a w przyszłym będzie już naprawdę źle. Wynika to z faktu, iż oficjalnie Zachód nie wspiera ukraińskiej walki. Udziela pomocy na finansowanie wydatków publicznych, ale nie związanych z prowadzeniem wojny. W efekcie Kijów, nie musząc finansować np. rent, emerytur czy edukacji, może zwolnione w ten sposób środki przeznaczać na armię. Tylko że pieniądze zaczyna już brakować, bo ukraiński budżet, jeśli nie weźmiemy pod uwagę pomocy Zachodu, w całości idzie już na finansowanie armii.

Zdaniem Markuc źródłem problemów finansowych jest niechęć Zelenskigo do podpisania ustawy podwyższającej z 1,5 do 5 proc. specjalnego podatku wojennego, który by mieli płacić wszyscy, obywatele i opieszalność we wprowadzeniu nowego 50-procentowego podatku od zysku banków. Stosowną ustawę uchwalila już Rada Najwyższa, 30-dniowy termin, który ma prezydent, aby ją podpisać lub zawetować, dawno minął, a Zelenski się waha. Sytuacja przypomina tę

związaną z mobilizacją, kiedy przez niemal sześć miesięcy ukraiński prezydent nie mógł się zdecydować na obniżenie wieku powoływanych do wojska, co zdaniem wielu zachodnich ekspertów wojskowych jest jedną z głównych przyczyn dzisiejszych trudności ukraińskiej armii na froncie. Nowe brygady zaczęto tworzyć i szkolić zbyt późno. W efekcie, kiedy Rosjanie zwiększyli presję i zaczęli przeprowadzać ataki na niespotykaną skalę, gen. Syński był zmuszony wysłać na front słabo wyposażone i jeszcze gorzej wyszkolone nowe związki taktyczne. W konsekwencji, jak donosili ukraińscy korespondenci wojenni, w ciągu pierwszych dwóch tygodni walki ponosiły one straty nawet na poziomie 50 proc. stanu osobowego. W najbliższych miesiącach

Wchodzimy w nową fazę wojny, a słowa Zelenskigo należy potraktować jako próbę pozycjonowania się zarówno przed elektoratem, jak i wobec sojuszników w nowych realiach strategicznych. Odczytywanie ich w kategorii ataku na Polskę wydaje się zarówno przejawem narodowej megalomanii, jak i złym rozpoznaniem realiów

będzie jeszcze gorzej, bo amerykańscy eksperci, na których powoływał się ostatnio dziennik „The New York Times”, uważają, że Ukrainie „wystarczy wojska” w najlepszym razie na najbliższe 12 miesięcy, a w najgorszym trzeba się liczyć z załamaniem możliwości jej sił zbrojnych już w perspektywie najbliższego półrocza. Ukraińska elita i sam Zelenski szukają zatem kozła ofiarnego, bo nie unikną pytań o to, czy kraj był dobrze przygotowany do wojny i czy zrobiono

wszystko, aby wygrać starcie z Moskalami. Będą one padały coraz częściej, tym bardziej że jakiegokolwiek porozumienie kończące czy choćby zamrażające wojnę będzie oznaczało rozpoczęcie kampanii wyborczej na Ukrainie.

STRATEGIA ZELENSKIEGO

Kadencja Rady Najwyższej upłynęła już jesienią ub.r., a Zelenskigo skończyła się w maju. Zakończenie wojny oznacza zatem rozpoczęcie przygotowań do wyborów, a debaty polityczne będą związane w dużej części z poszukiwaniem winnych coraz większych kłopotów na froncie. Część odpowiedzialności za swoje zaniechania i błędy Zelenski chce przerzucić na Zachód, a to oznacza, że w sytuacji narastającej nerwowości zarówno w związku z sytuacją na froncie, jak i kształtem przyszłego pokoju, niefortunnym, a może nawet agresywnym wypowiedzi będzie więcej. Zelenski chce też pokazać, że nawet bez pomocy Zachodu jest gotów dalej walczyć i działa na rzecz zwiększenia możliwości Ukrainy. Jest to o tyle ważne, że w świetle badań opinii publicznej o ile „cywile” chcą już pokoju, to milionowa armia – a to znacząca siła polityczna – opowiada się za kontynuowaniem walki, nawet prowadzonej samotnie.

Jednym z elementów strategii demonstrowania woli walki nawet w osamotnieniu jest pokazywanie własnych zdolności, zarówno jeśli chodzi o eskalację konfliktu, jak i przeprowadzania bolesnych dla Rosji, choć punktowych uderzeń. Ukraińskie drony dalekiego zasięgu, a mowa o przerobionych na potrzeby bojowe lekkich samolotach A-22 Flying Fox, zaatakowały rosyjski port wojskowy nad Morzem Kaspijskim. Najprawdopodobniej zniszczono dwa kutry raketowe. H.I. Sutton, brytyjski analityk wojskowy, powiedział dziennikowi „The Telegraph”, że „wielu ludzi od miesięcy czekało na ten moment” i podkreślił strategiczne znaczenie ataku. Do tej pory Morze Kaspijskie było uznawane za bezpieczną przystań dla rosyjskiej marynarki wojennej. W tym regionie bazowały również bombowce strate-

giczne Tu-95, których w ostatnim czasie Rosjanie intensywnie używali. Dodatkowe znaczenie tego akwenu wynikało z faktu, że stanowi on kanał przerzutu broni z Iranu do Rosji. Ekspertów zdziwiła zdolność ukraińskich sił do przeprowadzenia skutecznego ataku na obiekty znajdujące się o ponad 1 tys. km w linii prostej od własnego terytorium. Uderzenia na port wojenny położony 10 km od Machaczkały, stolicy Dagestanu, podobnie jak przeprowadzony w ub. tygodniu atak na centrum szkoleniowe sił specjalnych w Czeczenii, nie doprowadzą do przełomu strategicznego w trwającej wojnie, ale w opinii specjalistów są kolejnym dowodem na rosnący potencjał uderzeniowy sił ukraińskich i zdolności konstruktorów do opracowywania nowych rodzajów broni. W minionym tygodniu uwagę komentatorów przykuły deklaracje prezydenta Zełenskiego, który mówił, że Ukraina już niedługo będzie dysponowała rakietami balistycznymi własnej konstrukcji.

Zarówno atak na rosyjską bazę wojskową nad Morzem Kaspijskim, jak i zapowiedzi budowy własnych rakiet dalekiego zasięgu są interpretowane jako czytelny sygnał strategiczny wysyłany przez Kijów, iż brak zgody Stanów Zjednoczonych na atakowanie celów położonych w głębi Rosji nie jest równoznaczny z zaniechaniem tego rodzaju operacji. To osłabia siłę argumentów tych przedstawicieli administracji, którzy obawiają się eskalacji w wojnie. Na niewiele się zdadzą amerykańskie zakazy, jeśli Ukraina i tak będzie zdolna zaatakować np. Moskwę przy użyciu systemów własnej konstrukcji.

TAJEMNICZY PLAN TRUMPA

Wielką niewiadomą dla Ukrainy jest też polityka prezydenta elekta, który w toku kampanii wielokrotnie powtarzał, że jest w stanie „w ciągu jednego dnia” zakończyć wojnę. Trump odmówił jednak ujawnienia szczegółów swego „planu pokojowego” przed objęciem urzędu prezydenta. Niektórzy przedstawiciele ukraińskiego obozu władzy, tacy jak Dawyd Arahamija, szef frakcji Sługi Narodu w Radzie Najwyższej, są zdania, że plan Trumpa, nawet jeśli ryzykowny, daje Ukrainie jakieś nadzieje, podczas

gdy kontynuowanie polityki Bidena oznacza tylko wykrwawianie kraju i przedłużanie agonii. To by oznaczało, że w ukraińskiej elicie trwa wewnętrzna dyskusja i niektórzy jej przedstawiciele chcą pójść na całość, ryzykując poparcie w ciemno dla planu Trumpa.

Nasilająca się krytyka dotychczasowej polityki Bidena i demokratów ze strony Kijowa w przeddzień amerykańskich wyborów może być w tej sytuacji traktowana w kategoriach sygnału adresowanego do otoczenia i samego prezydenta elekta. Dziennik „The Wall Street Journal” napisał, że od pewnego czasu w otoczeniu Donalda Trumpa trwa rywalizacja frakcji, w której jednym z przedmiotów dyskusji jest właśnie kwestia, w jaki sposób zakończyć konflikt ukraiński. Bardziej tradycyjnie nastawieni politycy, tacy jak Mike Pompeo, który myśli ponoć o stanowisku szefa Pentagonu, nie chcieliby kończyć wojny ustaleniami dającymi Moskwie argumenty do twierdzenia, że jest ona zwycięzcą. Inni, tacy jak Richard Grenell, główny obecnie kandydat do objęcia funkcji szefa Departamentu Stanu, opowiadają się za bardziej elastycznym, czyli w istocie ustępliwym, stanowiskiem. Anonimowe źródła z otoczenia Trumpa, na które powołuje się amerykański dziennik, informują, że prawdopodobna propozycja rozwiązań pokojowych nowej administracji obejmowałaby uznanie terytorialnego *status quo*, czyli Ukraina musiałaby pogodzić się z faktyczną, choć nie traktatową stratą 20 proc. swego terytorium. Rosyjska aneksja nie byłaby formalnie uznana, a zajęte przez Moskali tereny otrzymałyby status ziem okupowanych. Dodatkowo Kijów musiałby „na 20 lat” zawiesić swe plany członkostwa w NATO, ale w zamian mógłby liczyć na stałą pomoc wojskową Stanów Zjednoczonych, niezbędną, aby Ukraina mogła utrzymać i wyposażać armię odpowiedniej wielkości.

Pojawia się też kwestia międzynarodowych sił rozjemczych, które tak jak na Półwyspie Koreańskim miałyby pilnować, iż na długiej, liczącej 800 km linii rozgraniczenia będzie panował spokój. Trump nie myśli o wysłaniu na Ukrainę amerykańskich żołnierzy, uważając, że zapewnienie stabilności powinno być dziełem Europejczyków. Na tym miałyby

polegać m.in. zwiększony wkład państw naszego kontynentu w zagwarantowanie bezpieczeństwa i wzmocnienie polityki odstraszania Rosji. „Możemy prowadzić szkolenia i zapewnić inne wsparcie, ale lufa pistoletu będzie europejska” – powiedział „The Wall Street Journal” członek zespołu Trumpa. „Nie wysyłamy amerykańskich mężczyzn i kobiet, aby podtrzymywali pokój na Ukrainie. Też za to nie zapłacimy. Namówimy do tego Polaków, Niemców, Brytyjczyków i Francuzów”.

Polaków nie trzeba będzie chyba intensywnie namawiać, bo już przed amerykańskimi wyborami dwójka kongresmenów z obu partii napisała „pod wpływem presji Warszawy”, jak informował dziennik „The Hill”, list do Bidena, aby ten zgodził się na niszczenie rosyjskich środków napadu powietrznego nad Ukrainą, kiedy okaże się, że mogą one zmierzać w kierunku naszego kraju. Już kilka tygodni temu amerykańscy eksperci wojskowi pisali też o tym, iż trzeba zacząć przygotowania do dyslokacji polskiej dywizji pancernej na Ukrainę, której rolą po zakończeniu wojny miałyby być wzmocnienie linii rozgraniczenia. W zamian, przy dobrym obrocie spraw, moglibyśmy liczyć na przesunięcie amerykańskich sił z Niemiec do zachodniej Polski. Nowa administracja będzie zapewne grozić Berlinowi tego rodzaju ruchem, jeśli Niemcy nie podniosą skokowo swych wydatków na obronę. Gen. Keith Kellog i Dan Negrea, bliscy doradcy Trumpa, napisali wprost na łamach „The National Interest”, że „Stany Zjednoczone mogłyby zmniejszyć obecność swoich wojsk w krajach, które zdecydowały się nie inwestować we własną obronę”, powołując się na deklaracje prezydenta elekta, który w toku kampanii mówił o tym, iż w nowych realiach amerykańscy sojusznicy muszą wydawać na zbrojenia 3 proc., a nie 2 proc. swego PKB. Innymi słowy wchodzimy w nową fazę wojny, a słowa Zełenskiego należy potraktować jako próbę pozycjonowania się zarówno przed własnym elektorem, jak i wobec sojuszników, w nowych realiach strategicznych. Odczytywanie ich w kategorii ataku na Polskę wydaje się zarówno przejawem narodowej megalomanii, jak i złym rozpoznaniem realiów. ➤



Jak Polacy wybierali prezydentów USA

W ostatnich wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych oboje kandydaci intensywnie zabiegali o poparcie mieszkającej tam Polonii. Nieprzypadkowo, bo to właśnie Polacy stanowią ważną grupę wyborców, której głosy mogą okazać się kluczowe. Tym razem duży dług wdzięczności wobec nich zaciągnął Donald Trump. W historii amerykańskich elekcji już tak bywało



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Polacy zaczęli emigrować do Stanów Zjednoczonych w większej liczbie już w XIX w., po powstaniach narodowych. Kolejne duże fale emigracji z Polski do USA miały podłoże ekonomiczne, a ludzie, przenosząc się za ocean, szukali dla siebie lepszego życia. W późniejszych latach, w okresie

PRL, wielu decydowało się na to z powodów politycznych (szczególnie po zakończeniu II wojny światowej i w latach 80. XX w.).

Obecnie Stany Zjednoczone są krajem z największą Polonią na świecie – mieszka tam ponad 9 mln osób polskiego pochodzenia, co stanowi

ok. 3 proc. amerykańskiej populacji. Jej największe skupiska występują w kilku stanach – w Nowym Jorku, Illinois, Michigan i Pensylwanii. Większość to dzieci, wnuki i prawnuki imigrantów z Polski. Choć znaczna część z nich nie mówi po polsku, w wielu rodzinach pielęgnowane są polskie tradycje.

TRZYNASTY PUNKT WILSONA

W minionym stuleciu Polacy w Stanach Zjednoczonych zmieniali poparcie dla kandydatów dwóch partii w zależności od uwarunkowań gospodarczych i geopolitycznych. Wpływ na wyborcze preferencje miała polityka USA wobec odradzającego się po latach zaborów państwa polskiego, wsparcie w czasie II wojny światowej, stosunek do zimnowojennej rywalizacji oraz państw położonych za żelazną kurtyną, pomoc Solidarności czy poglądy na kwestię rozszerzenia NATO na wschód po upadku Związku Radzieckiego.

W 1916 r. o reelekcję ubiegał się wodzący się z Partii Demokratycznej Thomas Woodrow Wilson. Niejednokrotnie zapewniał on amerykańskich Polaków o wsparciu sprawy polskiej, o którą intensywnie zabiegał przebywający wówczas w USA Ignacy Jan Paderewski. Duży wpływ na zbliżenie tych dwóch postaci miał ówczesny doradca prezydenta Edward House, amerykański dyplomata mający posłuch zwłaszcza w sprawach polityki zagranicznej (był on odpowiedzialny m.in. za opracowanie paktu Ligi Narodów). W listopadzie 1916 r. większość Polonii poparła Wilsona jako kandydata Partii Demokratycznej i uzyskał on reelekcję. Pokładała ona nadzieję w tym, że pomoże on odrodzić się Polsce po latach zaborów. O wsparciu „narodu nad Wisłą” Woodrow Wilson mówił już podczas rozpoczynającego drugą kadencję orędzia do Senatu. Nie były to puste słowa. 8 stycznia 1918 r. w Kongresie prezydent Wilson przedstawił składający się z 14 punktów program pokojowy. 13 punkt mówił właśnie o potrzebie stworzenia niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza.

POMOC HOOVERA

Mimo okazania dużego wsparcia odradzającej się Polsce efekty traktatu wersalskiego rozczarowały Polonię. Szczególnie niezadowolające okazały się ustalenia dotyczące granic II RP oraz konieczność podpisania małego traktatu wersalskiego, który gwarantował szczególną ochronę mniejszościom narodowym.

Wobec tego w następnych kilku wyborach Polacy zdecydowali się głosować na kandydatów republikanów, w 1920 r. na Warrena Hardinga, a w 1924 r. Calvina Coolidge’a. Szczególnym uznaniem cieszył się Herbert Hoover, wybrany na urząd prezydenta w 1928 r. Polonia udzieliła mu nieporównywalnie większego wsparcia niż przedstawiciele jakiegokolwiek innej grupy etnicznej. Nie można się jednak temu dziwić. Podczas I wojny światowej Hoover zasłynął jako organizator pomocy dla polskiej ludności cywilnej (w szczególności dzieci) dotkniętej działaniami wojennymi. Kierowana przez niego Amerykańska Administracja Pomocy (American Relief Administration) udzielała pomocy żywnościowej milionom ludzi jeszcze kilka lat po wojnie. W szczytowym okresie akcji w maju 1920 r. w Polsce działało ok. 7,6 tys. punktów żywienia sponsorowanych przez Amerykanów. Już w 1919 r. jednej z ulic Warszawy nadano nazwę alei Hoovera. W Wigilię tego roku Józef Piłsudski wysłał do niego depezę, dziękując za dary dla polskich dzieci. W 1922 r. w Warszawie by upamiętnić dokonania Amerykańskiej Administracji Pomocy odsłonięto (obecnie nieistniejący) pomnik Wdzięczności dla Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dziś to miejsce nosi nazwę skweru Hoovera.

ZDRADA ROOSEVELTA

Preferencje polityczne Polonii zmieniły się dopiero za sprawą Franklina Delano Roosevelta, który wystartował przeciwko Hooverowi. Demokrata rządził przez cztery kadencje i w każdym wyborach cieszył się dużym poparciem polskiej mniejszości. Wielokrotnie spotykał się z Kongresem Polonii Amerykańskiej, pozował na tle przedwojennych map Rzeczypospolitej, zapewniał

polskich wyborców w USA, że będzie walczył o utrzymanie przez Polskę niepodległości (ostatnie wybory z jego udziałem odbyły się w 1944 r.). Podczas konferencji jaltańskiej Roosevelt uległ żądaniom Józefa Stalina i zgodził się włączyć Polskę do sowieckiej strefy wpływów. Za wszelką cenę próbował jednak ukryć ten fakt, ponieważ na koniec 1944 r. zaplanowane były kolejne wybory, a głosy polskich wyborców mogły przechylić szalę zwycięstwa.

Mimo szoku, jakim była zdrada państw zachodnich, a szczególnie Ameryki, Polacy zdecydowali się ponownie poprzeć demokratę. Następca Roosevelta, wybrany w 1948 r. Harry Truman, zawdzięczał to swojej stanowczej polityce wobec ZSRR. Później jednak zarówno w 1952 r., jak i w 1956 r. w większości zagłosowali na Dwighta D. Eisenhowera, generała armii amerykańskiej i weterana II wojny światowej startującego z ramienia Partii Republikańskiej. Jak się później okazało, nie była to długofalowa tendencja. Przez następne 20 lat Polonia głosowała niemal wyłącznie na demokratów (wyjątkiem był Richard Nixon w 1972 r.). Udało się to zmienić Ronaldowi Reaganowi, który przekonał do siebie polskich wyborców przede wszystkim swoją antykomunistyczną postawą. Uważa się go za autora ostatecznego pokonania Związku Sowieckiego. Na tym polu współpracował z papieżem Janem Pawłem II. Dzięki niemu sprawa niepodległości Polski wróciła na agendę międzynarodową w latach 80. W rezultacie w kolejnych wyborach w 1988 r. Polacy poparli jego wiceprezydenta – George’a Busha seniora.

RAZ JEDNI, RAZ DRUDZY

Po 1989 r. Polacy w USA udzielali poparcia w zasadzie na zmianę kandydatom Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej. Dwukrotnie głosowali na Billa Clintona, który po długich wahaniach i sporach wśród amerykańskich elit politycznych wyraził zgodę na przyjęcie Polski, Węgier i Czech do NATO. Potwierdzeniem tych planów była jego wizyta w Warszawie 6–7 lipca 1994 r. Następnymi faworytami Polaków okazali się także dwukrotnie George W. Bush i Barack Obama.

W 2016 r. większość amerykańskiej Polonii głosowała na Donalda Trumpa, który złożył dotrzymaną później obietnicę zniesienia wiz dla Polaków podróżujących do USA. Natomiast w 2020 r. większość z nich poparła kandydata Partii Demokratycznej Joe Bidena.

KONSERWATYWNIE DEMOKRACI

O ile więc u wyborców pochodzenia afroamerykańskiego, azjatyckiego czy latynoskiego można dostrzec wyraźne skłonności do popierania demokratów, o tyle tego samego nie można powiedzieć o Amerykanach polskiego pochodzenia. Co ciekawe, badania opinii publicznej wykazują, że większość z Polaków w USA od lat deklaruje poparcie dla Partii Demokratycznej. Zgodnie z ustaleniami ośrodka Piast Institute z 2010 r., 36,5 proc. respondentów uważało siebie za demokratów, 26,1 proc. za republikanów, a 33,2 proc. określiło się jako niezależni.

Z kolei według badań przeprowadzonych w 2020 r. już 50 proc. z nich zadeklarowało poparcie dla demokratów, 39 proc. dla republikanów, a 11 proc. określiło się mianem niezależnych. Mimo takich preferencji politycznych większość, bo aż 43,6 proc., we wspomnianym badaniu określiło siebie jako konserwatystów. 33,2 proc. uważa się za liberałów, a reszta za centrystów. Warto także dodać, że Polacy w Stanach Zjednoczonych nie głosują jako jeden blok. Jak pokazuje historia, nie mają też tradycji konsekwentnego popierania jednej partii politycznej. A taka sytuacja sprawia, że za sprawą Polaków każdy kandydat może zyskać, a także stracić.

HEJNALISTA Z WIEŻY MARIACKIEJ

W tegorocznym wyścigu wyborczym zarówno Donald Trump, jak i Kamala Harris zwracali się do Amerykanów polskiego pochodzenia, podejmując bezprecedensowe działania w tym kierunku. Dr Dominik Stecuła z Uniwersytetu Stanowego Ohio w rozmowie z PAP stwierdził: „Nie było chyba

jeszcze kampanii, kiedy o głosy Polonii zabiegano tak bardzo”. Zdaniem ekspertów zainteresowanie obu partii Polonią wynikało głównie z dynamiki kampanii wyborczej i z faktu, że o wyniku wyborów mogła przesądzić niewielka liczba głosów. Tak było m.in. w 2016 r., kiedy o zwycięstwie Donalda Trumpa zdecydowało 80 tys. głosów w Wisconsin, Pensylwanii i Michigan.

Przesłanie demokratów skupiło się wokół wojny na Ukrainie i znaczeniu NATO. Podkreślano niechęć Trumpa do Sojuszu i zarzucano mu powiązania z Władimirem Putinem. „Dlaczego nie powiesz 800 tys. Amerykanów polskiego pochodzenia właśnie tu,

W 2016 r. większość Polonii amerykańskiej głosowała na Donalda Trumpa, który złożył dotrzymaną później obietnicę zniesienia wiz dla Polaków podróżujących do USA. Natomiast w 2020 r. większość z nich poparła kandydata Partii Demokratycznej Joe Bidena

w Pensylwanii, jak szybko byś uległ za przysługę i to, co uważasz za przyjaźń z dyktatorem, który zjadłby cię na obiad?” – spytała Kamala Harris podczas debaty w Filadelfii, zwracając się do swojego rywala.

Niedługo po tym w sieci i lokalnej telewizji w stanie Pensylwania pojawił się spot reklamowy skierowany do wyborców polskiego i ukraińskiego pochodzenia, w którym odwołano się m.in. do hejnalisty z wieży bazyliki Mariackiej. „Wieki temu, gdy najeźdźcy maszerowali ze wschodu, polski strażnik zatrąbił w trąbę, by ostrzec swój naród. Dziś kochający wolność Polacy i Ukraińcy ostrzegają nas przed nowym zagrożeniem. Kamala Harris usłyszała zew trąby. Ona będzie bronić naszych

sojuszników: za wolność ich i naszą” – słyszeliśmy w materiale. Oprócz tego w mediach społecznościowych został stworzony profil „Polish-Americans for Harris” mający zachęcić Polaków mieszkających w Stanach Zjednoczonych do głosowania na kandydatkę demokratów.

O głosy polskich wyborców zabiegał też sztab Partii Republikańskiej. Donald Trump w swoim przekazie odwoływał się głównie do polskich symboli i historii. Były prezydent odbywał spotkania z działaczami polonijnymi organizującymi Paradę Pułaskiego w Nowym Jorku, łączył się telefonicznie z obchodzącym 80-lecie istnienia Kongresem Polonii Amerykańskiej, nagrywał krótkie przesłania wideo, m.in. z okazji Dnia Pułaskiego, wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Amerykańskiej Częstochowie w Pensylwanii czy rocznicy śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Trump udzielił też wywiadu TV Republika, podczas którego przekazał wyrazy wdzięczności Polakom za ich wkład w historię i rozwój Stanów Zjednoczonych. „Kochamy Polskę, kochamy Polaków i nie ma nikogo lepszego: są wielcy, silni, mądrzy. Z takimi wartościami uczynimy Amerykę ponownie wielką” – powiedział. Złożył też Polsce i Polakom życzenia z okazji Dnia Pamięci gen. Kazimierza Pułaskiego obchodzonego w Stanach Zjednoczonych 11 października. „Polacy mnie kochają, a ja kocham Polaków. Żaden prezydent nie zrobił więcej dla Polaków niż ja” – dodał.

TERAZ TRUMP

Polacy mieszkający w USA lub Amerykanie polskiego pochodzenia wielokrotnie zmieniali swoje preferencje wyborcze, w zależności od sytuacji oddając głos na kandydatów republikanów bądź demokratów. Zdaniem dr. Dominika Stecuły amerykańska Polonia to „ludzie, których można zmobilizować i zjednoczyć wokół wspólnych interesów społeczności polsko-amerykańskiej”. Tym razem uznali, że ich najlepszym orędownikiem będzie Donald Trump, który wygrał wybory i po czterech latach wróci do Białego Domu. 

K

ULTURY

Już są. Stają do walki o globalnego widza. Reżyser Ridley Scott, odtwórca tytułowej roli Paul Mescal i ponoć objawienie tej megaprodukcji Denzel Washington. Światowa premiera „Gladiatora II” 13 listopada w Londynie. Dwa dni później film trafi do polskich kin

Gladiator powraca

Fot. UIP



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Tym razem nie w fantastycznym uniwersum, nie w kosmosie czy niedostępnych głębinach, ale na starożytnej arenie rzymskiego imperium toczą się największe boje o rząd dusz. Milionowy, globalny. Bo tylko taki zaspokoi oczekiwania producentów, zwracając niebotyczne nakłady poniesione na filmową wizję Ridleya Scotta. „Gladiator II” kosztował 310 mln dol., stając się jednym z najdroższych jak dotąd filmów w historii kina.

KOLOSEUM ŚMIERCI

W mijającym roku pojawiło się kilka megaprojektów boleśnie konfrontujących nadzieje twórców z potrzebami widzów. Najnowsza premiera nawiązująca do hitu sprzed blisko ćwierćwiecza, czyli filmu „Gladiator” z gwiazdorskimi rolami Russela Crowe’a i Joaquina Phoenixa, ponoć wgniata w kinowe fotele. A dzieje się to przede wszystkim za sprawą współczesnej technologii zaprzęgniętej do tworzenia tego widowiska.

Jak przed wiekami tłum oblepiający rzymskie Koloseum, tak teraz oswojoną z najkrwawszymi i najbardziej zaskakującymi scenami kinową widownię mają oszłomić, porazić i zaskoczyć nie tylko naturalistyczne (i często po mistrzowsku rozegrane pojedynki na śmierć i życie), lecz także ich oprawa.

Sądząc po zwiastunach (w których szaleją m.in. krwiożercze małpy, nosorożce i rekiny) oraz zdawkowych relacjach tych, którzy już widzieli „Gladiatora II” (i zgodnie z producentckimi obostrzeniami nie mogą za dużo zdradzić), zmultiplikowana agonía na filmowej arenie obudowana została w sposób, który żadnego z widzów nie pozostawi obojętnym. A że w pogoni za efektem scenariusz nieraz stawiał na bakier z historią, starożytnymi realiami czy technicznymi możliwościami ludzi sprzed wieków – tym twórcy się nie przejmują.

PODPALONY LONT

„The Hollywood Reporter” przytacza opinię dr Shadi Bartsch z Uniwersytetu w Chicago, autorki kilku książek o starożytnym Rzymie. Już na podstawie zwiastuna skrytykowała ona „Gladiatora II”, m.in. za obrazy walki w zalanym wodą koloseum. „Hollywoodzka bzdura” nazwała wprowadzenie do tych scen rekinów, których Rzymianie nie znali.

Miała też zastrzeżenia do nosorożców – ponoć pokazany na ekranie

gatunek nie tylko nie mógł się znaleźć na starożytnej arenie, lecz także nie sposób w ogóle jeździć na takich zwierzętach czy tym bardziej toczyć walkę. Zdaniem historyczki kuriozalna jest również scena, w której Rzymianin w przestrzeni, która przypomina kawiarnię, popija herbatę i czyta... gazetę. Bartsch wyjaśnia, że w czasach, które pokazuje film Scotta – jeśli już, to informacje urzędowe – przekazywano do publicznej wiadomości, wykuwając je na kamiennych tablicach wywieszanych w specjalnych miejscach. O kawiarniach i prasie nie było mowy. Nie te czasy.

Ridley Scott, podobnie jak przy okazji filmu „Napoleon”, wydaje się głuchy na podobną krytykę. Chętnie przyjmuje za to pochwalne opinie. Po testowych pokazach niesiony pozytywnym nastawieniem branżowych





widzów 87-letni reżyser zdradził, że ma w planie nakręcenie trzeciej części „Gladiatora”.

„Podpaliłem już lont...” – przyznał w jednym z wywiadów. „Finał »Gladiatora II« przypomina »Ojca chrzestnego«, gdzie Michael Corleone kończy na pozycji, której nie chciał i zastanawia się: »Co teraz, ojczu, co mam robić?«. Następny film opowie więc o człowieku, który nie chce być tam, gdzie jest” – zapowiada reżyser.

CROWE, MESCAL I...

Ponoć pomysł nakręcenia kontynuacji superprzeboju, który wykreował australijskiego aktora Russela Crowe’a na światową gwiazdę, pojawił się, gdy reżyser zobaczył Paula Mescala w głośnym serialu czasu pandemicznej izolacji – „Normalni ludzie” (2020). Wtedy postanowił obsadzić Irlandczyka w roli dorosłego już Lucjusza (wnuka Marka Aureliusza), czyli bohatera, który w pierwszym „Gladiatorze” był chłopcem i widział, jak jego wuj, cesarz Kommodus (Joaquin Phoenix) zabija Maximusa. W wyniku życiowych zawirowań Lucjusz zaczyna iść drogą słynnego rzymskiego dowódcy i też staje się gladiatorem.

Gdy Scott zaproponował Mescalowi główną rolę, ten miał już na koncie m.in. nominację do Oscara za kreację w psychologicznym dramacie „Aftersun”. Jednak udział w tak wielkim przedsięwzięciu, jakim jest „Gladiator II”, może wybić aktora na zupełnie inną zawodową i prywatną orbitę.

Irlandczyk nie ukrywa obaw przed nadmiernym skokiem popularności. Już po szumie, jaki wywołała jego rola w „Normalnych ludziach”, po jakimś czasie zlikwidował konta społecznościowe, by ochronić choćby część prywatności. Jak teraz zareaguje na zainteresowanie mediów?

Ci, którzy widzieli „Gladiatora II”, podkreślają, że nie tylko udźwignął rolę, lecz także na własnych warunkach wyszedł z cienia Maximusa (Crowe’a). Na rzymskiej arenie wygrał, jednak prawdziwą ekranową rewelacją całego filmu okazała się ponoć kreacja Denzela Washingtona, który gra brutalnego i makiawelicznego handlarza bronią.

Sam aktor tak przedstawia swoją rolę: „Po prostu zakładałam suknię, potem te wszystkie pierścionki i zaczynam szaleć. Makrynus to potwór. Próbuje wykorzystać każdego. Wykorzystałby swoją matkę, własne dzieci. Już zniszczył swoją duszę, więc nic mu nie pozostało. Zawarł pakt z diabłem”.

W kontynuacji nagrodzonego pięcioma Oscarami filmu z 2000 r. (który zarobił na całym świecie ponad 465 mln dol., choć kosztował „tylko” 103 mln) ze zrozumiałych względów nie pojawił się Russell Crowe (śmierć Maximusa została bardzo mocno wygrana w „Gladiatorze”). W nowym filmie wystąpi natomiast dwoje aktorów z poprzedniego obrazu: Connie Nielsen jako Lucilla, matka Lucjusza, oraz Derek Jacobi w roli Tyberiusza Grakchusa. Zobaczmy też Pedra Pascala, Josepha Quinna, Freda Hechinger, Matta Lucasa i May Calamawy.

BRYTYJSKI SPLENDOR

Światowa premiera „Gladiatora II” odbędzie się 13 listopada w Londynie. Zostanie połączona ze zbórką na pomoc branży kinowej i telewizyjnej (realizację filmu Scotta opóźniły ubiegłoroczne strajki scenarzystów i aktorów, podnosząc końcowy koszt z zakładanych 165 do ponad 300 mln dol.). Zgodnie z nazwą wydarzenia uroczysty pokaz ma uświetnić udział rodziny królewskiej. W 2022 r. prezentowany w ramach Royal Film Performance obraz „Top Gun: Maverick” obejrzelili książę i księżna Cambridge. Kto pojawi się teraz? Spekulacje trwają. Już dwa dni po londyńskiej premierze film trafi m.in. do polskich kin.

O swoim najnowszym dziele Ridley Scott tak mówił przy okazji przygotowań do londyńskiej premiery: „Od czasu nakręcenia pierwszego »Gladiatora« co roku zastanawiałem się, czy jest przestrzeń na kontynuację. Po niemal 25 latach jesteśmy podekscytowani tym, że w końcu mamy odpowiedź dla fanów na całym świecie. Tej realizacji przyświecało powiedzenie Orsona Wellesa, który stwierdził kiedyś, że plan filmowy to największa kolejka elektryczna, o jakiej może marzyć chłopiec. »Gladiator II« był największym pociągami, jakim kiedykolwiek kierowałem”.

* * *

Na pocieszenie dla tych, którzy w tytułowym gladiatorze wciąż widzą Russela Crowe’a, aktor też wróci do rzymskiego imperium. Tym razem jako celtycki wódz. W filmie „The Last Druid” nie zabraknie scen walki, bo bohaterowi przyjdzie odeprzeć najazd rzymskiego wojska na miejsce, w którym wiedzie spokojny żywot, czyli na niezależną, odosobnioną górską twierdzę i otaczające ją tereny. Pokojowo nastawiony celtycki władca będzie musiał chwycić za broń.



Sienkiewicz animowany w Indiach



Za sprawą polsko-indyjskiej produkcji „Quo Vadis” na ekrany kin powraca w konwencji animacji. Opowieść o zderzeniu chrześcijaństwa z dekadencją Rzymu nabiera dziś aktualności – przekonują jego twórcy



MACIEJ WALASZCZYK

Dzieciom zabawiającym się podczas ostatniego Halloween w kilku miejscach w Polsce ktoś wręczył cukierki nafaszerowane igłami, gwoździami i żrącymi granulkami do udrażniania rur. Ustalono szybko, że faktycznie to same dzieci przygotowały tak drastycznego „psikus”, a makabryczne pomysły podsuwały sobie na TikToku. Jednak wcześniej przez internetowe portale społecznościowe przetoczyła się fala nienawiści i oskarżeń obwiniających o to katolików. Brzmi więc znajomo, przywołując na myśl podpowiedziany niegdyś Neronowi pomysł oskarżenia chrześcijan o podpalenie Rzymu. Tym lepiej, że na ekrany kin weszła nowa i, co ciekawe, animowana adaptacja „Quo Vadis” Henryka Sienkiewicza. Ukazana w niej konfronta-

cja wczesnego chrześcijaństwa z upadającym moralnie, choć wciąż znajdującym się u szczytu potęgi Rzymem, a w końcu krwawa ofiara złożona przez pierwszych chrześcijan za wiarę w Jezusa przestają być abstrakcyjną opowieścią sprzed wieków.

W OBLICZU NOWEGO POGAŃSTWA

Zabiegi o powstanie filmu trwały od 10 lat, a okazją do premiery stała się 100. rocznica sprowadzenia prochów pisarza i noblisty do ojczyzny. Książka, mimo szczęśliwie nieudanych prób jej usunięcia z programów szkolnych, pozostaje jedną z lektur, choć kierowaną do młodszej młodzieży z klas 7–8 szkoły podstawowej. Wiedzą o tym również producenci, podkreślając, że w ciągu najbliższych lat w zasięgu książki znajdzie się ok. 4 mln uczniów, a film ma duży potencjał do zaistnienia w ich świadomości. Już podczas premiery Michał Milowicz, który użyczył głosu Petroniuszowi, podkreślał, że powieść odebrał inaczej jako uczeń, a inaczej już jako dorosły człowiek. I pewnie czuje

to każdy, kto lektury szkolne przeczyta przynajmniej po dwudziestce.

W ostatnich latach pojawiały się różne filmowe produkcje na podstawie książek wprost inspirowanych katolicyzmem. Niestety teologiczne przesłanie wplecione przez C.S. Lewisa do znakomitych „Opowieści z Narnii” zostało niemal zupełnie zagubione przez twórców jej filmowej adaptacji, wysuwając na pierwszy plan motywy przygodowe i baśniowe. Tu jest zupełnie inaczej. Siłą animacji „Quo Vadis” jest nie tyle jej forma, ile przekaz, czytelnie zarysowujący granicę między kulturowym obliczem pogańskiego i starożytnego Rzymu a jutrzeńką chrześcijaństwa, dawnymi obyczajami a tym, co stanowiło o sile nowej wiary. Chodzi o moment jej zetknięcia z pozbawiającym się swych cnót społeczeństwem cesarstwa i fakt, że z gruntu rewolucyjna religia, przyjmowana zarówno przez niewolników, plebs, jak i rzymski patrycjat, wniosła pełną współczucia i odmiennie pojmowaną miłość, a w końcu osobowego Boga spoza rzymskiego panteonu i przekonanie o nieśmiertelności ludzkiej duszy.



Tak, jak chciał Sienkiewicz, również twórcy tej adaptacji ukazali to poprzez losy kilku charakterystycznych postaci, często w konfrontacji z wizerunkiem Nerona jako władcy zwyrodniałego, folgującego swemu okrucieństwu i pysze przy aprobacie skorumpowanego otoczenia. A także postaci Petroniusza, rzymskiego pisarza i estety, człowieka wpływowego i bogatego, którego perspektywa nabiera dziś nowego znaczenia. – To on ponosi tutaj największą ofiarę. A jako poganin i agnostyk oddaje swe życie za Winicjusza, a więc robi to, do czego wzywa nas Chrystus – wyjaśnia Anira Wojan, producentka i reżyser filmu. Uosabia przejście od świata rzymskiego do tego, z którego wyrosła cywilizacja, w której wciąż jesteśmy zanurzeni. Jej zdaniem dziś obserwujemy jednak zupełnie odwrotny kierunek. – Przechodzimy od kultury zbudowanej na etyce chrześcijańskiej do takiego świata, w którym przestaje ona już obowiązywać lub, jak ma to miejsce w dzisiejszej Europie, jest zastępowana ignorującymi ją prawami. Mamy jakiś nawrót pogaństwa – tłumaczy.

W filmie nie chodzi oczywiście o analogie polityczne, a po prostu o ukazanie znaczenia i siły miłości wniesionej przez chrześcijaństwo. – To przekaz uniwersalny i zrozumiały. Nie jest to film katechetyczny, choć jest ujęciem widzianym z perspektywy chrześcijańskiej – wyjaśnia reżyserka, zdaniem której perspektywa, w której ludzie sięgają po własną godność i nie uginają się pod brzemieniem terroru politycznego, społecznego, ekonomicznego czy medialnego, zawsze jest interesująca.

GAMINGOWA KONWENCJA

Czy młodzi będą zainteresowani zastanawianiem się nad przyczynami, dla których pierwsi chrześcijanie poszli na śmierć za wiarę i stali się ofiarami prześladowań? Przecież znają przemoc z gier i filmów, są do niej przyzwyczajeni, oswo-

jeni, traktują jako zabawę. Anira Wojan przyznaje, że animację ujęto w konwencji gamingowej po to, by łatwiej komunikować zawarte w nim przesłanie.

Jednak od pewnego czasu i, co ciekawe, zanim w ogóle można było zobaczyć film w kinie, w mediach pojawiały się pełne złośliwości krytyczne głosy na jego temat. Można odnieść wrażenie, że były efektem zamierzonej kampanii mającej na celu jego dyskredytację. Dotyczą one po prostu wrażenia, jakie może pozostawić animacja – wyrazów twarzy, sposobu poruszania się i „martwych spojrzeń” bohaterów. Nie byłyby one zupełnie bezzasadne, gdyby przyjąć, że dotyczą fabuły z żywymi aktorami, którzy kiepsko odgrywają swe role. W końcu mamy jednak do czynienia z filmem animowanym, komputerową kreacją, a nie rodzajem realistycznego teatru rodem z czasów rzymskich. Jak widać radykalnym krytykom fikcja miesza się z rzeczywistością. To tak, jakby także Sienkiewiczowską powieść traktować jak źródło historyczne.

– Takiego chamstwa i bzdur, którymi popisała się „Gazeta Wyborcza”, nie jestem w stanie czytać i robi mi się po prostu smutno. Odnoszę wrażenie, że tu celem nie było analizowanie technicznej strony animacji, ale pisanie paszkwili i obrzydzenie opinii publicznej tego projektu. Chodzi o spowodowanie, by szkoły nie chodziły na ten film – podkreśla Anira Wojan. Słusznie zauważa, że te porównania zrodziły się w wyobraźni osób przyzwyczajonych do gładkich amerykańskich produkcji Pixara. A to z kolei dotyczy też budżetu, który był do dyspozycji twórców.

Film bowiem został zrealizowany bez państwowego mecenatu, wyłącznie z prywatnych funduszy. – Przeciętny budżet amerykańskiego filmu, który wchodzi do kin i jest animacją, to 200 mln dol. Nasz jest trzykrotnie mniejszy – wyjaśnia reżyser, która do współpracy nad tym projektem namówiła indyjskiego przyjaciela i partnera biznesowego Roya Su-

kankana. To on zajął się tak krytykowaną animacją. Tymczasem film zrobiony znacznie skromniejszymi środkami jest naprawdę niezły, choć być może trudno niektórym zrozumieć, że oglądając go, nie chodzi o palący skórę żar płonącego Rzymu, odczuwany ból przybijanych do krzyża czy pornograficzne obrazy z orgii w pałacu Nerona.

DOKĄD PÓJDIEMY?

Dobłą stroną polskiej wersji jest dubbing. Sienkiewiczowskim bohaterom używają głosów m.in.: Małgorzata Kożuchowska (Eunice), Michał Milowicz (Petroniusz), Michał Koterski (Neron) i Jarosław Boberek (Chilon). Sporo tu również muzyki w postaci specjalnie skomponowanych piosenek, które wykonują m.in.: Tomasz Szczepanik z zespołu Pectus, Neil Mukherjee, Dariusz Malejonek, Marcin i Lidia Pospieszalscy. Zrezygnowano jednak z powtórzenia mocno przemawiającej do widzów sceny odwołującej się do kończącej powieść pytania: „Quo Vadis, Domine?”. Przywoływało ono bowiem apokryficzną opowieść o apostołe Piotrze próbującym uciec z Rzymu przed czekającą go śmiercią i spotkaniu z podążającym w przeciwnym kierunku na ponowne ukrzyżowanie Jezusem. Zamiast tego mamy czarnego rapera Afu-Ra ubranego w koszulkę z jego wizerunkiem w roli anioła. To oczywiście nie zacierza przesłania stojącego za słynnym pytaniem, ale nieco wszystko banalizuje. Podczas premiery „Quo Vadis” Jerzego Kawalerowicza Jan Paweł II zwracał uwagę, że wciąż musimy wracać do dramatu, który rozgrywał się w duszach ówczesnych ludzi, związanego z lękiem, pragnieniem wierności aż po śmierć, poczuciem osamotnienia wobec bezdusznej nienawiści i okrucieństwa, a jednocześnie był doświadczeniem mocy płynącej z niewidzialnej obecności Boga. Także ta animacja powraca do tego dramatu. 

Początek końca postępów postępu

Amerykańskie wybory prezydenckie to jedna z ważniejszych bitew toczącej się na Zachodzie wojny kulturowej, a Donald Trump jest najwyrazistszym przywódcą zdroworozsądkowej strony tego konfliktu wartości. I odniósł właśnie ważne zwycięstwo.

Lewicowa inżynieria społeczna od pewnego czasu ponosi klęskę za klęską. Po wyroku Sądu Najwyższego USA z 2022 r. dziś, po 49 latach, w wielu amerykańskich stanach życie nienarodzonych jest ponownie realnie chronione przez prawo. Przyszłość społeczeństw nie jest zdeterminowana, głoszenie nieuchronności postępów postępu to tylko marksistowski chwyt perswazyjny. Przez wiele lat skuteczny i dalej stosowany. Dziś środowiska LGBT+ walczące w Polsce o zrównanie związków homoseksualnych z małżeństwem mężczyzny i kobiety dalej posługują się właśnie takim niby-argumentem, że polskie państwo musi się dostosować do międzynarodowych standardów, bo w 30 krajach na świecie związki jedнопłciowe mogą adoptować dzieci. Ale czy z tego wynika, że te rozstrzygnięcia prawne są społecznie pozytywne? Lobotomia była legalna od lat 30. XX w., w 1949 r. nagrodzono nawet jej propagatorów i praktyków Nagrodą Nobla. Czy to oznacza, że była terapią? Była barbarzyństwem akceptowanym przez lekarzy. Kilka lat temu Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne wycofało się z określania pedofilii jako choroby. Po kilku miesiącach musiało odstąpić od tego szaleństwa pod wpływem krytyki naukowej i presji społecznej. W klinikach Wielkiej Brytanii od 1989 r. dokonywano operacyjnych i hormonalnych okaleczeń nawet trzyletnich dzieci. Kilkanaście miesięcy temu w Anglii radykalnie ograniczono możliwość „tranzykcji płciowej” u osób nieletnich.

Rewolucja kulturowa traci rozpęd. Ze sponsorowania organizacji LGBT+ wycofują się kolejne globalne korporacje. Pęka front medialny. Ostatnio ze wspierania woke wycofał się „The New York Times”. Rozsądek wraca również do wymiaru sprawiedliwości. Phoebe Plummer z ruchu Just Stop Oil została właśnie skazana na dwa lata więzienia za wylanie zupy na obraz Van Gogha.

W USA mechanizm celebryckiego zarządzania emocjami wyborców poniósł klęskę. Demos zerwał się ze smyczy. Proletariat, niższa klasa średnia, ludzie żyjący poza dysfunkcyjnymi, wielkimi aglomeracjami dali w zęby pseudoliberalnemu systemowi. Ludzie mają dość masowych migracji, przemocy mediów, dyktatu wielkich korporacji, kneblowania wolności słowa, agresywnej tęczowej ideologii i obniżania poziomu życia z powodu quasi-ekologicznych urojeń. Oszłomienie wywołane masową, agresywną propagandą mija, rodzi się gniew, ludzie widzą, że niszczy się im normalny świat. Trump zdołał przekuć ten gniew w skuteczne polityczne narzędzie. A najwyrazistszym symbolem otrzeźwienia Amerykanów jest dla mnie sojusz tworzącego kosmiczne technologie Elona Muska z amiszami.

Ale wojna o wolność i przyszłość naszej cywilizacji toczy się nie tylko na froncie wewnętrznym.

Rosja nie prowadzi wojny z Ukrainą – Rosja prowadzi wojnę cywilizacyjną z Zachodem. Taką samą wojnę prowadzą Chiny, chcące znów być pępkiem świata, Państwem Środka, i robią wszystko, by osiągnąć globalną dominację.

Trump nie jest bohaterem mojej bajki, ale Zachód bez silnego przywództwa, z umalowanymi generałami w sukienkach jest skazany na zagładę.

O ostateczną władzę walczą dziś również intelektualni spadkobiercy Spinellego i Gramsciego, transhumanści,



ROBERT TEKIELI

piewcy ideału Ziemi bez pasożytów – ludzi. Każdy z nich, Schwab, Soros czy Gates, ma własną wizję świata, w której jesteśmy robactwem jedzącym robaki, a oni zachowują kontrolę. Potrzebują tylko więcej władzy, bo rzeczywistość wymyka się im z rąk wyciągniętych po globalny rząd dusz.

Uwielbiam tak piękne umysły. Są jak zastygłe w żywicy oświeceniowe jaszczurki. Rozumieją rzeczywistość na swój prosty, prymitywny sposób i czują się bezpieczni w świecie, który wystarczy wyedukować, by spełniał ich standardy. Nawet 200 lat nieudanych prób nie zdołało ich otrzeźwić. Kolejne rewolucje, francuska, meksykańska, bolszewicka i chińska, złożyły na ołtarzu rozumu i chcińskich, 100 mln ludzi. I co? I nic. Na szczęście w długim planie nie są w stanie funkcjonować elity niezdolne do samokontroli.

Ludzka natura została skażona pierwotną wadą. Sama w sobie nie jest z definicji dobra. Życie musi być wysiłkiem wybierania miłości, co oznacza indywidualną walkę z egoizmem, z wewnętrznym cieniem.

Nowy, wspaniały świat na ziemi byłiby w stanie stworzyć tylko święci, a nie socjopaci z sumiastymi wąsami, syfilitycy z mauzoleów, pogromcy wróbli czy wyznawcy Matki Gai. Jak mawiał Twain, człowiek jest jedynym zwierzęciem, które się rumieni. I w tym nadzieja. I tego się trzymamy.

Może być „*Czas skrytobójców*” to pierwsza część trylogii R.J. Barkera zatytułowanej „Okaleczone królestwo”. Solidne fantasy, historia rozgrywająca się w skrzywdzonej przez nadużywających swej mocy magów krainie pełnej głodu, nieufności i lęku, gdzie oznaką statusu są wplatane we włosy ozdoby z suszonego chleba. Narratorem jest były niewolnik Girtan Kulawiec, czeladnik skrytobójca, niepozorny nastolatek, chuderlawy i obdarzony szpotawą stopą. Jego mistrz to Merela Karn, najlepsza skrytobójczyni królestwa, aktorka i akrobatka, ukrywająca się w przebraniu Błazna Śmierci. Ktoś usiłuje zamordować następcę tronu, a nasi bohaterowie zostają zmuszeni, by rozwiązać zagadkę i powstrzymać zabójców. Mamy tu motyw przeznaczenia, pierwszą miłość, nawiązujące się przyjaźnie, prześladowania przez rówieśników, rogate konie... Kraj stoi na krawędzi wojny domowej, zaczynają się pojawiać eksterminowani wcześniej magowie, akcja toczy się niespiesznie, ale intryga jest wciągająca, więc fani takich klimatów będą mieli całkiem dobrą zabawę.



Warte Najnowsza książka Andrzeja Pilipiuka to zbiór pięciu opowiadań zatytułowany „*Czasy, które nadejdą*”. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza autor opublikował ponad 60 tomów prozy i opowiadań. Stałymi cyklami są historie o Robercie Stormie, współcześnie żyjącym poszukiwaczu antyków z zacięciem detektywistycznym, oraz o Pawle Skórzewskim, polskim lekarzu i podróżniku. Historię jego spotkania z umierającym genialnym chemikiem opowiada jedna z dwóch najlepszych nowel z tego tomu zatytułowana „Remedium”. Doskonała proza osadzona w realiach carskiej Rosji lat 70. i 80. XIX w. Nie do pozazdroszczenia są perypetie ludzi chorych w przednaukowych czasach, odrobinę alternatywna rzeczywistość, ale gęsta od historycznego konkrety, z wciągającą intrygą i zapadającymi w pamięć postaciami, choć pointy można się domyślić. Podobnie świetne jest tytułowe opowiadanie science fiction. Współczesna Polska i podróż w czasie. Pilipiuk w dobrej formie. Polecam.

Może być Amerykański pisarz fantasy Rick Riordan znany najszerzej widowni z cyklu o Percy Jacksonie i bogach olimpijskich tworzy również inne, popkulturowo zdystansowane serie fantasy, w tym cykl, którego bohaterami są nastoletni Magnus Chase i bogowie Asgardu. Tom „*Miecz lata*” podobnie jak cykl olimpijski charakteryzuje się swobodnym i powierzchownym podejściem do mitologii, tu nordyckich. Na szczęście Riordan tworzy tak wyraziste postacie i historie, że zapadają w pamięć, więc lektura jego książek nie boli.

Na przeciwnym biegunie literackim znalazłem opublikowane w ub.r. kolejne polskie wydanie głośnej w latach 60. powieści science fiction Clifforda D. Simaka „*Stacja pośrednia*”. Pomysł wyjściowy jest świetny, akcja, gdy przyspiesza – zajmująca, jednak

jednocześnie mamy tu płaski manifest antywojenny płynący na płytkiej fali ówczesnych antyzimnowojennych protestów oraz koncept do cna wytarty w swym oświeceniowym patosie. Ludzkość jawi się jako głupiotka, kosmiczni goście przewyższają nas pod każdym względem: „Obawiam się, że przybyli za wcześnie. Za wcześnie dla naszego gatunku. Jeszcze nie dorośliśmy. Jesteśmy za młodzi” – proszę się jednak nie niepokoić, być może okazemy się gatunkiem wartym uratowania. Poza wątkiem gnostyckim – duchowość istnieje, ale religia nie wymaga wiary, jest wiedzą – autor snuje naiwne rozważania na temat ludzkiej natury, czyniąc wybawicielką wszechświata osobę głuchoniemą, której nie uformowała ludzka kultura. Trudno mi zrozumieć, jak w XXI w. na poważnie można formułować taką opozycję: dobra natura – zła kultura, ale powieść Simaka ma własny, niepowtarzalny klimat i można ją spokojnie przeczytać w kilka coraz dłuższych wieczorów.

Robert Tekieli
Polskie Radio



Elegia pana Smitha



Robert Smith wyznał, że przez wiele lat, szczególnie wtedy, gdy był młody i pogubiony w zakamarkach dorosłego życia, romantyzował temat śmierci i traktował jak wiele innych. „Nie ma znaczenia, czy wszyscy umrzemy” – wykrzyczał w 1982 r. Dziś, po przekroczeniu sześćdziesiątki, mierzy się z nim twarzą w twarz. Po stracie rodziców i brata, po tym, gdy uświadomił sobie realną bliskość śmierci, lamentując w „I Can Never Say Goodbye” nad „czymś złym, co przyszło ukraść życie jego bratu”.

Nowa płyta słynnego brytyjskiego zespołu The Cure pojawiła się po kilkunastu latach od poprzedniej, będąc dziełem dopracowanym, naprawdę szczerym i wręcz majestatycznie elegijnym. Smith jako wokalista powraca w doskonałej formie, jako gitarzysta i autor tekstów wciąż pozostaje symbolem i jedynym stałym członkiem zespołu, a obok niego długoletni basista Simon Gallup. Długo nie było pewne, czy płyta w ogóle się ukaże, choć na trwających po trzy godziny koncertach prezentowano nowe piosenki, dając nadzieję na możliwość ich wysłuchania w domowym zaciszu. A samemu Smithowi ich wykonywanie miało pomóc uporać się z zalem po stracie bliskich. Muzyka na tej płycie to esencja klasycznego The Cure – tego zawartego w „Disintegration” (1989), „Wish” (1992) i oczywiście całym dziedzictwie lat 80., które tak ujęło publikę szukającą w rocku czegoś więcej niż zgielku i agresji lub dostarczyciela łatwych i gwałtownych emocji. Choć nigdy nie była to muzyka łatwa i cikliwa, a często mroczna. „Pieśni zaginionego świata” to dawka kojącej melancholii generowanej ostrą gitarową przestrzenią, dołującym basem i pastelami syntezatorowych barw czy dźwiękami fortepianu. Album otwiera tak właśnie zaaranżowane „Alone”. „To jest koniec każdej piosenki, którą śpiewamy, ogień wypalił się na popiół, a gwiazdy przygasty od łez”; siedmiominutowy cios, inspirowany wierszem wiktoriańskiego poety Ernesta Dowsona, zostaje skierowany wprost w serca słuchających. Rozpacz i smutek, przemijanie i zwątpienie, nadchodząca starość i poczucie straty wyzierają z każdego w tych utworów. „Nic nie możesz zrobić, aby zmienić koniec” („A Fragile Thing”) – każdy, kto przeżył stratę najbliższych, wie o tym doskonale. Któryś z recenzentów napisał jednak, że czerń staje się kolorowa, gdy na grobie najbliższych widzimy kwiaty. O tak!

The Cure, „Songs of a Lost World”, Universal 2024

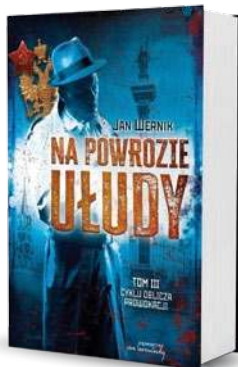


Maciej Walaszczyk

Doskonały kłamca umiejętnie miesza prawdę z fałszem. Czytając tę książkę, czujemy smak tytoniu Hercegowina Flor, poruszamy się po salach pełnych zwierciadeł, prowadzących nie wiadomo dokąd korytarzy, słuchamy podszeptów fałszywych przewodników.

To kolejna beletryzowana powieść Jana Wernika na temat rosyjskich operacji dezinformacyjnych, którą spleta z pierwszą pt. „Syk węża”, w której opowiadał o mistyfikacji carskiej ochrony, która po stłumieniu powstania styczniowego dokumentnie sparaliżowała i zinfiltrowała konspiracyjne komórki polskiej emigracji. To jakby pierwowzór opisanego tu „Trustu”, który do dziś jest uznawany za matrycę rosyjskich operacji dezinformacyjnych. To też paradoks odsłaniający pewną ciągłość między imperium carów a Rosją bolszewików. Powstańcą konspirację wywiódł w pole carski gen. Trepow, policmajster Królestwa Polskiego, potem postrzelony przez Wierę Zasulicz, rewolucjonistkę związaną z mieniszewikami, która stała się przeciwniczką frakcji Lenina. Ale po przewrocie to oni zdobyli władzę w Rosji, a struktury, agenturę i metody carskiej policji przejęła Czecha kierowana przez polskiego szlachcica Feliksa Dzierżyńskiego. To on wraz z Wiaczesławem Mienżynskim, także czekistą polskiego i szla-

Opowieść o kłamstwie



checkiego pochodzenia, uknuł i wprowadził w ruch gigantyczny mechanizm dezinformacji. Koordynowali go dwaj inni przewerbowani przez Czecha Polacy – to byli „dwójkarze” i peowiacy, Ignacy Sosnowski vel Dobrzyński i Wiktor Steckiewicz. Pierwszy był odpowiedzialny za działania

przeciwko białym, drugi za zwalczanie zachodnich wywiadów. Po co?

W 1921 r., tuż po klęsce w wojnie z Polską, państwo bolszewików stanęło na granicy kompletnego załamania. Musiało okrzepnąć i odsunąć możliwość ataku ze strony Zachodu. Jednocześnie biała emigracja, wierząc w schyłek komunistycznego eksperymentu, była w stanie również uwierzyć w siłę wielkiej, zakonspirowanej organizacji monarchistycznej (MOCR) w samej Rosji i pokładać w niej wszelkie nadzieje. Nie mając możliwości żadnej weryfikacji. Fikcja miesza się z prawdą, a tak sporządzona trucizna infekuje zachodnie wywiady, w tym polski, oraz monarchistyczną opozycję. Wszyscy uwierzyli w miraż. Jak mówi jeden z bohaterów, weszli na płynącą po Dnieprze łódź, z której pozwolono im oglądać sielski obraz życia podanych księcia Potiomkina.

Jan Wernik, „Na powrozie uludy”,
Wydawnictwo Von Borowiecky 2023

„Faust” w rupieciarni symboli

Zamiast alchemii – nadmiar masek, symboli i naciąganych aluzji. Za mało Goethego, a za dużo kiepskiej teologii wprost z „Tygodnika Powszechnego”. Może tak wyglądają ruiny europejskiej kultury?



Wobec najnowszej inscenizacji „Fausta” trudno przejść bez komentarza. Jest wystawiany rzadko, będąc pod każdym względem dużym przedsięwzięciem, a do tego wielkim polem do interpretacji. Umieszczony w „Prologu w Niebie” słynnego dzieła Goethego zakład Mefistofelesa z Bogiem o duszę Fausta, alchemika i znudzonego życiem naukowca, w tej scenicznej wizji ukazuje karykaturalnego Hitlera, w domyśle wcielone zło, i takiego już chorego Jana Pawła II, mającego dla przeciwwagi pewnie symbolizować kruchą bożą dobroć. Brzmi kiczowato i taki efekt wywołuje na scenie, demaskując zamierzenia oraz wyobrażenia autorów. Tak zaczyna się trwający niemal cztery godziny „Faust” w reżyserii Wojciecha Farugi, który niedawno wszedł na afisz Teatru Narodowego. To on wraz z dramaturg Julią Holewińską mają pokierować Teatrem Dramatycznym po ekscesach z udziałem dyrektora Strzępki.

To oczywiście wersja skrócona. Jeśli ktoś na czas zaopatrzy się w program spektaklu, znajdzie w nim ciekawy esej autorstwa Tomasza Kubikowskiego. Przypomniano w nim, że w 2000 r. wystawiono „Fausta” w całości, gdy spektakl trwał 22 godziny, że Goethe pisał go 60 lat, zaczynał jako chłopiec, a pozostawił niedokończony jako 80-letni starzec. W tym czasie zmienił się świat, nastąpił skok technologiczny, mały miejsce polityczne, społeczne oraz kulturowe przewroty wywołane rewolucją francuską. „Faust” jest kolekcją „wrażeń, doświadczeń, lęków, nadziei ze wszystkich etapów jego wędrówki”. Poprzedza go zaś historia biblijnego Szymona Maga, gnostyków oraz alchemików utrwalonych w literaturze i ludowej pamięci. Po nim znów pojawił się m.in. Spengler z „człowiekiem faustycznym” – symbolem nowożytnego Europejczyka poszerzającego granice swojego świata aż do samozniszczenia, aż po postać obsadzonego w roli współczesnego Fausta fizyka Stephena Hawkinga, która zresztą upchana i tutaj zamyka cały spektakl.

„Faust” z Narodowego próbuje nie tyle posiąść wiedzę o wszystkim, ile uporządkować chaotyczną rzeczywistość, objąć rozumem natłok informacji i danych. Ten nadmiar przerasta każdego z nas.

Jego peregrynacja po dziejach zachodniej cywilizacji odbywa się w górach, w okowach topniejącego lodowca, także symbolu współczesności. Goethe pozostawił wielkie pole do interpretacji swojego dzieła, zapełnione odniesieniami do różnych stylów, epok, kontekstów filozoficznych i historycznych, zbudowanego z licznych szkatulek, a w tym przypadku walizek zawierających metafory najważniejszych wydarzeń (nawiązanie do walizek Petera Greenawaya). Z takiej strategii, użytej zresztą bardzo podstępnie i z premedytacją, skorzystali Faruga i Holewińska, ustawiając się w tym szeregu interpretatorów i chcąc pokazać nam faustyczny świat jako sumę doświadczeń XX w. z triumfem techniki, wojnami, motywowanymi ideologicznie zbrodniami.

Niestety znakomite wprowadzenie Kubikowskiego nie wystarczy, by udźwignąć ciężar symbolicznej rekwizytorni, a raczej gracji, którą autorzy fundują widzowi. Z niezrozumiałych powodów Cesarzem staje się tu noszony w lekturze papież Pius XII z tiarą na głowie, jak królik z kapelusza wyskakuje postać Wałęsy i już nie wiem, czy w roli błazna, czy *vox populi*. Figura Mefistofelesa rozpada się m.in. na Hitlera, Charliego Chaplina, starszą kobietę przypominającą królową Elżbietę czy Andy’ego Warhola, tracąc swój demoniczny pozór. W zamyśle autorów taka jest właśnie nasza rzeczywistość, pokawałkowana na znane wszystkim medialne obrazy i historyczne wycinki. A to, co pokazał nam Goethe, ubierając w znane sobie i rozpoznawalne przez współczesnych kostiumy, powraca do nas pod nowymi postaciami. Chyba jednak nasi interpretatorzy też zawarli jakiś nieczysty pakt, uznając, że mogą robić z tym tekstem, co im się podoba. Zamiast interpretacyjnej alchemii dostajemy czkawki od ideologicznych syntetyków, np. rozliczeń feminizmu z patriarchatem i naciąganych aluzji. W końcu mało Goethego, a za dużo Farugi i Holewińskiej podlanych kiepską teologią z „Tygodnika Powszechnego” o przyczynie zła w świecie. Ale może tak wygląda świat po śmierci „człowieka faustycznego” – jako rupieciarnia w ruinach europejskiej kultury?

J.W. Goethe, „Faust”, reżyseria Wojciech Faruga, dramaturgia Julia Holewińska, Teatr Narodowy w Warszawie

Kochanie, przyjadę trochę później z Krakowa, bo dziś nie ma już biletów na samolot ani pociąg do Gdańska. – To jak chcesz wrócić? – Najkorzystniej jest przez Pizę, ale wtedy muszę przenocować w Montecarlo... – Co ty chrzanisz? – spytała moja wzburzona żona



PIOTR OSTROWSKI



Niesamowicie przypadkowa podróż

To wcale nie był głupi żart. Po prostu bilety lotnicze z Krakowa do Pizy i stamtąd do Gdańska są tanie – za każdy lot 30–50 euro. Problem w tym, że by upolować taki bilet, trzeba być trochę elastycznym i np. poczekać w Pizie 1–2 dni na najtańsze połączenia. Wtedy zaś musimy znaleźć tani nocleg. Tak się składa, że 35 km od lotniska leży niewielka i piękna miejscowość – Montecarlo. Nie, to nie Monte Carlo w Monako, lecz Montecarlo di Toscana w północnej Toskanii z własną winną apelacją.

Tak więc dwudniowy wyjazd biznesowy z Gdańska do Krakowa wydłużył się o weekend we Włoszech. I to jaki! Był czwec i w dniu naszego przyjazdu – a byłem z dwoma kompanami – właśnie rozpoczął się coroczny festiwal wina. Trwa do końca sierpnia i kończy się wielkim festynem po winobraniu. I jak tu nie skorzystać z takiej okazji? Kłopot w tym, że ta przypadkowa podróż nie spodobała się naszym żonom.

PRZESIADKA W TOSKANII

Samolot z Krakowa przylatuje do Pizy późnym popołudniem. Przesiadka na lot do Gdańska dopiero za dwa dni. Jedziemy zatem do pensjonatu pięknym, winnym szlakiem Strada del Vino, przez Lukkę do Montecarlo. Na miejscu, w środku śred-

niowiecznego kamiennego grodu, czeka na nas w drzwiach gospodyni.

– Buonasera signori! – wita nas rozweselona wcześniejszą degustacją win właścicielka gościnnia Antica Dimora Patrizia. – Buonasera Patrizia! – odpowiadam. – O nie, Patrizia to nazwa na cześć naszej praciutki. Ja mam na imię Francesca – śmieje się spadkobierczyni domu z XIV w. wsamym centrum Montecarlo. – Zostawcie bagaże i lećcie szybko na festyn – zachęca.

Święto wina w tej gminie jak co roku trwa całe wakacje, ale tylko w weekendy, bo nawet Toskańczycy muszą przecież kiedyś pracować. A mają co robić. Turystyczna gmina Montecarlo w prowincji Lukka jest otoczona winnicami i gajami oliwnymi. Zsangiovese powstaje tu słynne chianti, ale miejscowi uprawiają także syrah, merlota i cabernet sauvignon oraz białe odmiany – vermentino, falanghine, trebbiano, pinot grigio i malvasie. Z chardonnay powstaje tu tejsze frizzante. Warto być przygotowanym na to, że musujące, wytrawne wino podają tu już do śniadania.

Do naszej pierwszej kolacji serwowano wprawdzie wina czerwone – miejscowe, stołowe, ale wysokiej jakości. Zjedliśmy toskańskie specjały: pizzę, risotto z grzybami, penne z wędzonym serem,



boczek i cukinią. Całe Montecarlo świętowało rozpoczęcie winnego sezonu. Uliczkami starówki maszerowały zespoły bębniarzy i kuglarzy. Mieszkańcy, przebrani w średniowieczne stroje, przygotowali pokaz rzemiosł i rycerskich sprawności, a wino lało się do świtu. Nazajutrz od rana znów to samo. Właściciel bistro podaje kieliszek białego wina zaraz po cappuccino. W końcu to święto wina!

Już drugiego dnia kumplujemy się z gospodarzami, restauratorami i hotelarzami. Wszyscy się tu znają i wspólnie tworzą niemal rodzinną atmosferę. W Montecarlo zaś najważniejszy jest turysta. Sklep spożywczy na głównej ulicy – via Roma – to centrum spotkań i pogawędek. Tutaj sprzedaje i rządzi Hilaria, przemila i rubasna właścicielka delikatesów.

– Skąd jesteście? Z Polski? To wam zaśpiewam! – I raczy nas piękną, ludową pieśnią. Na drugie śniadanie kupujemy u niej cieniutko pokrojone tokańskie salami, prosciutto i świeżo upieczoną ciabattę. – Weźcie też butelkę lokalnego wina! – woła Hilaria i gestem zaprasza do stołu przed sklepem. A gdy siadamy, zanim zdążyłem odpowiedzieć, ona już sięga po korkociąg, śpiewa, podaje szklaneczki i otwiera wino. Jak u cioci na imieninach. Śmiejemy się, zajadamy lokalnymi specjami i pijemy tutejszego merlota.

CESARZ I ELA ZE SŁUPSKA

Niewielkie Montecarlo, które wraz z przyległościami liczy 4 tys. mieszkańców, to śred-



niowieczne grodzisko, a właściwie forteca z podzamczem pełnym wąskich uliczek. Nie ma tu ani jednego nowego budynku. Dawna twierdza z murami i bramami zachowała się od XIV w. w niemal idealnym stanie. A jaką ma historię! Zamek jako graniczny bastion wybudował w 1333 r. cesarz Karol IV Luksemburczyk, ulubieniec i wychowanek papieża Klemensa VI. Uczynił to na prośbę Kościoła przeciw władcy Florencji, który napadał i grabił okolice. Właśnie od imienia cesarza fortecy nadano nazwę Montecarlo. Ów Karol to nie kto inny, jak słynny niemieckojęzyczny, a urodzony w Pradze Czech, od którego imienia pochodzą także nazwy praskiego mostu i uniwersytetu. Karol IV był wielkim przyjacielem naszego króla Kazimierza Wielkiego, a potem także jego zięciem. Gdy powstawała tokańska twierdza, jego przyszła, czwarta żona jeszcze się nie urodziła. Elżbieta Pomorska z rodu Gryfitów była wnuczką Kazimierza Wielkiego i siostrą Kaźka Słupskiego, który miał być następcą polskiego tronu. Młody słupszczanin zginął jednak na wojnie. Wówczas dwór postanowił dobrze wydać za mąż jego siostrę Elżbietę. Młoda księżniczka powędrowała ze Słupska do dziadka i babci na Wawel. Tam poznała



cesarza Karola i wkrótce została jego żoną, zresztą ostatnią. Cesarzowa Elżbieta Pomorska mieszkała w Rzymie i uwielbiała wyprawy do Toskanii. W twierdzy Montecarlo wykuto na jej cześć herb Gryfitów, widoczny do dziś. Czyli my, Pomorzanie, jesteśmy tu u siebie. Gdy opowiadamy tę historię naszej gospodyni, ta odwdzięcza się legendami z życia jej rodziny. Kamienica Patrizia, która przypomina dwór, ma dwukondygnacyjną piwnicę na wino i sieć podziemnych korytarzy. Jeden z nich prowadzi do piwnic kościoła św. Barbary, inny wprost do zamku, ale obecnie jest zamurowany. Zarówno w oddalonej o kilkaset metrów twierdzy, jak i w naszej kamienicy mieszkają potomkowie rodów z XIV w.

– Od zawsze uprawialiśmy wino i nim handlowaliśmy. Dziś nie mamy już znaczących winnic, ale nadal sprzedajemy wino. Jesteśmy eksporterami tutejszego chianti, które skupujemy i wysyłamy w świat, głównie do USA – opowiada Francesca, której mąż jest Amerykaninem. – Przy okazji otworzyliśmy pensjonat, bo jak widzicie, dom jest bardzo duży i trzeba go utrzymać. Ja zajmuję się turystami, a mąż sprzedaje wina.

W podziemiach pensjonatu jest studnia sprzed 500 lat, ogromny skład wina i sala degustacyjna udekorowana narzędziami winiarskimi. Wszystko to robi wielkie wrażenie.

– Prowadziliśmy także restaurację, ale pandemia doprowadziła ją do upadku. Postanowiliśmy, że nie będziemy już inwestować w gastronomię i skupimy się na handlu – wyjaśnia Francesca, oprowadzając nas po podziemiach swego domu. A potem zaprasza na białe, chłodne terbbiano z niewielkiej, ale własnej winnicy. Siedzimy w dwustumetrowym salonie. Stylowe, wiekowe meble, fortepian, obrazy przodków, ogromny kominek i średniowieczna terakota na podłogach. Sceneria niemal filmowa.

WINNICE, WIEŻE I PUCCINI

Pora zwiedzić okolicę. Gospodyni mówi, żebyśmy nie tarabanili się autobusami. Da nam auto z kierowcą, który zawiezie nas do zabytkowej Lukki, do winnic i gdzie tylko zechcemy – mamy cały dzień, a zapłacimy tylko 60 euro, zatem na trzech to niewiele. Podjeżdża nasze taxi, a za kierowcą wiekowy pan. – Wygląda na jakieś 85–90 lat – mówię trochę zaniepokojony do moich kompanów. Dobrze, że wypiliśmy

po śniadaniu po dwa frizzante. Ale gdy ruszamy, okazuje się, że staruszek jest sprawnym kierowcą, a prywatnie wujkiem naszej Franceski. Do Lukki mamy tylko 15 km, a po drodze widzimy przepiękne winnice. Krajobraz łączy tokański, ale tu, na północy winiarskiego regionu, pejzaż jest jeszcze bardziej fascynujący, ponieważ w oddali snują się pasma Alp.

Robimy postój w osadzie Stefanini. Dokład wzrok sięga ciągnie się winnica Tenuta del Buonamico. Chce się tu być już dla samej nazwy! To prawie 100 ha upraw, a szyld Ristorante Syrah zdradza, jaki szczep najbardziej lubią właściciele. Oprócz gastronomii jest tu pensjonat i sklep z winami. Tylko ta winnica produkuje rocznie aż 350 tys. butelek wina. Robimy zdjęcia i ruszamy dalej, do zabytkowego miasta.

Lukka powstała ponad 2 tys. lat temu, jeszcze przez przybyciem Rzymian. Osadę zbudowali Etruskowie i jest to najdalej na północ wysunięte miasto ich dawnego imperium. Dziś liczy prawie 90 tys. mieszkańców i jest stolicą prowincji. Stała się sławna dzięki zabytkowej starówce, którą okala zachowany kompletnie mur o długości 4 km. W mieście było niegdyś 130 kamiennych i ceglanych wież, a do dziś zachowało się 11 o różnej wysokości – od 40 do ponad 60 m. Na kilka z nich można się wspiąć, kupując bilet za 5 euro.

Najsłynniejsza jest wieża Guinigi porośnięta drzewami na szczycie. Zbudowała ją rodzina tokańskich bankierów. Podobnie jak w San Gimignano czy Bolonii, wieże obserwacyjne były i są świadectwem potęgi i sukcesu budowniczych. Każdy znaczący ród chciał się wyróżnić okazałą budowlą przylegającą do jego domu. W mieście zachowało się kilkaset pałaców – gotyckich, renesansowych i barokowych. Ulice starówki kuliście otaczają niezwykle rynek miejski – Piazza dell'Anfiteatro, którego nazwa odsłania historyczną tajemnicę. Otóż Rzymianie zbudowali w tym miejscu owalne koloseum, na jego fundamentach zaś powstały kamienice otaczające główny plac Lukki. Wygląda on imponująco szczególnie z góry. Na starym mieście jest ponad 20 kościołów. Katedra San Martino ma podwaliny z VI w., ale jej dzisiejszy kształt nadano w XIV w. W pobliskim kościele św. Frediana spoczywa św. Zyta, patronka służących i ubogich dziewcząt. Jej ciało z mumifikowało się w naturalny sposób i dziś można je oglądać w szklanym sarko-



fagu. Katolicy przypisują św. Zycie liczne cuda, dlatego przybywają tu wierni z całego świata. Zresztą turyści oblegają miasto przez cały rok. Funkcjonuje tu wiele hoteli i pensjonatów, barów i sklepów z tokańskimi winami. Jest to także miasto melomanów, rozślawione przez jednego z najwybitniejszych kompozytorów. To miasto rodzinne Giacomo Pucciniego, który stworzył m.in. tak znane opery, jak „Cyganeria”, „Tosca”, „Madame Butterfly” czy „Turandot”.

– Puccini, który żył w XIX w., jest chlubą naszego miasta. Wszystkie jego opery miały premiery w słynnej La Scali, a dziś są wystawiane na całym świecie. Na Corte San Lorenzo, w jego rodzinnym domu, urządziliśmy muzeum. Jego imię noszą szkoły, festiwale, instytucje i różne wydarzenia – wyjaśnia Maria, lokalna przewodniczka, która właśnie oprowadza grupę młodzieży.

Siadamy w Rokko's Ristorante na rynku. – Terrina z dzika na przekąskę? – pyta kelner. – Jasne! To tutejszy pasztet z galaretką – zmielone mięso, nie pieczone, lecz duszone z dodatkiem warzyw, grzybów i tokańskich przypraw. Potem ravioli z mąki kasztanowej nadziewane pecorino z dodatkami. Koledzy jak zwykle jedzą pizzę di bufala. Popijam chłodną malvasię, ale moi kompani podróży mają dość wina i zamawiają lokalną specjalność. Aperol z limoncello, czyli wino musujące z cytrynowym likierem, a może z czymś jeszcze, bo po tym drinku są nadzwyczaj orzeźwieni. Pora wracać do Montecarlo – tam przecież trwa winny festyn.

KWIATY CUKINII I WINO

Nazajutrz rano wychodzimy przed pensjonat, a tu kłębowski kotów. Elegancka

wiekowa donna karmi stado, wzywając każdego zwierzątko po imieniu. – Gatto fortunato! – wołam do starszej pani, widząc tak szczęśliwe koty. Ona równie szczęśliwa zaczyna opowieść o tutejszych zwierzątkach, które podobno uwielbiają mieszkańcy. Karmi je codziennie i leczy, kiedy trzeba. Są bardzo zadbane, niektóre z lekką nadwagą, choć wszystkie jakoby bezdomne. Ale właściwie mają dom, czyli całą tę starówkę.

Dziś po południu po trzech dniach my też musimy wreszcie pojawić się w domu i jakoś wytłumaczyć żonom, dlaczego byliśmy „zmuszeni” wracać z Krakowa do Gdańska przez Pizę z noclegiem w Montecarlo. Po prostu wybraliśmy najtańsze bilety lotnicze i to się opłacało! A całe to święto wina? To tylko niesamowity przypadek. Chyba potrafią to zrozumieć?

Tuż przed wyjazdem na lotnisko idziemy po zakupy do alimentare – spożywczaka u Hilarii. Gdy opowiadamy jej o złożoności naszej sytuacji, od razu mówi, co należy zrobić. – Kupicie u mnie najlepsze wina dla żon. Do tego zapakuję wam po bukietach kwitnących cukinii. Są niedrogie, piękne i oczywiście jadalne. Z tych żółtych kwiatów zrobicie w domu pyszne jedzenie: makaron ze smażonymi kwiatami cukinii, ricottą i szynką i na to sypniecie nasze pecorino. Też ma bardzo dobrą cenę. – Palce lizać! – woła Hilaria, której wykładu o tym, jak należy załagodzić domową sytuację, wysłuchało kilka pań stojących w kolejce. – Si, si, cucina e vino! – potakują roześmiane donny. A wesółka Hilaria wciska nam zakupy, kasuje należność i zaczyna śpiewać, obsługując kolejnych klientów.

Nowa encyklika Franciszka

„Dilexit nos. O miłości ludzkiej i Bożej Serca Jezusa Chrystusa” to tytuł najnowszej encykliki papieża Franciszka nawiązującej do bardzo tradycyjnych i sprawdzonych nurtów pobożności. Trudno znaleźć w niej treści, których odbiór mógłby być kontrowersyjny i zapewne dlatego tak dobrze jest przyjmowana przez wiernych

Każda istota ludzka jest stworzona dla miłości, aby kochać i być kochaną... Dlatego decydującym pytaniem, jest: czy mam serce?” – pisze Franciszek w „Dilexit nos”.

Dokument odwołuje się do podstawowych prawd życia duchowego i jest kluczem do zrozumienia nauczania obecnego papieża. Jak św. Jan Paweł II zachęcał do budowania cywilizacji miłości, tak Franciszek zachęca do zaufania Sercu Jezusa oraz do otwarcia się na moc Boga i przyjęcia jego łaski, która ukształtuje nasze serca na wzór Serca Jezusa.

Encyklika została zainspirowana obchodami 350. rocznicy objawień Najświętszego Serca Jezusa św. Małgorzacie Marii Alacoque. Franciszek przywołuje jednak bogatą historię kształtowania się nabożeństwa do Najświętszego Serca i przypomina, że jego fundamenty zostały położone znacznie wcześniej. Podąża w tym za myślą Benedykta XVI, który napisał, że „tajemnica miłości Boga do nas nie stanowi jedynie treści kultu i nabożeństwa do Serca Jezusowego, ale jest także treścią wszelkiej prawdziwej duchowości i pobożności chrześcijańskiej. Należy zatem podkreślić, że podstawy tego nabożeństwa są tak stare jak samo chrześcijaństwo”.

„Dilexit nos” wskazuje na głęboką potrzebę miłości i miłosierdzia w dzisiejszym świecie, bo kryzysowi, który obserwujemy, może zaradzić właśnie kontemplacja Najświętszego Serca Jezusa. To przesłanie skierowane do całego świata – aby w czasach pełnych napięć, niepewności i podziałów odnaleźć drogę do jedności, pokoju i miłości, których uosobieniem jest Chrystus.

Franciszek bardzo głęboko rozumie istotę popularnego nabożeństwa: „W nabożeństwie do Serca Chrystusa kontemplujemy i adorujemy Osobę Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, który stał się człowiekiem... Jest ono istotne dla naszego życia chrześcijańskiego, ponieważ oznacza pełne wiary i adoracji otwarcie na tajemnicę Bożej i ludzkiej miłości Pana, do tego stopnia, że możemy jeszcze raz stwierdzić, iż Najświętsze Serce jest syntezą Ewangelii”.

Papież odwołuje się do biblijnego znaczenia serca. Jest ono duchowym rdzeniem istoty ludzkiej, centrum pragnienia i miejscem, w którym kształtują się ważne decyzje. Nadaje znaczenie i kierunek wszystkiemu, czego doświadczają wszyscy z nas. „Serce umożliwia każdą autentyczną więź, ponieważ relacja, która nie jest budowana sercem, nie jest w stanie przezwyciężyć rozdrobnienia

indywidualizmu... Człowiek staje się sobą dopiero wtedy, gdy nabywa zdolność rozpoznawania drugiego i spotyka się z drugim, który jest w stanie rozpoznać i zaakceptować własną tożsamość...”.

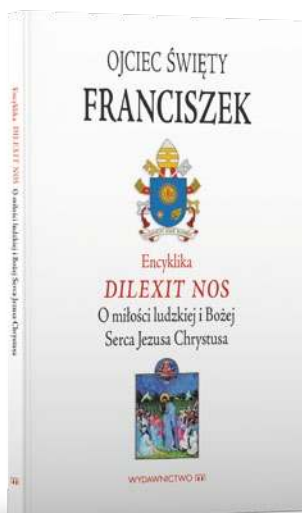
Pisząc o współczesnym świecie, Franciszek stawia bardzo trafne diagnozy: „Człowiek współczesny czuje się zagubiony, rozdarty, jakby pozbawiony wewnętrznej zasady, która tworzyłaby jedność i harmonię jego istnienia i działania. Niestety bardzo rozpowszechnione są wzorce zachowań, które przyznają przesadne znaczenie sferze racjonalno-technicznej lub – przeciwnie – sferze instynktów. [...] Dziś wszystko się kupuje i za wszystko się płaci i wydaje się, że samo znaczenie godności zależy od rzeczy, które można uzyskać dzięki sile pieniądza. Jesteśmy popychani jedynie do gromadzenia, konsumowania i rozrywki... Miłość Chrystusa jest poza trybami tego niegodziwego mechanizmu i tylko on może uwolnić nas od tej gorączki, w której nie ma już miejsca na bezinteresowną miłość. On jest w stanie dać tej ziemi serce i na nowo odkryć miłość tam, gdzie jak nam się wydaje, zdolność do kochania umarła na zawsze.

Św. Jan Paweł II mówił, że aby budować cywilizację miłości, dzisiejsza ludzkość potrzebuje Serca Chrystusa”.

Dokument jasno wskazuje, jak istotne znaczenie dla życia chrześcijańskiego ma bliska relacja z Sercem Jezusa. „Nie wystarczy znać Ewangelię lub mechanicznie wykonywać to, co ona nam nakazuje. Potrzebujemy pomocy Bożej miłości. Udajmy się do Serca Chrystusa, tego centrum Jego istoty, które jest gorącym ogniskiem miłości Bożej i ludzkiej oraz najwyższą pełnią, jaką może osiągnąć człowiek. [...] Św. Teresa od Dzieciątka Jezus [...] streszcza wszystko w zaufaniu jako najlepszej ofierze, miler Sercu Chrystusa... zwraca uwagę na walkę z formami duchowości zbyt skoncentrowanymi na ludzkim wysiłku, własnych zasługach, ofiarowywaniu wyrzeczeń, na określonych praktykach mających na celu »zasłużenie na niebo«. [...] Droga ćwiczeń św. Ignacego kończy się »kontemplacją [pomocną] do uzyskania miłości«, z której wypływa dziękczynienie i ofiarowanie »pamięci, rozumu i woli« Sercu, które jest źródłem i początkiem każdego dobra. Takie wewnętrzne poznanie Pana nie buduje się przez nasze zdolności i wysiłki, ale wyprasza się jako dar.

Zjednoczenie z Chrystusem ma na celu nie tylko ugaszenie własnego pragnienia, lecz także sprawia, że stajemy się źródłem ożywczej wody dla innych...”.

Piotr Stabek



MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI*

Wieczne Miasto od kuchni



Gdy na wielkim ekranie do dawnego rzymskiego imperium widzów zabiera Ridley Scott, przez współczesne Wieczne Miasto – z jego przeszłością i teraźniejszością, a także ponadczasowymi smakami – prowadzi czytelników Magdalena Wolińska-Riedi w kolejnej książce o metropolii bliżej jej od ponad dwóch dekad.

„Rzym można poznawać na liczne sposoby... Podążać szlakiem antycznych ruin, barokowych placów i fontann, kościołów i świątyni, którzy w Wiecznym Mieście pozostawili swój ślad. Ale można też wyruszyć w poszukiwaniu duszy miasta i jego mieszkańców, z której wypływa ich buńczuczny charakter i niepowtarzalna tożsamość, również ta kulinarna” – podkreśla autorka.

Na początek serwuje czytelnikom rozdział zatytułowany „La vita inizia dopo il caffè...”, czyli „Życie zaczyna się po kawie”. W kolejnym – „Antipasto. Zanim rozsiądziemy się na dobre”, przychodzi czas na przystawki. Znajdziemy wśród nich „jedną z najcudowniejszych przekąsek rzymskiej kuchni”, czyli zamknięte w gorącym cieście kwiaty kukurucznej, a także różne odsłony bruschetty.

„Ta współczesna, najpopularniejsza, czyli al pomodoro, pojawiła się znacznie później niż ta pierwotna, najczystsza w formie, którą spożywali na tych terenach już Etruskowie (!). Oni opieczony na węglach chleb polewali jedynie oliwą i jedli, póki jeszcze był gorący” – przypomina autorka, podając też własny przepis (drukujemy go obok).

Kulinarne rzymskie szlaki prowadzą w jej książce także do „Cesarzowej pasty”; „królowej włoskiej biesiady – pizzy oraz potraw mięsnych” nie tylko dla bogatych. Wśród tych ostatnich jest „kultowe danie ludowego Rzymu”: coda alla vaccinara (potrawka z ogona wołowego).

„Od zawsze podstawą rzymskiej gastronomii była kuchnia uboga, która wykorzystywała wszystko, co jadalne u zwierzęcia” – przypomina autorka. „I tak rozpowszechniła się słynna piąta ćwiartka, il quinto quarto, która cieszy rzymian i intryguje przyjezdnych. Obejmuje to, co ukryte: żołądek, wątróbkę, flaki, mózdzek, plucka, ogon, język, policzki... La coda alla vaccinara to perła w koronie rzymskich specjałów mięsnych, owoc wielowiekowej tradycji, odzwierciedlenie przebogatej przeszłości miasta i niezliczonych wpływów, jakim było poddawane. Z prostych, często bardzo marnych kawałków, rodziły się wspaniałe dania, przesycone wyrazistym smakiem, zapachem i charakterem” – dodaje.

Nafina! proponuje czytelnikom „In vino veritas” („W winie prawda”) oraz „La delizia della vita...”, czyli zamkniętą nie tylko w słodkościach radość życia.”

Jolanta

Gajda-Zadworna

*Dziennikarka, korespondentka TV, autorka książki „Rzym od kuchni. Śladami historii najsłynniejszych dań Wiecznego Miasta”



Bruschetta (przepis autorski)

Składniki: 500 g pomidorków koktajlowych (lub pomidorów większych, soczystych); 8 kromek domowego chleba; 2 ząbki czosnku do sosu plus 1 ząbek do roztarcia na chlebie, 6 listków bazylii, oliwa z oliwek z pierwszego tłoczenia, suszone oregano, sól, pieprz do smaku.

Przygotowanie sosu: Umyj pomidorki koktajlowe i pokrój każdy na 6–8 części (jeśli używasz dużych pomidorów, to trzeba je pokroić na drobne kawałeczki). Włóż do miski i dodaj szczyptę soli. Jeśli wolisz, aby były mniej soczyste, odczekaj 10 min, odcedź wodę z pomidorów, a następnie dodaj resztę składników. Polecam zostawić płyn, żeby móc potem dość obficie polać nim bruschettę. Do pokrojonych pomidorów dodaj szczyptę suszonego oregano, 2 ząbki czosnku pokrojone na ćwiartki, umyte i porwane na drobne kawałki listki bazylii, szczyptę pieprzu oraz 4 łyżki oliwy z oliwek z pierwszego tłoczenia. Dopraw wszystko solą, przykryj ściereczką i odstaw na 20–30 min w temperaturze pokojowej.

Chleb: powinien mieć dość zbitą miąższ. Ważne, by kromki były opieczone na zewnątrz, ale pozostały miękkie w środku. Można go piec na patelni grillowej, koniecznie na sucho, bez dodawania oleju, albo w piekarniku z funkcją grilla (7–8 min w temp. 200°C). Pamiętaj tylko o obróceniu kromek w połowie pieczenia. Gdy chleb jest opieczony, ale jeszcze gorący, natrzyj go ząbkiem czosnku i skrop oliwą z oliwek z pierwszego tłoczenia. Ułóż na wierzchu kilka łyżek przygotowanego sosu i udekoruj listkami bazylii. Koniecznie jedzcie bruschettę, gdy jest jeszcze gorąca, żeby pieczywo nie wchłonęło zbyt dużo płynu z pomidorów i pozostało ładne oraz chrupiące. Na wierzch pomidorów można też położyć rukolę. Ale dla mnie wersja oryginalna – ta z listkami świeżej bazylii – jest nie do pobicia.



SŁODKO-SŁONY

Odżywcze kasztany

ANNA MONICKA

Na jesiennej imprezie w ogrodzie botanicznym pojawił się pan z kasztanami. Miał ze sobą specjalną przenośną maszynę do pieczenia, a rozgrzane kulki sprzedawał w papierowych rożkach, zupełnie jak w Paryżu. Cóрка, początkowo nieufna, rozkręciła się, gdy doleciał do niej słodkawo-palony zapach. Kupiliśmy porcję i zaczęliśmy nerwowo skubać skórki, żeby dobrać się do smakowitego jądra. – Ależ to pyszne – zachwyciła się młoda. Po trzech czy czterech miała już jednak dosyć, bo są niesamowicie pożywne. – Ciekawe, czy dałoby się wyhodować takie drzewko u nas. I kiedy zaczęłoby owocować?

No właśnie, dobre pytanie. Klimat tak się zmienił, że różne śródziemnomorskie rośliny nieźle sobie radzą w ogrodach, może więc i jadalne kasztany dałyby radę? Ogrodnicy twierdzą, że rosną na zachodzie i południu kraju, gorzej z owocowaniem, bo jest dla nich jednak za zimno. Specjaliści w szkółkach z roślinami potrafią jednak uzyskać plony, więc kilogram czy dwa można zamówić przez internet i pobawić się w gotowanie oraz prażenie. I chyba to jest najlepszy pomysł, bo nawet gdybyśmy teraz (to znaczy najlepiej po ostatnich majowych przymrozkach, żeby miała szansę dobrze się ukorzenić) wkopały sadzonkę, ja już pewnie nie dożyłabym pierwszych plonów. Drzewko jest długowieczne, a pierwsze kasztany miałyby pewnie po 20–30 latach.

W sklepach też można je znaleźć – suszone, prażone, gotowane i pakowane próżniowo. Można kupić kasztanową mękę i pyszny krem przypominający nieco nutellę, genialny do ciast, owsianek, na kanapki, croissanty. I bardzo zdrowy – ma dużo witamin z grupy B, C, E, PP i K, kwasów organicznych, błonnika. Św. Hildegarda polecała je przy stanach zapalnych nerek, kamicy żółciowej, zaburzeniach trawienia.

Hitem jest rozgrzewająca zupa kasztanowa – kilkanaście owoców trzeba naciąć na krzyż i pogotować kilkanaście minut, obrać z łupinek i lekko podpiec, a potem posiekać. Pokrojoną w kostkę cebulę i jednego lub dwa ziemniaki (też pokrojone) podsmażać na oliwie, dodać kasztany i zalać wszystko bulionem, pogotować, doprawić mlekiem kokosowym, solą, pieprzem i gałką muszkatołową do smaku, po czym zmiksować na krem. 



WILCZYM OKIEM

Kaulikarpia kakaowca

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Anawet nie tylko kaulikarpia, lecz również kaulifloria, ponieważ to ona jest pierwsza w kolejności. Co oznaczają te terminy? Kaulifloria to wyrastanie kwiatów nie na końcach pędów, czyli gałęzi, lecz bezpośrednio na pniu. To intrygujące zjawisko botaniczne występuje u kawy, z polskich roślin u wawrzynka wilczelyko i tytułowego kakaowca (*Theobroma cacao*). Kaulikarpia jest natomiast konsekwencją i następstwem kauliflorii – to formowanie się owoców, które wyrastają prosto z pnia.

Kaulikarpia jest przydatna np. wówczas, kiedy owoce są duże i ciężkie – jak u kakaowca. Rosnące na mocnym pniu owoce nie obciążają nadmiernie gałęzi, nie narażając ich na złamanie.

Kakaowiec jest obecnie uprawiany w różnych tropikalnych rejonach świata, w tym w afrykańskiej Ghanie, Wybrzeżu Kości Słoniowej oraz Indonezji, pochodzi natomiast z Ameryki Południowej. Kakaowce uprawia się w pasie pomiędzy 15 st. szerokości geograficznej południowej i 18 st. szerokości geograficznej północnej pod osłoną innych, większych drzew i palm. Zebrane nasiona suszy się, szufłując je i obracając na rozległych placach.

Indianie nauczyli się wykorzystywać wyjątkowe właściwości kakao około początków naszej ery (choć na różne sposoby spożywali go już znacznie wcześniej – w Hondurasie znaleziono gliniane naczynia z osadem z ziaren kakaowca pochodzące z ok. 1100 r. p.n.e.). Majowie sporządzali napój nazywany xocolatl składający się nie tylko z nasion kakaowca, lecz także chili, kukurydzy i ewentualnie miodu, choć raczej występował w formie gorzkiej i ostrej.

Kakaowiec to niewielkie drzewo, a jego owoce są zaliczane do typu jagoda. Z kształtu podługne, przypominają piłkę do rugby o długości ponad 20 cm i średnicy ok. 10 cm. W miąższu, znajdują się nasiona zawierające 55 proc. tłuszczu, 1,5 proc. alkaloidu teobrominy i 4 proc. substancji mineralnych. W czasach Majów i Azteków służyły nie tylko do przyrządzania napoju, lecz także jako środek płatniczy. Kakao miało dużą wartość, tańsze natomiast były pomidory, które pełniły rolę drobnych – jedno ziarno kakaowca było warte wiele pomidorów.

Warto spojrzeć na kakaowca nie tylko od strony walorów zdrowotnych i smakowych jego nasion, lecz także jako na botaniczną ciekawostkę. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gdzie są pieniądze?

Nim zmierzę się z tytułowym pytaniem, krótka refleksja po zwycięstwie Donalda Trumpa. Efekt makro. Centralistyczne niemieckie plany zdominowania Europy Środkowej za pomocą Unii Europejskiej przy cichej akceptacji Rosji planującej wspólny z UE obszar polityczno-gospodarczy od Wławy do Lizbony napotkają na opór ze strony USA. Efekt mikro. Polska opozycja i niezależne od rządu polskie media znajdują wsparcie za oceanem. Reżimowi Tuska trudniej będzie przeprowadzić tzw. domknięcie systemu, czyli wybór swojego prezydenta, zlikwidowanie opozycji demokratycznej, „opیلowanie katolików” i zaprowadzenie cenzury.

Wyliczniki dokonania ośmiu lat rządów PiS przekracza objętość felietonu.

Rozpoczęcie i kontynuacja wielkich inwestycji rozwojowych: CPK, atom, Orlen, przebieg Mierzei Wiślanej, tunel do Świnoujścia, rozbudowany gazoport, Baltic Pipe z gazem z Norwegii, dwa porty kontenerowe, tunel do Zakopanego, olbrzymie zbrojenia Wojska Polskiego w sprzęt z USA i Korei, mur na granicy z Białorusią, jego ochrona, wcześniejsze tarcze covidowe i inflacyjne. Inwestycje w samorządy: drogi lokalne, remonty na kolei, kanalizacje, oczyszczalnie ścieków, hale sportowe. Liczne programy społeczne: 500+, 300+, 13.114. emerytura, bezpłatne leki dla seniorów i dzieci, boni turystyczny, laptopy dla uczniów. Ulgi podatkowe: PIT do 12 proc., kwota wolna od podatku z 3 do 30 tys. Uszczelnienie podatków dochodowych, w tym VAT. Dodajmy pomoc Ukrainie: wojskowa, medyczna, socjalna, humanitarna. Powiększenie przez NBP rezerwy złota do 420 t. Liczne wykupy polskich dzieł sztuki, nowe muzea, instytuty i instytucje kultury.

I na to wszystko były pieniądze, których dziś, jak za rządów pierwszego Tuska (lata 2007–2015), „nie ma i nie będzie”. Jak to możliwe? Odpowiedź m.in. w przemilczanym przez reżimowe media liście do premiera funkcjonariuszy Związku Zawodowego „Alternatywa” Krajowej Administracji Skarbowej (6 tys. członków na 11 tys. zatrudnionych). Rozwiązano komórki do zwalczania przestępczości podatkowej. Urzędowi celno-skarbowym odebrano prawo do rozliczania się z wyników zwalczania przestępczości podatkowej. Zakazano kontroli podatników podejrzanych o przestępstwa podatkowe bez wcześniejszego powiadomienia ich o tym. W urzędach skarbowych i KAS wprowadzono tzw. karuzele kadrowe. Podobną metodę zastosowano w spółkach Skarbu Państwa. Właściciel, czyli rząd, zmienia składy rad nadzorczych, a te zmieniają zarządy, tak aby te

spółki sparaliżować. Chyba że mają już one „swoje” składy wybrane przez koalicję 13 grudnia. Wówczas mogą przygotowywać przyszłe prywatyzacje. Wolne media ujawniły właśnie ściśle powiązania polityków PSL z Fundacją Rozwoju, która skupia firmy deweloperskie. FR była najhojniejszym płatnikiem obozu rządowego przed ostatnimi wyborami.

Trzeba więc spłacać długi wobec tych wszystkich, którzy przyczynili się do zwycięstwa obozu Tuska, tych, którzy w ostatnich ośmiu latach utracili spodziewane dodatkowe zyski. Jak byli esbecy i ubecy, którym zwraca się teraz odebrane przez PiS ponadwymiarowe renty i emerytury. Mimo trzyprocentowego wzrostu gospodarczego (efekt rozkręconej gospodarki rządów PiS) Ministerstwu Finansów brakuje do wykonania planu dochodów za 2024 r. ponad 28 mld zł i 13 mld zł dochodów niepodatkowych (dywidendy od spółek Skarbu Państwa i jednostek budżetowych), czyli łącznie 41 mld zł. Dodajmy, że wszystko to dzieje się przy wyższym poziomie inflacji (4,9 proc. we wrześniu br.) oraz przywróceniu pięcioprocentowej stawki VAT na żywność, co powinno dać większe wpływy. Według wycen MF dochody z podatku VAT będą niższe o 17 mld zł, a dochody z podatku CIT o 9 mld zł. Te pierwsze miały wynieść 316 mld zł, a wyniosą 299 mld zł. Te drugie planowano na 70 mld zł, a wyniosą 61 mld zł. I jeszcze podatek PIT. Planowano na 109 mld zł wyniesie 106 mld zł. Gdzie są te pieniądze?

Związkowcy z KAS piszą wprost: „Wróciły mafie vatowskie”. Jej funkcjonariusze informują, że w pierwszym półroczu br. wykryto ponad 140 tys. fikcyjnych faktur, to jest o ponad 100 proc. więcej niż w pierwszym półroczu ub.r.

Ich wartość to ponad 4,25 mld zł. Dodajmy do tego, że koalicja 13 grudnia zablokowała wprowadzenie planowanego przez poprzedni rząd na 1 lipca 2024 r. systemu e-faktur. Miał dodatkowo uszczelnić system podatkowy. Konsekwencją braku pieniędzy jest deficyt budżetowy planowany na 240 mld zł.

Czy Polska ma być drugą Grecją? Czy jedynym ratunkiem będzie dla nas wprowadzenie euro oraz dotacje MF i UE? Są tacy, którzy mówią, że powtórne dojście Tuska do władzy i oddanie Polski jego zachłannemu na pieniądze elektoratowi doprowadzi nas do utraty niezależności politycznej i gospodarczej, a w konsekwencji do utraty suwerenności. Niestety ta koncepcja mieści się w długofalowych planach UE. Nie wierzę, że Tusk o tym nie wie. Konsekwentnie realizuje ten plan, bo już dawno temu doszedł do wniosku, że Polsce nie jest potrzebny jakiś polski premier męczący się z nudów na sali sejmowej, skoro w Berlinie mamy kanclerza Niemiec.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Amba fatima, było i ni ma



Andrzej Rafał Potocki

Prosiak z Korei Północnej (Kim Dzong Un) wysłał swoich pół ludzi, pół robotów na front przeciwko Ukrainie. Według danych wywiadu wojskowego Kijowa (HUR) mogło się tam znaleźć nawet 12 tys. żołnierzy, w tym 500 oficerów i trzech generałów. Oprócz wojsk inżynieryjnych (budowa fortyfikacji na tyłach frontu), które ponoć stanowią przytłaczającą większość kontyngentu, na ziemi kurskiej znalazło się ok. 1,5 tys. północnokoreańskich komandosów szkolonych pod bezpośrednim nadzorem wiceministra obrony Rosji Junusa-bieka Jewkurowa.

Skośnoocy bojcy Prosiaka zostali wyposażeni w moździerz 60 mm, karabiny AK-12, snajperskie SVD/HF, maszynowe RPK/PKM, przeciwpancerne pociski kierowane Feniks (ATGM) i granatniki przeciwpancerne RPG-7, a także noktowizory, kamery termowizyjne oraz inny sprzęt optyczny. Czyli to, co posiadają jedynie wybrane rosyjskie jednostki szturmowe oraz komandosi. Każdy północnokoreański żołnierz może liczyć na żołd w wysokości 2 tys. dol. miesięcznie. Ale w Korei Północnej liczyć można długo i namiętnie. W rzeczywistości taka gaża byłaby wręcz bajonońską sumą dla prosiakowego mięsa armatniego i żeby nie poprzewracało im się w głowach, wszystko kasuje państwo, a żołnierz dostaje po 30–40 dol. plus 300 g mydła i 50 m papieru toaletowego. Jak który zgłodnieje, zawsze może dogryźć mydłem. Jakby co, 1,5 m srajtaśmy dziennie powinno wystarczyć.

Zadaniem Koreańczyków z Północy będzie prowadzenie natarcia, czyli wbicia się dwoma klinami (od północy i południa) u podstawy wybrzuszenia kurskiego w celu zamknięcia w kotle wojsk ukraińskich. 25 października miał miejsce pierwszy kontakt z Kozakami pod miejscowością Lubimowka. Wzięło w nim udział ok. 40 Koreańczyków. Debiut trudno uznać za udany, ponieważ zginęli wszyscy oprócz jednego, który trafił do niewoli. Przesłuchano go w szpitalu polowym. Nagranie z rannym skośnookim bojcem opublikowano 31 października na proukraińskim kanale Telegram. Klip został opatrzony tytułem: „Oto wynik wkroczenia północnokoreańskich

wojsk do Kurska”. Według Koreańczyka jego bracia Kim i Minho, a także inni towarzysze broni zostali zabici, a sam przeżył jako jedyny, ukrywając się pod ich ciałami. Żołnierz stwierdził, iż został oszukany przez Moskali. Zadanie jego i reszty miało polegać na budowie i pilnowaniu infrastruktury, ale zostali „zdradzeni” i „wysłani do szturmu w obwodzie kurskim”. Ranny żołnierz dodał, iż „Rosjanie niczego im nie zapewnili. Rzucili żołnierzy do ataku bez rozpoznania, bez odpowiedniej broni”. Jak podaje portal Defence24.pl, grupa Koreańczyków została zdziesiątkowana za pomocą artylerii oraz dronów. Jedyny ocalały żołnierz z Korei Północnej miał podobno przy sobie buriackie dokumenty tożsamości.

Dezorganizacja i degrengolada wśród szeregów bojców oraz taktyka samobójczych ataków w małych grupach mogły ujawnić się w działaniu Koreańczyków już w pierwszych dniach zaangażowania na froncie. Efekt? Amba fatima, było i ni ma.

Co więcej, o ile wiadomo, że Korea Północna nie zrobiła tego ruchu bez zgody, czy wręcz na polecenie Pekinu, o tyle istnieje duże prawdopodobieństwo, że wśród koreańskich oficerów i generałów (podobno paru jest już na froncie) znajdują się także oficerowie i generałowie chińscy. Choćby tacy, którzy są rodowitymi chińskimi Koreańczykami (mniejszość koreańska w Chinach liczy 2 mln ludzi – nie jest to dużo, ale w tym środowisku może się znaleźć kilkuset oficerów i rżnąć głupa, że są Koreańczykami z Korei. Coś jak Konstanty Rokossowski w peerelowskiej armii). Dlaczego jest to prawdopodobne? Bo chińska kadra nigdzie indziej nie będzie miała okazji podglądać nатовskich sposobów walki! Ukraina to znakomity poligon do zbierania doświadczeń dla obu stron. Coś jak Hiszpania w latach 30. XX w. Wysłanie swoich obserwatorów jest dla Chińczyków niemal koniecznością. Szczególnie że obserwatorzy NATO są tam już obecni. Jeśli teraz HUR uda się złapać jakiegokolwiek chińskiego żołnierza, który zezna przed kamerami (a jak go dobrze przycisną, będzie się pruć jak koronka), że jest obywatelem Chin, to Kijów zyskuje znakomity argument do rozmów z Amerykanami, pokazując, że wojna z Chinami jest na Ukrainie. W napięciu czekamy na kolejne starcia z prosiakowym wojskiem.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Rycerze wielkiej sprawy

Przeczytałem niezwykłą książkę, o istnieniu której nie miałem nawet pojęcia. Książkę ważną i ważką. To „Rycerze wielkiej sprawy. Szkice ziemiańskie” autorstwa Ewy Polak-Palkiewicz. Znanej skądinąd publicystki i tropicielki historii, autorki w znakomitym piórze i rozległej wiedzy.

Książka traktuje o ziemianach, potomkach rycerzy, herbowej szlachty, o warstwie społecznej dzisiaj już nieobecnej, warstwie wydziedziczonej, okradzionej, sponiewieranej i upokorzonej. Tytułowa wielka sprawa to po prostu Polska.

Dopiero po lekturze tej książki zdajemy sobie sprawę, jak wielką wyrwę zrobiła wojna i nie lepszy od niej komunizm. Polsce wyrwano serce, niszcząc dobrze prosperujące folwarki i gnojąc ich właścicieli. Pałace, dwory i dworki oddano w pacht PGR, prowizorycznie urządzanym szkołom. Zamieniano je na sklepy, knajpy, magazyny. Tak dokonano dzieła zniszczenia materialnego majątku rycerzy wielkiej sprawy. Nikt i nigdy za to nie odpowiedział. Komunizm nie tylko wytyczał drogę ku świetlanej przyszłości, lecz także bezlitośnie i konsekwentnie niszczył przeszłość.

Obraz spasionego dziedzica niesionego na grzbiecie wychudzonego chłopca był filarem tego przekazu. Szlachta stała się symbolem wyzyskiwaczy, bezwzględnych uzurpatorów i ciemiężycieli. To nic, że prawda była inna, że przedwojenne majątki to były prawdziwe i dobrze prosperujące przedsiębiorstwa ze zgraną załogą, której nikt nie chłostał i nie zakuwał w dyby. Wbrew komunistycznej propagandzie przedwojenny ziemianin w niczym nie przypominał upowszechnianego wizerunku pijanego szlachcica skłonnego do zwady i zdrady.

Ewa Polak-Palkiewicz nie polemizuje z komunistycznym wizerunkiem „obszarnika”, „kułaka” i wyzyskiwacza. Przeciwwstawia mu portret ziemian zakochanych w Polsce i polskości. Najprawdziwszych patriotów, depozytariuszy szlachetnej pracy, wiary i miłości do ojczyzny. To w polskich domach pomieszczonych w dworkach, dworach, pałacach czy zamkach wychowywano kolejne pokolenia patriotów, którzy nie zgadzali się z nieistnieniem Polski, którzy chwytała za powstańczą broń, gdy było trzeba. To w takim ma-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Jakże bym chciał, aby mądrzy
nauczyciele historii czy
języka polskiego zadawali tę
książkę jako ważną pozycję
do przeczytania*

jątku w Nowopotrzebach wychowywał się Melchior Wańkowicz, w majątku Skurcze osiedlił się Witold Pilecki, a w pałacyku w Szafarni bawił młody Fryderyk Chopin. Przykłady można by mnożyć. Rzecz jasna nie wolno zapominać o jednym z najlepszych opisów życia dworskiego – o „Panu Tadeuszu” i jego patriotycznym przesłaniu. Te i inne skojarzenia biegną od książki o rycerzach wielkiej sprawy.

Ewa Polak-Palkiewicz jest profesjonalna w swoich rozważaniach. Każdy tekst, każdy esej jest opatrzony przypisami, co skłania do myślenia, że nie są to bynajmniej szkice, ale prawdziwe perełki naukowe, opisane piękną polszczyzną wylegarnie patriotów.

Przywołane w książce domy stanowią dowody na ogromną moc wychowania, na fakt, że patriotyzm to nie tylko postawa, nie tylko przekonania, ale nade wszystko stan umysłu, stan świadomości. Pod tym względem ziemianom nie ustępowała znaczna część inteligencji, mieszczan czy rzemieślników. Bo oprócz troski o losy Polski było jeszcze jedno spoivo – wiara. Tę na celownik wzięli najpierw Niemcy, a potem komuniści. A polski dom stał się prawdziwym i ostatnim bas-

tionem. Ziemian z ich tradycjami i historią postanowiono obrzydzić i wymazać z pamięci.

Książka „Rycerze wielkiej sprawy. Szkice ziemiańskie” to także zapis wielopokoleniowego odtwarzania się polskiej elity (w najlepszym znaczeniu tego słowa). Lekturze towarzyszy wzruszenie i tęsknota za prawdziwą historią polskiego domu, polskiej tradycji, przerwanej w wielu miejscach. Ewa Polak-Palkiewicz pokazuje też, jak należy rozumieć określenie „dom rodzinny”, jakie ma to znaczenie dla przyszłości Polski.

Nad żadnym fragmentem książki nie da się prześlizgnąć, nie da się musnąć wzrokiem. Zmusza bowiem do uważnej lektury. Wzrusza i niepokoi, maluje pastelowy obraz na niestety czarnym tle. Bo wiemy, co się stało z polskimi ziemianami, dworami, tradycją i wiarą.

Jakże bym chciał, aby mądrzy nauczyciele historii czy języka polskiego zadawali tę książkę jako ważną pozycję do przeczytania, aby znalazła się ona w kanonie szkolnych lektur w starszych klasach liceum. Bez wątpienia jest tego warta. 

Michał Korsun prezentuje:
Koniec kabaretu Kamali Harris



Z okazji tak ciekawie rozstrzygniętych wyborów amerykańskich przypomniano rolę Polonii w USA. Z konieczności utrzymywania z rodakami za granicą żywych kontaktów i wciągania ich do pracy na rzecz ojczyzny zdawano sobie sprawę także przed wojną. „Jest to ogromna suma ciężarów do ojczystego kraju i tęsknoty. Polak nie jest z natury kosmopolitą, nielato staje się on wyznawcą zasady »gdzie dobrze, tam ojczyzna«. Nawet najbardziej szczerzy i serdeczni stosunek do nowych warunków i nowej państwowej ojczyzny nie potrafi w nim zabić żywoci uczuć serdecznych dla Polski.

Ten związek serdeczny z krajem musi znaleźć swój wyraz zewnętrzny, stały. Wiemy dziś, że rozwiązaniem nie może być hasło ściągnięcia wszystkich do kraju, jak to niekiedy propagowano w pierwszych latach niepodległości. Wyjścia trzeba szukać na innej drodze. Trzeba, ażeby pomiędzy całą Polonią zagraniczną a społeczeństwem wolnego państwa polskiego zostały związane mocne nici współdziałania” – podkreślano w miesięczniku „Morze” z 1934 r. Na zdjęciu ilustracja z tej samej gazety.

(mk)

Z WOLEJA

Jak sportowcy pomogli Trumpowi



Ryszard
Czarnecki

Na wygraną Donalda Johna Trumpa złożyło się wiele rzeczy, ale z całą pewnością niebagatelny był fakt poparcia go przez znanych ludzi sportu. To przelożyło się na głosy zwłaszcza męskiego elektoratu, szczególnie w młodszych i średnim wieku. O ile tłum aktorów i celebrytów popierających Kamalę Harris nie wpłynął specjalnie na jej wynik wyborczy, o tyle poparcie świata sportu było kluczowe zwłaszcza w „swing states”. Ocenia się, że co dziewiąty (!) wyborca Trumpa w tych stanach to kibic sportowy. Tymczasem były i przyszły prezydent wygrywał tam z przewagą paru procent. Oczywiście fani sportu mają różne przekonania, a część z nich np. w ogóle nie głosuje, jednak w sytuacji polaryzacji poparcie tego elektoratu było bardzo ważne.

O te głosy walczyła również Kamala Harris. Demokratka szczególnie łowiła w świecie koszykówki: poparli ją LeBron James czy znani trenerzy: Gregg Popovich i Steve Kerr. Za Trumpem natomiast opowiedział się Jonathan Isaac z Orlando Magic, który walczył nie tylko na boisku, lecz także w mediach społecznościowych, pisząc: „Nie rozumiem waszego straszenia Trumpem. Ten człowiek przecież już był prezydentem!”.

O ile w świecie koszykówki w rywalizacji Trump–Harris był remis ze wskazaniem na panią wiceprezydent, o tyle gdy chodzi o futbol amerykański, republikanin znokautował demokratkę. Oficjalnie poparły go największe gwiazdy NFL, zarówno te sprzed 40 lat, jak i aktualni gracze. Jeden z nich, trzykrotny mistrz świata – Amerykanin w swej gigantomanii zwycięzcom swojej krajowej ligi przyznają tytuły mistrzów świata (!) – Harrison Butker z Kansas City Chiefs przemawiał nawet na konwencjach Trumpa.

Nie lubię wrestlingu, ale Amerykanie go kochają. Świat WWE jednoznacznie poparł eksprezydenta, a jego największe gwiazdy, np. Hulk Hogan, dały się wykorzystać w kampanii republikanów. Podobnie, gdy chodzi o sztuki walki, co nie powinno dziwić, bo przecież przez parę dekad w należących do Donalda Trumpa kasynach czy hotelach regularnie odbywały się walki o mistrzowskie pasy.

Trumpa jednoznacznie poparło środowisko wyścigów samochodowych, co też nie powinno dziwić, bo NASCAR – amerykański odpowiednik Formuły 1 – to bardzo „republikkański” sport: na jego zawodach pojawiali się prezydenci Reagan czy Bush jr.

Dla Polaków najbardziej rozpoznawalnym amerykańskim sportowcem, który opowiedział się za Trumpem, był najmłodszy w historii bokserski mistrz świata wagi ciężkiej, legendarna „Bestia” – Mike Tyson. Tak – ten, który walczył z Andrzejem Gołotą. Można powiedzieć, że sztuki nokautu w polityce Trump nauczył się od „Żelaznego Mike’a”.

OD A DO ZYBERTOWICZ

Cyfrowe diabełki

Nie mogę się oprzeć porównaniu tych piszczących diabełków ze smartfonami



I znów trzeba wymienić letnie opony na zimowe. A dopiero co było odwrotnie. W zaprzyjaźnionej wulkanizacji wymiana idzie sprawnie, ale trochę trwa, więc biorę ze sobą coś do czytania.

Tym razem są to felietony Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Jego „Dziwna kamienica. Warszawa dwudziestolecia międzywojennego” to wydane w 2022 r. przedruki z przedwojennych wydań „Rzeczpospolitej”, której pisarz był felietonistą.

Wertuję tom, bo niektóre teksty już czytałam. Wybieram tekst z 1925 r. – „Najlepszy sposób wytrucia Warszawy. Siedemnaście chorób w piszczącej rurce” i zastanawiam się, czy to przypadkiem nie efekt mego lekkiego przeziębienia...

Rzecz dotyczy ulicznego handlu piszczącymi balonikami. Dołęga-Mostowicz dzieli się taką obserwacją: „Byłem zmuszony przestać całe 25 minut w oczekiwaniu na punktualny tramwaj nr 7 i skorzystałem z tego, by obserwować sprzedawcę baloników i zabawek fonetycznych. Oto idzie jakiś gruby

jegomość. Podchodzi, ogląda diabełka gumowego, wsadza sobie w usta rurkę do nadmuchiwanie... dmie... diabełek robi się wielki jak orzech kokosu... później piszcząc rozpacznie, zmniejsza się i kurczy...”. Ot, zabawna, prosta i śmieszna atrakcja przedwojennej Warszawy.

Ale czujny autor zauważa coś jeszcze. Tę samą rurkę nadmuchują kolejno: mała dziewczynka, sam sprzedawca, kaszlący młodzieniec, „opryszczony stróż”, „panienka lekkiego prowadzenia”, synek eleganckiej pani itd.

Na rurce osiadają: „mikroby wszelkiego kalibru i gatunku”, jak choćby – dodaje Dołęga-Mostowicz – gruźlica, tyfus, szkorbut, egzemy i liszaje. A nawet „przymiot” – to eleganckie określenie choroby zostawionej zapewne przez wspomnianą panienkę.

Jakoś zupełnie nie mogę się oprzeć porównaniu tych piszczących diabełków ze smartfonami. Często jeżdżę tramwajem i obserwuję ludzi. Prawie każdy pasażer dzierży w dłoni smartfon. Im młodszy pasażer, tym częściej zdarzają się takie sytuacje. Młodociani głównie grają albo bezustannie przewijają ekrany i coś lajkują. Starsi zbyt głośno prowadzą rozmowy albo szukają wiadomości. Coraz częściej widzę całkiem małe dzieci oglądające na smartfonie bajki, czy raczej jakieś skaczące i krzykliwe obrazki.

Myślę sobie, że chociaż prawie 100 lat dzieli smartfony od piszczących diabełków, w kwestii higieny niewiele się zmieniło. Nie ma już wprawdzie rurczek, które ludzie biorą do ust, ale smartfony ich nie potrzebują. Działają bezprzewodowo. Współczesne plagi rozprzestrzeniają się dzięki mentalnym

cyfrowym wirusom. Dzisiejsze wirusy to szerzące się w internecie fake newsy, ogłupiające i siejące zamęt; to uzależniające media społecznościowe, które pustoszą młode mózgi; to idiotyczne bajki, które absurdalne treści ideologiczne przemycają już tym najmłodszym; to wulgaryzmy i obscena pod płaszczykiem sztuki.

Słowem, przez niewidzialne rurki wciągamy moc niebezpiecznych przekazów, które wpływają na nasze zdrowie psychiczne i fizyczne, w sposób podobny do tego, jak biologiczne wirusy wpływają na organizm. A wiecie, ile chorób odsmartfonowych już zdiagnozowano?

Syndrom FOMO (Fear of Missing Out), czyli obsesyjny lęk przed pominięciem czegoś ważnego. Ciągłe sprawdzanie mediów społecznościowych i komunikatorów napędza uczucie, że coś, co nas dotyczy, dzieje się bez naszej wiedzy. Prowadzi to do niepokoju oraz obniża samoocenę. Depresja – to jeden z efektów. Bezsenność – światło emitowane przez ekrany smartfonów zakłóca produkcję melatoniny, hormonu regulującego sen i zaburza rytm dobowy. Uzależnienie – mechanizmy nagród w aplikacjach (np. lajki, komentarze) działają podobnie jak w grach hazardowych. O psuciu wzroku pewno każdy wie.

Ktoś powie, że dzięki postępowi przecież znaleźliśmy lekarstwa na choroby rozsiewane przez piszczące diabełki, np. szczepionki. Zatem najwyższa pora przeznaczyć sporą część naszej uwagi, energii, a także finansów publicznych na znalezienie lekarstw będących odpowiedzią na obecną fazę cywilizacyjnego, cyfrowego „rozwoju”.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

codziennie

18:00

wPolsce 24

Podsumowanie
wydarzeń dnia
z dosadnym
komentarzem
publicystów

zaprasza
Marcin Wikło

bez cenzury*

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52

telewizja
naziemna

192

netia

32

orange

825

vectra

196

polsat box

65

PLAY
dawniej UPC

Prawdziwy
polityczny
show

niedziela
21:30

wPolsce 24



strefa
STARCIA
Michała Adamczyka

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

65
PLAY
dawniej UPC